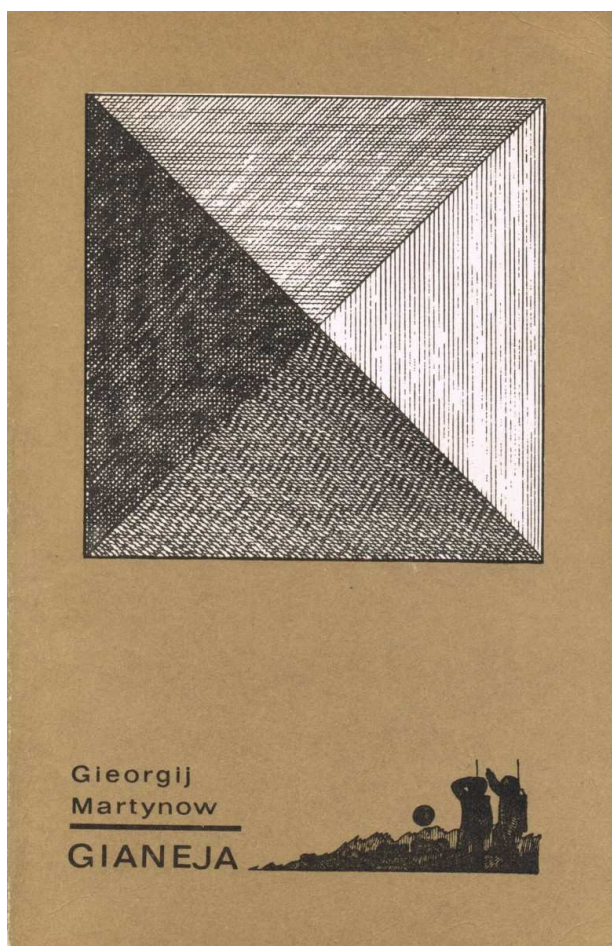


GIEORGIJ MARTYNOW

GIANEJA

TYTUŁ ORYGINAŁU: „GIANEJA”
PRZEKŁAD: ANNA I ANDRZEJ GORENIOWIE



INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1972

WSTĘP

I

Wuczebus znajdował się jeszcze w odległości pięciuset metrów od automagistrali, gdy nad betonową wstęgą drogi pojawił się pomarańczowożółty krąg przecięty na ukos niebieskim pasem. Nieruchomy, ostro zarysowany, przesycony na wskroś promieniami słońca, sam świecił jak małe słońce, które nagle wzeszło nad drogą.

W wuczebusie rozległ się stłumiony głos:

— Uwaga! Zbliżamy się do linii globekspresu. Pociąg jest oddalony o sto dziesięć kilometrów. Kto chce obserwować przejazd ekspresu, proszony jest o podniesienie ręki.

W głębokich fotelach tkwiło około trzydziestu osób — wuczebus nie był wypełniony nawet w jednej czwartej. Rękę podniosło osiemnastu pasażerów.

W bezgłośny bieg pojazdu wkradł się ledwo dosłyszalny szmer hamowania. Wuczebus zatrzymał się przy pomarańczowożółtym znaku, który powoli przygasał, wreszcie zupełnie znikł, jakby rozplynął się w powietrzu.

Z pojazdu wyszli wszyscy pasażerowie. Globekspres pojawił się stosunkowo niedawno i budził jeszcze powszechne zainteresowanie, zwłaszcza że mieszkańcy miast nieczęsto mogli oglądać pociąg na szlaku, gdzie jego szybkość sięgała 600 kilometrów na godzinę.

Mimo upalnego lipcowego południa wewnątrz wuczebusu panował przyjemny chłód. Okolica, przez którą przejeżdżali, była płaska i równinna. W obie strony automagistrali biegły prostą linią aż po horyzont żółtoszare słupy podtrzymujące rynnową drogę zawieszoną cztery metry nad ziemią. Półokrągłe „szyny” błyszczały złościście, jakby rozżarzone słonecznymi promieniami.

Pasażerom wuczebusu, mimo że w większości byli ubrani w lekkie, jasne, przewiewne ubrania, letni upał dawał się we znaki, gdyż dzień był bezwietrzny.

Wśród pasażerów zwracała na siebie od razu uwagę wysoka dziewczyna w białej krótkiej sukni, krótszej niż pozwalały zwyczaje ówczesnej mody. Dziwny zielonkawy odcień jej skóry harmonizował ze szmaragdowoszafirowym połyskiem odsłoniętych czarnych włosów. Skośne, podniesione u nasady nosa oczy nabierały dziwnego wydłużonego kształtu, przez co sprawiały wrażenie węższych, niż były w istocie. Już to pozwalało stwierdzić, że nie urodziła się na Ziemi. Jej zgrabne, kształtne nogi od białych pantofelków aż do kolan były owinięte krzyżującymi się wąskimi białymi taśmami. Taśmy związane były również na białe, podobne do metalowych, sprzączki w kształcie wydłużonych liści jakiejś nieznannej rośliny, które jak dwa puklerze osłaniały kolana. Miała delikatne obnażone do ramion ręce. Jaskrawozielone paznokcie długich zręcznych palców błyszczały jak szmaragdy. Zielony odcień występował wyraźnie w kącikach jej ust, a szczególnie widoczny był na skrzydełkach nosa.

Krew dziewczyny zdradzała jednak wyraźnie kolor czerwony. Zielonkawy odcień jej skóry był widocznie wynikiem jakichś szczególnych właściwości pigmentu. Gdzieniedzie w zgięciach ciała połączenie to nadawało skórze kolor intensywnej opalenizny.

Miała na sobie krótką, przed kolana, suknię mocno wyciętą z tyłu, gołe plecy zakrywały jednak długie włosy spięte szeroką białą klamrą w kształcie liścia tej samej nieznannej na Ziemi rośliny. Przy każdym ruchu głowy promienie słońca grały szmaragdowymi refleksami w jej gęstych, ciężkich włosach.

„Zieloność” nie szkodziła jednak urodzie dziewczyny, przeciwnie, sprawiała, że wyda-

wała się ona oryginalnie piękna, a jej świeżość i urok będące w rozkwicie młodości wzbudzały mimowolne uczucie sympatii. Jedyne skośne oczy nadawały twarzy wyraz smutku.

Pasażerowie wuczebusu zdążyli już przyjrzeć się swej niecodziennej towarzyszce i nie zwracali na nią specjalnej uwagi. Wszyscy wiedzieli, kim jest. Na całej Ziemi nie było człowieka, który nie znałby jej fantastycznej i tajemniczej historii. Czasami tylko czyjeś zaciekawione spojrzenie ukradkiem zatrzymywało się na jej kształtnej figurze, wnikliwie badało rysy jej twarzy, jak gdyby starając się odgadnąć, czego szuka tu „gość Ziemi”, skąd wzięła się ta dziewczyna w wuczebusie mknącym na trasie Kijów-Połtawa.

Dziewczyna nie zauważyła tych spojrzeń. Wydawało się, że w ogóle nie zauważyła otaczających ją ludzi. Ani razu nie padło na nikogo spojrzenie jej aksamitnoczarnych oczu.

Nazywała się Gianėja. Imię jej, jak i ją samą znano na całym świecie.

Towarzyszyła jej inna dziewczyna o niewątpliwie już ziemskim typie urody. Również wysoka, chociaż o pół głowy niższa od swej towarzyszki, miała gęste włosy, ale bez zielonego odcienia, była ubrana w taką samą białą sukienkę, tylko dłuższą i nie tak bardzo wyciętą. Na nogach miała białe pantofle, ale bez taśm. Jej czarne oczy były wąskie, jednak nie tak skośne.

Pasażerowie wuczebusu znali drugą dziewczynę równie dobrze jak i Gianeję. Cała Ziemia wiedziała, kim jest i jak się nazywa.

Dziewczyny rozmawiały dźwięcznym, pięknym językiem, mówiły jednak bardzo cicho. Gianėja miała słuch, o czym również wiedzieli wszyscy, niezwykle wyczulony, o ostrości nie spotykanej u mieszkańców Ziemi.

Nie tylko zresztą słuch. Gianėja widziała to, czego bez lornetki nie mógł zobaczyć człowiek Ziemi, wyczuwała zapach, którego nie uchwyciłby nawet specjalnie tresowany w tym celu owczarek. Smukłe, nerwowe palce Gianei wyczuwały to, czego nie były w stanie wyczuć palce ludzkie.

Od dawna już uzdolnienia niezwykłego gościa przykuwały uwagę uczonych. Gianėja posiadała cudowny głos, którego diapazon obejmował prawie wszystkie oktawy fortepianu, i pięknie rysowała. Z niedbałą łatwością lepiła z gliny i rzeźbiła w marmurze. Wszystko to robiła w taki sposób, jakby przez całe swoje życie była śpiewaczką, malarką albo rzeźbiarką. Potrafiła wykonywać nieprawdopodobne ćwiczenia gimnastyczne. We wszystkich dyscyplinach lekkiej atletyki Gianėja znacznie przewyższała ludzi. Rywalizować z nią mogli jedynie mężczyźni — rekordziści w uprawianych przez siebie dyscyplinach.

Stwierdzono, że Gianėja najbardziej lubi pływanie. Pływała klasycznym kraulem, co wskazywało po pierwsze: na popularność tego sportu w jej ojczyźnie, po drugie, że odkrycie najszybszego sposobu pływania nie było przywilejem Ziemi.

Pod względem fizycznym — mówili uczeni — Gianėja jest człowiekiem przyszłości. Takimi jak ona powinni się stać i na pewno staną się wszyscy ludzie u nas na Ziemi. Ewolucja ludzkiego organizmu doprowadzi do tego, że tak zwane talenty staną się zwykłymi cechami zdrowego ludzkiego organizmu.

Mówiąc o cechach fizycznych, uczeni nie wspominali ani słowem o umysłowych zdolnościach Gianei — po prostu nic o nich nie wiedzieli. Jedyne na podstawie oznak pośrednich można było przypuszczać, że posiada wysoko rozwinięty umysł.

Od półtora roku, to jest od chwili pojawienia się tej dziewczyny z innego świata na Ziemi, ciągle jeszcze nie udało się znaleźć z nią wspólnego języka, osiągnąć całkowitego wzajemnego porozumienia. Gianėja nie zdradzała chęci nauczenia się ziemskiego języka — całą inicjatywę pozostawiła w rękach ludzi Ziemi. Uczeni-lingwiści, którzy przystąpili do badania języka, jakim się posługiwała, mieli niełatwe zadanie nie tylko dlatego, iż język ten był trudny, ale przede wszystkim dlatego, że Gianėja wyraźnie nie chciała im pomóc. Niechętnie „udzielała lekcji”, ograniczała się tylko do najprostszych słów i pojęć, bez których sama nie mogła się obejść żyjąc na Ziemi. Najmniejsza próba szerszego poznania jej języka, porusze-

nia problemów naukowych, niezmiennie napotykała milczący opór. Sprawiało to wrażenie, jakby dziewczyna postanowiła przeszkodzić ludziom w zadawaniu jej pytań o charakterze naukowym i technicznym.

Może Gianeya nie znała nauki swojego świata? Przeczyły jednak temu okoliczności, w których pojawiła się na Ziemi. Wiedziała na pewno dużo. Czy nie więcej, niż wiedziano na Ziemi?

Uczeni nie tracili nadziei, że w końcu uzyskają rozwiązanie interesujących ich problemów. Chyba Gianeya nie będzie wiecznie milczeć? Jeżeli bowiem zechce kiedyś powrócić do swojej ojczyzny, będzie mogła to zrobić tylko przy pomocy ludzi, przy pomocy ziemskiej techniki.

Zupełnie niedawno nadzieja na przełamanie jej niepojętego milczenia zwiększyła się — dziewczyna zaczęła mówić o przeszłości.

— Opuściłam ojczyznę — powiedziała jednemu człowiekowi, którego darzyła sympatią — Marinie Muratowej, lingwistce z Leningradu, towarzyszącej jej teraz w podróży — prawie wbrew swojej woli. Dlaczego jednak nie tęsknię za nią? A do was, na Ziemię dostałam się już całkiem wbrew mej woli. Ten lot był dla mnie wyjątkowo nieszczęśliwy, ale zostać tutaj na zawsze... — wzdygnęła się.

Wreszcie Gianeya zaczęła zdradzać ludzkie uczucia! Przez półtora roku panowała nad sobą, od pierwszej chwili zachowywała się w sposób nienaturalnie spokojny.

— Czy twoja ojczyzna jest lepsza od naszej Ziemi? — zapytała Muratowa w pełni przekonana, że otrzyma odpowiedź twierdzącą.

Omyliła się jednak.

— Nie — odpowiedziała Gianeya. — Ziemia jest znacznie ładniejsza. Są mi jednak drogie wspomnienia dzieciństwa i młodości.

To było wszystko. Gianeya znów zamknęła się w sobie i nie odpowiadała na dalsze pytania Muratowej, która próbowała kontynuować rozmowę.

Jednak to, co powiedziała, budziło już nadzieję. Gianeję otoczono jeszcze większą uwagą i troską. Postanowiono nie przyspieszać wydarzeń, czekać, kiedy sama zechce mówić.

Muratowa stała się towarzyszką i przewodniczką Gianei. Między dwoma dziewczynami stopniowo nawiązała się przyjaźń. Niewykluczone, że przyczyniło się do tego wprawdzie niewielkie, ale niewątpliwe, zewnętrzne podobieństwo.

Gdzie znajdowała się ojczyzna Gianei? Skąd zjawiła się w tak dziwny i zagadkowy sposób w naszym systemie słonecznym? I jak to możliwe, że stało się to „wbrew jej woli”? Na te pytania mogła odpowiedzieć tylko ona sama. Milczała jednak, milczała już od półtora roku.

Teraz, w gorące lipcowe popołudnie, tajemnicza dziewczyna z innego świata czekała wśród zielonej ukraińskiej równiny na przejazd globekspresu.

Co ją tutaj sprowadziło? Muratowa nie wiedziała. Gianeya tak chciała i to wystarczało. Życzenia jej starano się wypełniać bez słowa. Przypuszczano, że do Połtawy sprowadza ją oczekiwany wkrótce na połtawskim kosmodromie powrót Szóstej Ekspedycji Księżycowej. Trudno było znaleźć inne wyjaśnienie.

Zastanawiający był jednak fakt, że nikt nie mówił Gianei o powrocie „Szóstej”. Skąd się o tym dowiedziała?

Snuto wiele domysłów, ale tylko jedno było niewątpliwe — Gianeya powiedziała, że chce jechać do Połtawy i pokazała to miasto na mapie.

W swoich częstych i długich podróżach po Ziemi zawsze korzystała z komunikacji lądowej i morskiej, nie uznawała natomiast transportu powietrznego. I tym razem wybrała wuczebus, chociaż wiedziała, że ta podróż będzie i dłuższa, i bardziej męcząca.

Może pragnęła przyjrzeć się z bliska ziemskiej przyrodzie?

Czasu było niedużo. Sto kilometrów dla globekspresu jadącego z pełną szybkością to

jedynie dziesięć minut. Pasażerowie weszli na niewielkie wzniesienie znajdujące się czterdzieści metrów od automagistrali. Obserwowanie przejścia ekspresu z dołu nie było tak ciekawe.

Pierwsza na szczycie wzgórka znalazła się Gianeya. Dziewczyna była zręczna, jej ruchy były precyzyjne i celowe, wołała biegać niż chodzić. Lekko wbiegła na dość ostry stok, pokonawszy ostatnie metry jednym skokiem.

Na tle błękitnego nieba rysowała się wyraźnie jej zgrabna sylwetka, swobodnie wyprostowane ramiona i dumnie osadzona głowa. W promieniach słońca z daleka ginął zielonkawy odcień jej ciała i Gianeya przypominała brązową statuetkę odzianą w olśniewająco białą, krótką suknię.

— Wyjątkowo piękna! — zauważył ktoś z pasażerów wuczebusu.

Muratowa była świetną sportsmenką, ale przy wchodzeniu na pagórek została z dziesięć metrów za swoją towarzyszką. Zrównawszy się z nią mimo woli zwróciła uwagę na to, jak spokojnie i równo oddycha Gianeya. Szybkie wejście pod górę najwyraźniej ani trochę jej nie zmęczyło, nie przyspieszyło bicia jej serca.

— Słyszę jakiś przeciągły łoskot — powiedziała Gianeya wskazując ręką w stronę, z której powinien pokazać się ekspres.

Pociąg był jeszcze bardzo daleko za horyzontem. Nikt na świecie nie mógłby z takiej odległości usłyszeć charakterystycznego szumu jadącego z pełną szybkością globekspresu. Muratowa jednak ani przez chwilę nie wątpiła, że Gianeya rzeczywiście słyszy ten dźwięk. Niejednokrotnie przekonała się, że gość ma fenomenalny słuch.

Przypomniało jej się powiedzenie z dziecinnej bajki: „Słyszał, jak trawa rośnie”.

Od strony wuczebusu metaliczny głos zapowiedział:

— Zbliża się ekspres!

To oznaczało, że mechaniczny kierowca wuczebusu usłyszał odgłos zbliżającego się pociągu. Cybernetyczny automat posiadał taki sam słuch jak i Gianeya.

Pasażerowie przyspieszyli kroku.

— Co on powiedział? — spytała Gianeya.

Muratowa przetłumaczyła.

— Tak, ekspres jest coraz bliżej — potwierdziła dziewczyna.

Okazało się, że nie wszyscy potrafią pokonać sześć metrów podejścia. Część pasażerów została w połowie zbocza. Do dziewcząt przyłączyło się około dwudziestu osób.

Z tego miejsca linia globekspresu była widoczna jak na dłoni.

— Czy nas stąd nie zmiecie? — zapytał z trwogą ktoś obok Muratowej.

— Skądże — odpowiedział inny. — Od toru dzieli nas ze trzydzieści metrów.

Jak gdyby w odpowiedzi, odezwał się znowu automatyczny „kierowca” wuczebusu.

— Uprasza się o zajmowanie pozycji siedzącej — powiedział dobitnie skandując poszczególne słowa.

Wszyscy natychmiast zastosowali się do zalecenia. Jedynie Gianeya, po przetłumaczeniu jej komunikatu, stała nadal. Muratowa, która już zdążyła usiąść, szybko wstała. Nie mogła dopuścić do tego, żeby oddany pod jej opiekę gość z powodu swojej nieostrożności upadł i doznał choćby niewielkich obrażeń. Stojąc obok Gianei objęła ją mocno za ramiona — taka pozycja była bezpieczniejsza.

Gianeya uśmiechnęła się i objęła Marinę w pole.

„Teraz się nie przewrócimy” — pomyślała Muratowa czując całym ciałem jak pewną podporą jest ta smukła, pozornie delikatna, ale silna ręka.

Chciała podtrzymać Gianeję, a okazało się, że Gianeya podtrzymuje ją.

— Tę linię zbudował twój brat? — nieoczekiwanie spytała Gianeya.

Muratowa drgnęła. Nie, tego już było za wiele! Nigdy w rozmowach nie wspominała o swoim bracie, zgodnie z prośbą Wiktora, który nie chciał, żeby gość wiedział o ich pokre-

wieństwie. Przecież Gianeya dobrze zna Wiktora i nie podejrzewa, że jest bratem Mariny. Któż jej mógł o tym powiedzieć? I skąd wie, że właśnie Wiktor opracował koncepcję takiej linii?

Olbrzymie, tak niezwykle osadzone oczy uważnie wpatrywały się w Muratową oczekując odpowiedzi. Ledwie dostrzegalny uśmiech błędził w zielonkawych kącikach pięknie zarysowanych ust. I Marinie już nie po raz pierwszy przemknęła przez głowę myśl, że Gianeya udaje — zna ziemski język, w tajemnicy przed nią czyta gazety i czasopisma.

— Nie — machinalnie odpowiedziała Muratowa w swoim ojczystym języku — Wiktor nie budował tej linii, a tylko opracował jej konstrukcję.

— Co powiedziałaś? — zapytała Gianeya.

„Jeżeli udaje, to bardzo wprawnie. Może nie zna rosyjskiego, ale jakiś inny język”.

Muratowa przełożyła to, co powiedziała, na język gościa.

— Nadchodzi! — powiedział ktoś.

Miał na myśli globekspres.

W dali, tam gdzie „szyny” drogi zlewały się w jedną prostą linię, pojawił się jaskrawo świecący punkt. Zbliżał się szybko. Niski, przeciągły łoskot zwiększał się z każdą sekundą.

„Kierowca” wuczebusu uprzejmie informował:

— Globekspres pędzi z szybkością 610 kilometrów na godzinę albo 169,17 metra na sekundę.

Zanim przebrzmiało to zdanie, ekspres zdążył przejechać około dwóch kilometrów i znajdował się już w pobliżu. Wyraźnie można było odróżnić długi, opływowy kształt pierwszego srebrzystometalowego wagonu. W promieniach słonecznych było dobrze widać ciągnący się za ekspresem ogon zwichrzonego powietrza.

Niektórzy z patrzących na wzgórzu zatkali uszy: do olbrzymiego łoskotu dołączył się jeszcze potężujący się gwizd. Gianeya stała nieruchomo i nie spuszczała oczu ze zbliżającego się pociągu. Już wiele razy jeździła globekspresem, jednak nigdy jeszcze nie widziała go z zewnątrz, w czasie ruchu. Czy mówił jej coś widok pojazdu, czy coś jej przypominał? Kto to mógł wiedzieć?

W chwili gdy krótki skład srebrzystej błyskawicy przemknął obok wzgórza uderzając widzów falą rozbitego pędem powietrza, Muratowa przypadkiem spojrzała w twarz Gianei i zdążyła dostrzec błysk w ciemnych oczach swej towarzyszki.

Co on znaczył? Co go wywołało? Czy był to zachwyt nad potęgą ludzkiej techniki, czy... drwina z jej zacoiania?

Kiedy globekspres zniknął za przeciwległą linią horyzontu i ucichł łoskot, Muratowa spytała:

— Jak ci się to podobało?

Gianeya jednak nie odpowiedziała nic.

II

Obie dziewczyny nie wiedziały, że człowiek, o którym niedawno rozmawiały — Wiktor Muratow — znajdował się w globekspresie, który dopiero co przemknął obok nich.

Wiktor siedział w głębokim miękkim fotelu przy ścianie wagonu i uważnie przeglądał kartki rękopisu.

Tak jak i wszyscy, dowiedział się z gazet, że Gianeya pojechała do Połtawy, a z nią oczywiście jego młodsza siostra. Nie przypuszczał jednak, że parę minut temu znajdował się tuż obok nich. I nawet jeżeliby popatrzył przez okno, to przy takiej szybkości nie mógłby

zauważyć grupy ludzi stojących na małym pagórku.

Murатов był bardzo wysokim, mocno opalonym, atletycznie zbudowanym trzydziesto- pięcioletnim mężczyzną. Podobnie jak siostra miał czarne gęste włosy i wąskie oczy. Był więc trochę podobny do Gianei.

Sam jednak nie zauważał tego podobieństwa, które każdemu rzuciłoby się w oczy. Co prawda, raz zwrócono mu na to uwagę, ale Murатов szybko o tym zapomniał.

I nie przypomniał sobie tego nawet teraz, kiedy miał przed oczami fotografię Gianei, naklejoną na jedną z kart rękopisu.

Nawet nie spojrzął na zdjęcie. Nie musiał. Należał przecież do tych nielicznych, którzy pierwsi zobaczyli przybywającą z innego świata dziewczynę, i jej rysy na zawsze wryły mu się w pamięci. Zarówno okoliczności jak i miejsce tego pierwszego spotkania były niezwykle.

Szybko przeczytawszy ostatni fragment, a raczej rzuciwszy na niego tylko okiem, Murатов uporządkował strony, starannie wyprostował kartki, złożył rękopis na pół i schował go do kieszeni.

— Nie, to zupełnie nie to! — powiedział zruszywszy ramionami.

— Co: nie to? — zapytał siedzący obok niego w takim samym fotelu starszy, a właściwie stary człowiek o śnieżnobiałych włosach.

— Autor nie ma racji — Murатов dotknął kieszeni, w której leżał rękopis. — To kolejna teoria dotycząca pojawienia się Gianei. Proszono mnie, ażebym przeczytał i wydał swoją opinię.

— Jest ona, oczywiście negatywna?

— Tak.

— Przepraszam, kim pan jest?

Murатов się przedstawił.

— Słyszałem — powiedział staruszek — jakżeby nie, słyszałem, i to nieraz. Ale, nawiasem mówiąc, czy ten globekspres, którym teraz jedziemy, to pański wynalazek?

Murатов uśmiechnął się. Niecodziennie spotykało się człowieka, który nie wiedział, kto skonstruował glob ekspres.

— Nie — odpowiedział. — „Z wynalezieniem”, jak to pan określił, globekspresu nie mam nic wspólnego. Jedyna rzecz, którą mam na sumieniu, to tylko niewielkie zmiany modelu linii, ale nic ponadto.

— Tak, tak, — powiedział staruszek. — Ma pan rację, teraz sobie przypomniałem. Proszę wybaczyć. Skorośmy się już spotkali, to, jeżeli pan pozwoli, ośmielę się zadać pytanie.

„Kto to jest? — pomyślał Murатов. — Ma jakiś dziwny sposób mówienia”.

— Proszę — powiedział głośno.

— Oto jadę — zaczął staruszek. — Cała podróż trwa tylko dwie godziny. Za moich czasów pociąg pospieszny zużyłby na to całą dobę. Jadę i nie wiem, dzięki czemu globekspres mknie z tak szaloną szybkością?

— Dlaczego szaloną?

— No, nie wiem — zirytował się staruszek. — Panu wydaje się to może naturalne, ale dla mnie... dla mnie nie. A więc jeśli jest pan tak uprzejmy, to proszę mi to wytłumaczyć.

Murатов uważnie spojrzął na swego rozmówcę. Tak, ten człowiek jest stary, bardzo stary. Obecnie, kiedy dzięki nauce wielokrotnie przedłużono młodość organizmu ludzkiego, tak pomarszczoną twarz spotykało się bardzo rzadko. Także i fakt, że nie wie on o rzeczach, które znają nawet dzieci, wskazuje na bardzo, bardzo podeszły wiek.

— Proszę wybaczyć — powiedział, naśladowując sposób mówienia swojego towarzysza — czy byłby pan łaskaw powiedzieć, ile pan ma lat?

Staruszek zupełnie nieoczekiwanie wesoło się roześmiał.

— Gotów jestem się założyć — powiedział — że zastanawia się pan, skąd się wziął taki nieuk? Proszę nie protestować, nie obraziłem się. To przecież oczywiste, że pan tak myśli.

Tak, ze współczesnego punktu widzenia jestem nieukiem. A kiedyś uważano, że jestem bardzo wykształcony. Uczyłem innych. Trudno w to uwierzyć, prawda? — zaśmiał się znowu, jak się wydawało Muratowowi, z lekkim odcieniem goryczy.

Nagle Muratow doznał olśnienia. Czyżby to był on? Wygląda na to, że tak. W tych czasach używano nie tylko nazwiska, ale również „otczestwa”...

— Myli się pan, Mikołaju Adamowiczu — powiedział. — Nikt nie uważa, że jest pan nieukiem.

Staruszek nie zdziwił się.

— Zgadł pan — uśmiechnął się. — Tak, jestem Bołotnikow, Mikołaj Adamowicz, doktor nauk biologicznych z drugiej połowy zeszłego wieku. Mam dziewięćdziesiąt siedem lat. Jeśli dodać jeszcze okres czasu, który spędziłem we śnie, to razem będzie sto dwadzieścia dwa.

— We śnie... — machinalnie powtórzył Muratow.

— No, nie we śnie, a w anabiozie. Niewielka różnica. Anabioza jest również snem, tyle tylko, że głębszym.

Wiktor z ciekawością patrzył na swojego towarzysza.

— Teraz nie powinien się pan dziwić mojej ignorancji w wielu zagadnieniach — kontynuował stary profesor. — Cztery lata to niewiele czasu. Starczyło mi go zaledwie na zaznajomienie się z osiągnięciami w biologii, w mojej dyscyplinie. Wszystko pozostałe wypadło z pola widzenia.

— Rozumiem — powiedział Muratow. — To ciekawe spotkanie. Jestem bardzo zadowolony. Pod tym względem mam w ogóle szczęście. Niejednokrotnie spotykałem się ze sławnymi ludźmi. Być może nie wie pan, profesorze, ale i Gianaja...

— O tym wiem — przerwał Bołotnikow, patrząc na zegarek. — Mamy jeszcze piętnaście minut. Wysiadam w Połtawie.

— O, to mamy dość czasu. Chce pan wiedzieć, w jaki sposób porusza się globekspres?

— Tak, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

— Na pewno zna pan prąd ultrawysokiej częstotliwości. — Bołotnikow skinął głową. — Jeśli mnie nie zawodzi pamięć, to jeszcze przed dniem pańskiego, powiedzmy, „wyjścia z życia” prądy te były przekazywane przez podziemne kable. Autobusy, które pobierały energię z tej sieci, albo jak nazywamy je teraz, wuczebusy, istniały już wtedy...

— Chciał pan powiedzieć, że globekspres...

— Właśnie. Tylko, że teraz prądów o ultrawysokiej częstotliwości nie przesyła się kablami. Znalaziono sposób przesyłania ich wprost powietrzem, tak jak fale radiowe i w dodatku bez strat. Na określonej wysokości nad ziemią rozciąga się, jeśli można tak określić, jednolita warstwa energii. Jeśli przedtem, na przykład, wuczebusy musiały się poruszać tylko tymi trasami, pod którymi biegł kabel, to obecnie mogą się poruszać w każdym kierunku. Ale silniki wuczebusu — to motory elektryczne, a globekspres poruszają silniki odrzutowe. Energia, praktycznie o nieograniczonej mocy, jest pobierana „z powietrza”, a kulkowa zasada ślizgu... znana jest od dawna. Na przykład łożyska kulkowe. Tarcie, jakie powstaje pomiędzy globekspresem a jego podstawą, to znaczy idealnie gładkimi półokrągłymi „szynami”, jest nieznaczące. To wszystko pozwala na rozwinięcie... szalonej szybkości — Muratow uśmiechnął się.

— Patrzcie go, ale złośliwy — powiedział Bołotnikow. — Dziękuję, mój drogi. Wszystko zrozumiałem. Nie przypadkiem mówiono niegdyś: „Dobry majster wszystko potrafi”. Wyjaśnienie proste i wyczerpujące. Zbliżamy się do Połtawy — dodał, popatrzawszy w ogromne na całą długość wagonu okno.

Globekspres mknął z dotychczasową prędkością. Za lustrzaną taflą, jak daleko sięgał wzrok, rozciągała się panorama ogromnego miasta. Wysoko w niebo strzelały iglice wieżowców.

— Nie, to jeszcze nie jest Połtawa — powiedział Muratow. — To Selenia, zupełnie nowe miasto, które wyrosło w ciągu ostatnich pięciu lat wokół kosmodromu. To przedmieście Połtawy.

— Ładne przedmieście — Bołotnikow uśmiechnął się. — Większe od dawnych stolic. Nawiasem mówiąc, ostatni raz byłem tutaj równo sto lat temu. Wtedy to była jeszcze niewielka miejscina. Mówię oczywiście o Połtawie, a nie o Selenie.

Globekspres zaczął zmniejszać szybkość. Potężny łoskot, ledwie słyszalny wewnątrz wagonu, teraz jak gdyby całkowicie umilkł. Niewykluczone, że kierujący pociągiem automat, obliczywszy siłę bezwładu, która pozwoli mu dotrzeć do peronu stacji, wyłączył silniki.

Selenia została w tyle. Szybko zbliżały się masywy pierwszych budynków Połtawy.

Bardziej niecierpliwi pasażerowie zaczęli wstawać ze swoich miejsc. Wagon nie posiadał żadnych ścianek i przedziałów. Wyglądał jak jedno duże pomieszczenie, którego podłoga zasłana była miękkim, puszystym dywanem. Jego umeblowanie stanowiły stoliczki, barki i szafki na książki oraz przenośne telewizory. Fotele można było postawić, gdzie się miało ochotę, zgodnie z życzeniami pasażerów.

Metaliczny głos zakomunikował:

— Połtawa!

— Żegnaj mój drogi — powiedział Bołotnikow. — Cieszę się, że pana poznałem.

— Jak długo zabawi pan w Połtawie?

— Dwa tygodnie.

— Zatem nie mówię żegnaj, a do zobaczenia. Będę tutaj przez trzy dni.

— Żeby powitać „Szóstą”?

— Tak.

— A więc spotkamy się, jeśli oczywiście będzie pan miał na to ochotę.

— Oczywiście tak. Aha, czy pan wie, że przyjeżdża tutaj również Gianejja?

— Wiem i chciałbym ją zobaczyć. Dotąd nie miałem okazji... Widziałem ją tylko na zdjęciach i na ekranach.

— Czy chciałby ją pan poznać?

— Nawet bardzo, ale jak to zrobić?

— Moja siostra jest tłumaczką Gianei. Niech pan do niej podejdzie, przekaże jej ode mnie pozdrowienia, a ona pana przedstawi Gianei.

— Dziękuję! Na pewno to zrobię. Gianejja bardzo mnie interesuje. Ale, ale! Przy sposobności, czy to jest jej prawdziwe imię? Chcę powiedzieć, czy ono tak samo brzmi w ich języku?

— Nie całkiem tak — Muratow wymówił powoli rozciągając sylaby: — Gij-aniej-ja. Tak w przybliżeniu brzmi to imię. I tak przedstawiła się półtora roku temu podczas pierwszego spotkania z ludźmi. Nazwaliśmy prościej — Gianejja.

— A ona?

— Od razu to zaakceptowała.

— Czy pan zna ich język?

— Znam te słowa, które zdołałem zapamiętać. Mniej więcej dwieście.

— Czy to jest trudny język?

— Nie, nie bardzo. Zdziwi pana to, co teraz powiem. W tym języku wyczuwam coś znajomego.

— Czyż to możliwe? Język innej planety...

— I mnie również to dziwi. Jednak nie mogę się pozbyć wrażenia, że te słowa brzmią jakoś swojsko. Być może kiedyś będzie wiadomo więcej... Tymczasem wiemy bardzo niewiele. Ta dziwna dziewczyna nie chce nas nauczyć swojego języka.

— Ale dlaczego?

— Na to może odpowiedzieć tylko Gianejja. Proszę próbować.

Globekspres zatrzymał się. Peron dworca osłaniała ślepa ściana ochronnego tunelu. W podłodze otworzył się właz (pozornie jednolity dywan rozdzielił się w tym miejscu). Skądś z niższej części wagonu spuszczone w dół szerokie schody.

Bołotnikow raz jeszcze pożegnał się z Muratowem, raz jeszcze podziękował mu i wysiadł. Razem z nim wysiadło około dziesięciu osób. Z dołu weszli inni pasażerowie.

Muratow nie wychodził na peron — wiedział, że globekspres zatrzymuje się tylko cztery minuty.

Dano sygnał do odjazdu. Właz wagonu zamknął się. Dywan zsunął się z powrotem i nie można było zauważyć, gdzie znajduje się wejście.

Wagon zakołysał się ledwo dostrzegalnie. Odplynęły gwałtownie, zniknęły ściany tunelu, pociąg wydostał się pod otwarte niebo. Coraz szybciej i szybciej migały za oknem znikające domy Połtawy, globekspres gwałtownie przyśpieszał.

Wkrótce miasto zniknęło za horyzontem. Po obu stronach toru rozpościerały się rozległe żółte pola. Wszędzie widać było kombajny elektryczne. Ogromne, nieruchome z pozoru, powoli pełzły pośród morza zbóż. Trwały drugie w tym roku żniwa.

Muratow poczuł głód. Bufecik „zaopatrzył” go w filiżankę gorącej czarnej kawy i kanapki.

Wracając do swego fotela, Wiktor przypomniał sobie Bołotnikowa.

„Miły staruszek! — pomyślał. — Zdziwaczały, ale bardzo sympatyczny. Ciekawe, jak potraktuje go Gianeya”.

Dziewczyna z innego świata traktowała ludzi w różny sposób, jednak ze szczerością, na jaką nie zawsze stać było mieszkańców Ziemi. Do jednych się uśmiechała, chętnie pozwalała im ścisnąć sobie rękę, do drugich z miejsca czuła antypatię. Zdarzało się, że odwracała się plecami do człowieka, który pragnął ją poznać. I nigdy nie tłumaczyła, dlaczego się jej nie podoba ten lub inny. Zauważono, że najczęściej dobrze odnosiła się do ludzi wysokich, podczas gdy ludzie niski, prawie z reguły, nie budzili jej sympatii.

Podczas pierwszych miesięcy pobytu na Ziemi Gianeya pozdrawiała ludzi podnosząc otwartą dłoń na wysokość ramienia, jednak potem przestała to robić. Milcząc wyciągała rękę do uścisku, ale nigdy nie odpowiadała w ten sam sposób.

„Czy nudzi się na Ziemi? — myślał Muratow. — Czy tęskni za swoją ojczyzną? Dlaczego nie chce bliżej, dokładniej poznać Ziemi i jej mieszkańców? Co Gianeya chce osiągnąć przez swoje uporczywe milczenie?”

Muratow nie wątpił, że dziewczyna zachowuje się w ten sposób nie bez powodu. Musiała istnieć przyczyna, i to przyczyna poważna. Ale jaka? Tajemniczość Gianey drażniła Muratowa. Właśnie dlatego opuścił tajemniczego gościa zaraz po sprowadzeniu go na Ziemię. Nie lubił zagadek, a tu miał do czynienia nawet nie z zagadką, ale z nieodgadnioną tajemnicą. Od pierwszego dnia, od pierwszej chwili pojawienia się na Ziemi, Gianeya zamknęła się w sobie, postępując prawdopodobnie zgodnie z powziętym już poprzednio planem. Muratow, lepiej niż inni, zdawał sobie z tego sprawę, był przecież świadkiem pierwszych godzin i dni pobytu Gianey wśród ludzi.

„Musi być jakaś przyczyna, musi — myślał często. — I kto wie, czy poznanie tej przyczyny nie jest o wiele ważniejsze niż to, czego chcą się dowiedzieć od Gianey nasi uczeni”.

Rękopis, który przeczytał, rozmowa z Bołotnikowem, ponownie któryś już raz z rzędu, skierowały jego myśli ku zdarzeniom z przeszłości.

Pamiętał w najdrobniejszych szczegółach wszystko, co poprzedziło pojawienie się Gianey...

CZĘŚĆ PIERWSZA

I

Drogi Wiktorze!

Bardzo proszę, żebyś przyjechał do mnie. Natychmiast. W końcu udało mi się odnaleźć w przestrzeni obiekt, którego obecność w systemie słonecznym podejrzewano jeszcze w ubiegłym wieku. Pamiętasz, opowiadałem ci o nim. Jednak nie wszystko rozumiem. Kryje się w tym coś dziwnego. Przyjeżdżaj. Wspomnimy dawne lata — razem pomyślimy. Problem jest bardzo interesujący, nie będziesz żałował. Przyjedź koniecznie. Jesteś mi bardzo, bardzo potrzebny!!!

Siergiej

Muratow dwukrotnie przeczytał krótki list przyjaciela. Było oczywiste, że Sinicyn pisał go w stanie nerwowego podniecenia. Wskazywało na to i niezwykle u niego niechlujstwo językowe, i trzykrotnie powtórzona prośba o przyjazd. Także charakter pisma był nerwowy i wyraźnie pospieszny. Nie pasowało to do zawsze opanowanego, zrównoważonego w słowie i gestach astronoma. I po co pisać, kiedy można wszystko szybciej i prościej powiedzieć przez radiofon.

O jaki obiekt chodzi? Muratow absolutnie nie pamiętał, by przyjaciel opowiadał mu o czymkolwiek podobnym.

Idzie na pewno o jakieś odkrycie astronomiczne. Wskazują na to określenia takie, jak „przestrzeń”, „system słoneczny”. Ale przecież Siergiej wie, że on, Wiktor, nigdy specjalnie nie interesował się ciałami niebieskimi, że jego znajomość astronomii ogranicza się do ram szkolnego programu. Na jaką więc pomoc liczy?

Najprościej było podejść do radiofonii i wywołać obserwatorium, w którym pracował Sinicyn. Muratow jednak stawiał sobie zawsze za punkt honoru samodzielne rozwiązywanie każdej, najdrobniejszej nawet zagadki.

Tak samo i teraz. W liście było coś niejasnego. Siergiej prosił o przyjazd, nie napisał jednak po co, trzeba się zatem domyślić samemu.

Muratow badawczo wpatrywał się w każde słowo.

„Choćby był największym nawet niechlujem i choćby mu się najbardziej nawet śpieszyło — myślał — powinien był napisać, o co chodzi”.

„Coś dziwnego!” To chyba jest klucz do zrozumienia tej zagadki. Siergiejowi udało się odkryć coś nowego w systemie słonecznym. Jest to rzecz dziwna sama w sobie, ponieważ system słoneczny został jakoby zbadany wzdłuż i wszerz. I oto odnaleziony przez niego „obiekt” dziwnie się zachowuje. Siergiej nie rozumie, dlaczego tak się dzieje. Na to właśnie wskazują słowa: „pomyślimy razem”.

Tak! Teraz dalej...

„Wspomnimy dawne lata”. O co może chodzić? Przecież nie o sport. Obaj w młodości lubili razem rozwiązywać zagnatwane zadania matematyczne. Zgadza się! Na czymże mogą polegać „dziwności” astronomicznego układu? Tylko na ruchu ciała i jego orbicie. I, w końcu, „interesujący problem”! Jasne! Siergiej potrzebuje pomocy matematyka, żeby określić, po jakiej orbicie porusza się „obiekt”.

Muratow uśmiechnął się. Musiał myśleć przez całe pięć minut, gdy wszystko było właściwie jasne i nie było żadnej zagadki.

Był zajęty i nie zamierzał rzucać pracy. Może dałoby się pomóc przyjacielowi nie ruszając się z miejsca? Czy naprawdę musi się tam zjawić osobiście?

Murатов podszedł do aparatu, ale nie udało mu się porozmawiać z Siergiejem. Ktoś z pracowników obserwatorium oświadczył, że „Sinicyń od dwóch dni nie wychodzi ze swego gabinetu. Zabarykadował się i nie odpowiada na żadne wezwania”. „Jak to, nie je, nie śpi?” — zapytał Muratow. „Na to wygląda” — brzmiała odpowiedź.

Siergiej był właśnie taki. Jeżeli coś go bardzo zafrapowało, potrafił pracować dniem i nocą bez chwili odpoczynku. Widocznie problem, który rozwiązywał, był bardzo interesujący.

Nie zostawia się trzykrotnie powtórzonej prośby przyjaciela bez odpowiedzi. Nie zastanawiając się dłużej Muratow wyleciał tego samego dnia.

Gdyby mógł przewidzieć, co kryje się za tym listem! Czy pojechałby wtedy do Siergieja?...

Rzucając poprzednią pracę Muratow, jak zawsze, chciał natychmiast zabrać się za nową. Wydawało mu się, że trzy godziny, które zajmie mu podróż, to bardzo długi okres czasu.

Transatlantycki odrzutowiec przelatywał właśnie nad obserwatorium. Lotnisko znajdowało się ponad tysiąc kilometrów dalej na zachód. A to znaczyło, że trzeba będzie jechać z powrotem jakimś lądowym środkiem lokomocji i stracić jeszcze dwie godziny...

Muratow oświadczył, że chce wyskoczyć na spadochronie. Radiotelegrafista wywołał obserwatorium. Odpowiedziano stamtąd, że na miejsce lądowania wyślą raketoplan.

— Czy już pan kiedyś skakał? — zapytał jeden z członków załogi, pomagając Muratowowi zapiąć pasy spadochronu.

— Tylko raz, jeszcze w szkole. A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

— Po prostu lecimy na wysokości siedmiu kilometrów. Musi pan skakać z opóźnionym otwarciem spadochronu.

— A co, czy to bardzo skomplikowane'?

— Nie, nic szczególnego. Spadochron działa automatycznie, otworzy się sam w odpowiednim momencie. Ponieważ nie jest pan jednak przyzwyczajony, opadanie bez spadochronu może być nieprzyjemne.

— Proszę się nie martwić. Mam mocne nerwy.

Raketoplan zjawił się w dwie minuty po pomyślnym wylądowaniu Muratowa.

W pięć minut później Muratow wchodził już do jednego z budynków naukowego miasteczka, w którym, jak mu powiedziano, znajdował się gabinet Sinicyńa.

Na pukanie nikt nie odpowiedział.

Muratow zastukał mocniej.

— Jestem zajęty, proszę mi nie przeszkadzać — usłyszał wściekły głos Siergieja.

— W takim razie — śmiejąc się odpowiedział Muratow — odlatuję z powrotem. Otwórz, wariacie! To ja, Wiktor.

Rozległy się szybkie kroki i drzwi otworzyły się.

Muratow zaskoczony widokiem, jaki mu się przedstawił, wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Sinicyń stał przed nim tylko w slipach i pantoflach na bosych nogach. Twarz miał umorusaną smarem i jakąś ciemną farbą. Kosmyki zmierzwionych włosów sterczały na wszystkie strony.

W gabinecie panował zaduch.

— Co tu się dzieje? W wolnych chwilach zajmujesz się remontem? Czemu tu tak gorąco?

— Po pierwsze, dzień dobry! — spokojnie powiedział Sinicyń. — Dziękuję, że przyjechałeś. Jesteś mi bardziej potrzebny teraz, niż wtedy kiedy pisałem list. Wprost niezbędny. A upał... popatrz — wskazał na niewielką podręczną elektronową maszynę liczącą, która stała przy biurku. — Ten portable nie jest obliczony na trzydzieści godzin nieprzerwanej pracy.

— Czemuż ją więc nieszczęsną tak dręczysz? — Muratow uważnym spojrzeniem ogarnął gabinet.

Podłoga była zarzucona stosami polietylenowych płytek — programów. Leżały wszędzie: przy maszynie, na dywanie zakrywającym środek pokoju, nawet przy drzwiach. Widocznie gospodarz gabinetu rzucał je, gdzie popadło. Ubranie Sinicyna także było porzucane na krzesłach i tapczanie. Okna były szczelnie zasłonięte ciężkimi portierami. Palily się żyrandole i parę stojących lamp.

Wymowny obraz. Na pewno Siergiej nawet nie wie, że jest już dzień, a nie noc.

— Nic nie wychodzi? — zapytał drwiąco Muratow.

— Przeklęta zagadka! Można rwać włosy z głowy z rozpacz.

— Zdaje się, że próbowałeś to robić. Słuchaj, kochany, w ogóle cię nie poznaję. Sądzisz, że czegoś dokonasz w takim stanie? Nie pytam, czy spałeś w nocy, bo widać, że nie. Jadłeś coś przynajmniej?

— Zdaje się.

— Właśnie, zdaje się. A mnie się nie zdaje. Która jest godzina?

— Godzina?

— Właśnie! — Muratow wzruszył ramionami. — Masz do wyboru: albo natychmiast weźmiesz kąpiel, zjesz śniadanie i położysz się spać. Natychmiast! Albo zaraz wyjeżdżam. Zrozumiałeś?

— Spać? — warknął Sinicyn. — Znalazłeś odpowiednią porę. Siadaj i słuchaj.

— Niczego nie będę słuchać. Nie mam ochoty gadać z takim straszidłem. Do czego ty jesteś podobny? Szkoda, że nie ma tutaj lustra.

Muratow podszedł do okna i podniósł portierę, promienie słońca wtargnęły do gabinetu — i otworzył na oścież okno.

— O właśnie! — Spotkawszy zdziwione spojrzenie przyjaciela, Muratow się uśmiechnął. — Teraz jest druga godzina po południu! Po południu, a nie w nocy, jak ci się zapewne wydaje.

— Druga godzina?

— Właśnie, wedle czasu miejscowego.

Sinicyn od razu spuścił z tonu.

— Dobrze — odpowiedział — przyjmuję twoje ultimatum. Okazuje się — dodał, uśmiechając się — że „dręczyłem” maszynę nie trzydzieści, a ponad pięćdziesiąt godzin. Dlatego się przegrzała.

— Jeszcze lepiej. Dwie doby bez spania i jedzenia! I taki człowiek chce rozwiązać złożony matematyczny problem! W tej sytuacji nie tylko twoja maszynka, ale nawet mózg elektronowy Instytutu nic ci nie pomoże.

— Nie może pomóc. Nic nie pomoże, jeśli ja sam czy też ty nie sformułujemy prawidłowych przesłanek. Sto dwadzieścia siedem wariantów! — zawołał Sinicyn. — Sto dwadzieścia siedem! I wszystko na nic.

— Ubieraj się! — Muratow podniósł drugą portierę, wyłączył maszynę i zgasił światło. — Przecież nie pójdziesz tak do domu. To nie plaża.

Sinicyn zaczął się powoli ubierać.

Coś jakby żal czy niezadowolenie zatliło się w duszy Muratowa. Siergiej pójdzie i prześpi z dziesięć godzin, nie mniej. A co on będzie przez ten czas robił?

— A jeżelibyś tak krótko... — niepewnie powiedział — najogólniej? O co chodzi?

Sinicyn spojrział zdumiony na przyjaciela i obaj roześmieli się.

Nad kontynentem Ameryki Południowej wygwieżdżonym kobiercem rozłożyła się noc. Księżyc nie świeci. Do okna gabinetu zagląda Krzyż Południa. W aksamitnoczarnej otchłani migoczą niezwykle gwiazdozbiory. Gdzieś między nimi, blisko, bardzo blisko Ziemi płynie,

być może właśnie teraz, tajemnicza zagadka.

Muratow powoli chodzi po gabinecie, nie wiadomo, który już raz przecina go wzdłuż i w poprzek. Okna są otwarte na oścież. Pali się tylko jedna lampa stołowa, która oświetla część pokoju i pulpit maszyny liczącej.

W gabinecie panuje wzorowy porządek. Perforowane karty rozrzucone przez Sinicy na całym pokoju są ułożone w trzech równych stosach na brzegu stołu. Po drugiej stronie wznosi się znaczny stos nowych, zużytych już przez Muratowa. Wszystko na próżno! Zagadka jest dalej nie rozwiązana.

Sto dwadzieścia siedem wariantów Sinicy i siedemnaście Muratowa. I ciągle w tym samym miejscu!

W ciągu dnia rozmawiali ze sobą przez dwie godziny. Siergiej odzyskał spokój i właściwą sobie precyzję. Zreferował Muratowowi problem szczegółowo i gruntownie. Teraz Wiktor wie tyle samo, co i Siergiej.

Naturalnie można by się zwrócić o pomoc do Instytutu Kosmonautyki. Siergiej jednak nie chce tego zrobić i Wiktor zgadza się z nim. Sam rozpoczął i sam doprowadzi sprawę do końca. Instytut tak czy owak trzeba będzie zawiadomić, ale to przecież zupełnie co innego, kiedy zwraca się do nich z rozwiązaniem problemu, a co innego, kiedy przychodzi się z pustymi rękoma. Człowiek nie lubi przyznawać się do tego, że jest bezradny. Siergiej ma rację! Nie chodzi tutaj o niego, Wiktora. Nigdy przed sobą niczego nie ukrywali. Jeżeli zagadkę rozwiąże Wiktor, to będzie tak samo, jakby rozwiązał ją Siergiej.

Tak, ale jak znaleźć to rozwiązanie?

Mimo pozornego spokoju, Muratow jest niezwykle zdenerwowany. Minęło już dziesięć godzin, a Siergiej wciąż śpi kamiennym snem. Tymczasem on drepcze w miejscu i ani na krok nie przybliżył się do rozwiązania. To mu się jeszcze nie zdarzyło. Co prawda na taki problem natknął się po raz pierwszy.

A wydawało się, że to jest takie proste. W ciągu jednego tygodnia radiolokator ośmiokrotnie złapał w przestrzeni nieznaną obiekt. Osiem punktów na orbicie! A przecież wystarczą trzy, żeby szybko i dokładnie obliczyć właściwą orbitę.

Jednak obliczenia ciągle prowadzą w ślepią uliczkę, są absolutnie sprzeczne z prawami mechaniki nieba.

Może to nie jest jeden obiekt? Może są dwa, trzy czy więcej? Siergiej jednak uważa, a Muratow zgadza się z nim, że to nieprawdopodobne. Kilka obiektów w pobliżu Ziemi i żaden z nich nie znalazł się dotąd w polu widzenia teleskopu? Nieprawdopodobne! Na pewno obiekt jest tylko jeden.

Siergiej wyliczył wszystkie możliwe orbity dla jednego lub dwóch obiektów we wszystkich możliwych kombinacjach ośmiu punktów. Żadnej nie można było przyjąć. Muratow zaczął prowadzić wyliczenia dla trzech obiektów, ale wkrótce zaniechał tej pracy.

Do rozwiązania należało zabrać się w inny sposób. Wiedział, że zadanie jest proste. Inaczej być nie mogło. To tylko wydaje się trudne. Wystarczy wpaść na właściwy pomysł, a wyliczenia będą fraszką. Gdzież jednak ten dobry pomysł?

Muratow siadł na tapczanie, oparł się na miękkiej poduszce, położył ręce pod głowę. W takiej pozycji najlepiej się myśli.

Od okna powiał przyjemny chłód. Upał przeniósł się wraz ze słońcem na drugą półkulę.

Zegarek wskazuje godzinę dziewiątą. To jednak dziewiąta wedle czasu moskiewskiego. Wedle czasu miejscowego jest druga godzina w nocy.

Muratow uśmiecha się. Wygnał Siergieja spać, a sam... zajął jego miejsce i nie śpi już dwadzieścia pięć godzin.

Ale za nic w świecie nie położy się, dopóki Siergiej się nie wyśpi. Pracując na zmianę, będą ślęczeć dopóty, dopóki rozwiążą problem, bądź znajdą prawdopodobną hipotezę, a wtedy będzie można bez wstydu zwrócić się do Instytutu Kosmonautyki.

A więc, co wiadomo?

Murатов przypomina sobie opowiadanie przyjaciela...

Pierwsza wzmianka pochodzi z dwudziestego wieku. W 1027 roku K. Stermer zaobserwował niezrozumiałe odbicie fali radiowej od jakiegoś ciała znajdującego się w pobliżu Ziemi. Jakiego? Tego nie wyjaśniono. Wtedy Jednak zlekceważono znaczenie obserwacji Stermera. Pięćdziesiąt lat później historia się powtórzyła. I znowu nikt się nie zainteresował dziwnym zjawiskiem — promień radiowy odbijał się jakby od pustego miejsca. Oba fakty tłumaczono pomyłką obserwatorów. U schyłku dwudziestego wieku o mało co nie skończył się tragedią wypadek, który zdarzył się pasażerskiemu gwiazdolotowi „Ziemia — Mars”. W odległości dwustu tysięcy kilometrów od Ziemi gwiazdolot spotkał się z nieznanym ciałem niebieskim, którego zbliżenie się do statku nie zostało w porę zanotowane przez bardzo precyzyjne i czułe przyrządy znajdujące się w kabinie nawigacyjnej. Coś otarło się o burtę i pozostawiło głębokie wklęsnięcie. Dobrze, że wszystko skończyło się szczęśliwie, gwiazdolot nie rozwinął jeszcze pełnej szybkości. Również i w tym wypadku znaleziono „naturalne” wyjaśnienie — meteoryt, defekt lokatora. Czwarty wypadek zdarzył się całkiem niedawno. Statek transportowy wystartował w kierunku Wenus. Miał na pokładzie materiały budowlane i aparaturę naukową dla budowanej na tej planecie stacji Służby Słońca. Załoga statku składała się z dowódcy, nawigatora i radiotelegrafisty. Zaraz po starcie odebrano komunikat, że lokatory wykryły jakieś ciało o średnicy czterdziestu metrów, którego trasa przecina się z kursem statku. I tym razem statek nie rozwinął jeszcze pełnej szybkości. Można więc było w porę zahamować i uniknąć zderzenia. Nawigator zdażył skierować znajdujący się na pokładzie nieduży teleskop ściśle według promienia lokatora, niczego jednak nie zauważył. Radiotelegrafista statku zakomunikował, że w miarę tego, jak nieznane ciało przybliżało się do gwiazdolotu, słabł sygnał na ekranie lokatora, a w momencie największego zbliżenia zniknął całkowicie. To było zupełnie niezrozumiałe. Teraz już nie można było „wymigać się”, zwalając winę na meteoryt albo defekt lokatora — fakt został bowiem potwierdzony przez zapis automatów. W Instytucie Kosmonautyki zaczęto się niepokoić. Należało za wszelką cenę znaleźć nieznane ciało, które zagrażało bezpieczeństwu międzyplanetarnych dróg. Obserwatoria rozpoczęły więc poszukiwania. Uczestniczył w nich od początku Sinicyn. Dysponował najnowszym urządzeniem radiolokacyjnym o wielkiej mocy, którym posługiwano się w obserwatorium przy pracach związanych z „profilem Księżyca”. Okrąglą dobę, dniem i nocą, niewidzialny promień przeszukiwał przestrzeń w promieniu czterystu tysięcy kilometrów od Ziemi. I oto tydzień temu, po przyjeździe rano do pracy, Sinicyn zobaczył na taśmie autografu upragniony sygnał. O godzinie trzeciej pięćdziesiąt dziewięć i pół minuty, na wysokości dwustu osiemnastu tysięcy kilometrów przeleciało jakieś ciało o średnicy czterdziestu metrów, posuwając się ze wschodu na zachód, to jest w kierunku obrotu Ziemi. Dwie doby później, ale już w ciągu dnia, w tej samej części nieba, ale na innej wysokości, lokator znowu „zobaczył” coś, co miało takie same rozmiary, ale leciało z inną szybkością. Powtórzyło się to osiem razy. We wszystkich obserwacjach powtarzały się wymiary obserwowanego ciała, różne natomiast były jego wysokość i szybkość. Próba zobaczenia obiektu przez wizjoteleskop nie powiodła się — nie udało się go wykryć. Nie zdziwiło to nikogo; teleskop naprowadzono jedynie w przybliżeniu, a ciało było przecież bardzo małe. Nie znano jeszcze jego orbity. W Instytucie Kosmonautyki już wiedzieli o pierwszym sukcesie i czekali na dokładny raport Sinicyna.

Czy trzeba będzie przyznać się do bezradności?...

Murатов ponad godzinę siedział nie zmieniając pozycji i intensywnie myślał. Nie wierzył już, że ciało może być tylko jedno, nabierał pewności, że jest ich kilka. I nie trzy albo cztery, ale dwa. Wynika to z wyliczeń zrobionych przez Sinicyna i przez niego. Dwa, tylko dwa! Obracają się dookoła Ziemi w ten sposób, że jedno znajduje się zawsze naprzeciw drugiego, po obydwu stronach planety.

Ale taką możliwość uwzględnił już Siergiej. I zajął się obliczaniem możliwych orbit. I

wyszły mu absurdy.

Muratow nie wątpi, że wyliczenia przyjaciela są prawidłowe. Nawet mu nie przychodzi do głowy, że mógł popełnić jakiś błąd. U Siergieja wszystko jest poprawne, wszystko oprócz...

Muratow zrywa się z tapczanu i podchodzi do stołu. Tak, należy sprawdzić i taki wariant, nawet jeśli wydaje się nierealny. Siergiej wyszedł z założenia, że mają do czynienia z dwoma naturalnymi ciałami, które poruszają się według praw przyciągania. Wtedy, oczywiście, żadna z hipotetycznych orbit nie będzie odpowiadała faktycznemu ruchowi ciała, ale jeżeli są one... sztuczne...

Na korzyść podobnego przypuszczenia przemawia wiele. Po pierwsze, ciała są niedostrzegalne przez wizjoteleskop nawet z bliskiej odległości. Staje się to zrozumiałe, jeśli przyjąć, że są one pomalowane na czarno i dlatego nie odbijają promieni słonecznych. Takich barw nie mogą mieć ciała naturalne. Po drugie, radiolokatory „widzą” je z odległości, a nie „widzą” z bliska. To trudniej wyjaśnić, ale można założyć (jak już fantazjować to do końca), że ci, którzy je wystrzelili, chcieli utrudnić ludziom ich znalezienie. I po trzecie, ciała poruszają się w kierunku odwrotnym do ruchu planet, odwrotnym do ruchu Ziemi. To, co prawda, zdarza się w przyrodzie, ale bardzo rzadko. Zatem sztuczne sputniki Ziemi zostały skądś wystrzelone.

Muratow przypomina sobie, że taką hipotezę postawiono już w wieku dwudziestym. Kiedyś o niej czytał. Jak się autor nazywał? Muratow szuka w pamięci. Tak, Bracewell.

„Ale przecież sztuczne sputniki, stworzone przez ludzi, poruszają się zgodnie z prawami przyciągania — myśli. — Tak, ale nie mają silników, poruszają się prawem inercji. Jeśli działa jeszcze jakaś uboczna siła, orbita może przybierać najdziwniejszy zarys”.

Czy ta nowa przesłanka ułatwia zadanie? Nie, raczej utrudnia. W jaki sposób wyliczyć trajektorię, jeżeli zupełnie nie zna się jej celu?

W tropiku dnieje szybko. Promienie wstającego słońca rozpraszają mrok w kątach gabinetu. Lampa świeci już mętnym, żółtym światłem. Lecz Muratow tego nie zauważa. Perforowane karty nikną w maszynie jedna po drugiej. Na ekraniku pojawiają się wyniki obliczeń. Elektronowy matematyk dobrze pomaga żywemu.

Orbity, orbity, orbity! Tylko o nich jest w stanie myśleć Muratow.

Dokładnie o dziewiątej rano Sinicyn świeżo ogolony i starannie uczesany, w lekkim białym garniturze, ożywiony i nawet wydawałoby się wesoły podszedł do drzwi swojego gabinetu. Wesołość była pozorna, w rzeczywistości był niespokojny i zdenerwowany. Czy Wiktorowi udało się chociażby częściowo choć cokolwiek przybliżyć do rozwiązania? Czy wpadł na jakiś sposób, który rozjaśniłby nieco mroki kosmicznej tajemnicy?

Sinicyn doskonale znał przenikliwy umysł Wiktora, jego olbrzymie zdolności matematyczne i niezwykle rozwiniętą wyobraźnię, tak bardzo potrzebną w badaniach, a tego brak właśnie Sinicynowi. Sinicyn to praktyk, Muratow — teoretyk.

Siedemnaście godzin pracy (Sinicyn nawet przez chwilę nie wątpił, że Wiktor pracował przez całą noc) powinno przynieść jakieś rezultaty.

Nie wolno zwlekać. Z Instytutu Kosmonautyki w każdej chwili mogą zażądać przekazania wszystkich materiałów. Wtedy nie będzie można odmówić. Sinicyn dobrze wiedział, że międzyplanetarne szlaki są od jakiegoś czasu zamknięte. W oczekiwaniu na oczyszczenie przestrzeni okołozemskiej na kosmodromach stoją unieruchomione gwiazdoloty. A liczne ekspedycje, które znajdują się na Wenus, na Marsie, na sputnikach większych planet, na asteroidach... Drogi prowadzące w kierunku Ziemi są dla nich zamknięte. Wszyscy czekają!

Otworzywszy drzwi, Sinicyn ze zdumieniem zatrzymał się na progu.

Portiery opuszczone, w pokoju półmrok. Na tapczanie z rękami pod głową (znana poza!) spokojnie śpi Wiktor.

Zdumienie trwało tylko chwilę. Czyżby?!

I radość, bezmierna radość ogarnęła Siergieja. Rzucił się natychmiast do stołu, nie wątpiąc, że znajdzie tam coś niesłychanie ważnego, rozstrzygającego. Przecież Wiktor nie mógł zasnąć nie znalazłszy rozwiązania? Rzeczywistość nie zawiodła jego oczekiwań. Na niewielkiej kartce papieru wyrwanej z bloku Sinicyn przeczytał:

Sierioża, krzycz hura! Dzisiaj wieczorem, otrzymamy fotografią pierwszego twojego „obiekta”, a jutro rano — drugiego. Orbita jest na ekranie. Drugą oblicz sam. Nie jestem twoim murzynem. Zmęczyłem się jak pies. Dobrej nocy!

Wiktor

Dobrze już, podpowiem! Obydwa obiekty mają jedną i tę samą masę. Zapamiętaj!

II

Wybitni uczeni Instytutu Kosmonautyki nie zamierzali tracić czasu. Natychmiast odda-no głos Sinicynowi. Mówił zwięźle:

— Dookoła Ziemi, prawdopodobnie od bardzo dawna, krążą dwa sztuczne sputniki o nieznanym pochodzeniu. Oba mają jednakową wielkość, wewnątrz są puste. Kształt wydłużo-ny, w przekroju podłużnym — elipsa, w poprzecznym — koło. Długość — czterdzieści me-trów. Dane te jednak mogą okazać się niezupełnie ściśle. Orbity spiralne. Oba ciała albo się przybliżają do Ziemi, albo się od niej oddalają. Szybkość obu ciał, co potwierdziły obserwa-cje lokatorów, bezustannie się zmienia. Średnia odległość od centrum Ziemi wynosi: dla pier-wszego sputnika dwieście osiemnaście tysięcy kilometrów, dla drugiego — sto osiemdziesiąt sześć tysięcy. Sputniki są, prawdopodobnie, metalowe, nie można jednak określić ciężaru właściwego, nie wiadomo również, co znajduje się wewnątrz. Szybkość pierwszego sputnika wynosi pięć i pół kilometra na sekundę, drugiego — siedem. Uzyskane dane pozwalają przy-puszczać, że na obu sputnikach pracują jakieś silniki. Pojawiły się w pobliżu Ziemi najpra-wdopodobniej w roku 1927 albo nawet wcześniej. Gdyby krążyły po spiralnej orbicie jedynie prawem inercji, spadłyby dawno na Ziemię albo na Księżyc. Orbity obliczył znany matema-tyk Wiktor Muratow oraz częściowo ja. Położenie obu sputników na orbitach dokładnie zarejestrowano o godzinie zero dzisiejszej doby i może ono być z łatwością obliczone dla ka-żdego momentu. Nie udało się ich dotąd zobaczyć przez wizjoteleskop, chociaż ich czterdzie-stometrowa średnica całkowicie na to pozwala. Muratow wysunął hipotezę, że niewidocznymi czyni je czarny kolor, który nie odbija promieni słonecznych. Spróbowaliśmy otrzymać fotografię w promieniach podczerwonych. Przecież, jeżeli są czarne, to powinny być silnie nagrzane przez promienie słoneczne. Jednak zdjęcia nie udało nam się otrzymać, chociaż czas naświetlania był bardzo długi. Tak samo nie powiodły się próby zastosowania klisz, czułych na promienie ultrafioletowe, a także promienie Roentgena. Osobiście wydaje mi się, że sputniki nie są całkowicie czarne, a odwrotnie — całkowicie białe. Kryje się tu trudna do wyjaśnienia zagadka. To jest wszystko, co mogę w tym momencie przedstawić Radzie. W na-szym obserwatorium w dalszym ciągu prowadzone są poszukiwania sputników przy pomocy radiolokatorów.

— Czy nie próbowaliście uzyskać fotografii w promieniach gamma? — zapytał ktoś.

— Nie mieliśmy takich klisz, ale już złożyliśmy zapotrzebowanie. Natychmiast po ich otrzymaniu zrobimy i taką próbę.

— Nie możemy czekać i spokojnie prowadzić doświadczeń — powiedział przewodniczący Rady Naukowej Instytutu Kosmonautyki, profesor Henry Stone. — Na kosmodromach stoją wszystkie gwiazdoloty Ziemi, przerwano wszystkie prace w kosmosie. Taki stan nie może trwać dłużej. Powinniśmy dokładnie wiedzieć, i to jak najszybciej, co to są za ciała. Nie można opierać bezpieczeństwa komunikacji międzyplanetarnej na hipotezach i nie sprawdzonych danych. Jeżeli z jakiegoś powodu ciała są niewidoczne, nie ma pewności, że orbity zostały dobrze wyliczone...

— Zarówno ja, jak i Muratow, jesteśmy o tym przekonani — wtrącił Sinicyn.

— Jeżeli ciała są niewidoczne — powtórzył Stone, mimochodem spojrzawszy na Sinicyna — to mamy tylko jedno wyjście: wystartować w ich kierunku i, że tak powiem, „dotknąć je palcem”. Proszę, żeby towarzysz Sinicyn się nie obrażał. Sam nam powiedział, że jego zdaniem na sputnikach pracują silniki, które nieustannie zmieniają ich szybkość. Jaką mamy pewność, że orbity nie zmieniają się także? Może się to zdarzyć w każdej chwili. Nie wiemy, kto i w jaki sposób nimi kieruje. Ludzie? To mało prawdopodobne. Nie jest wykluczone, że mózg elektronowy. Nie znamy jego programu. Spory i dyskusje odłożmy na bardziej odpowiednią chwilę. Pytanie pierwsze: czy można w pełni zaufać danym, które uzyskaliście?

— Znamy wszyscy nazwisko Muratowa — odpowiedział młody na pozór, ale w rzeczywistości sześćdziesięcioletni profesor Matthews. — Również znamy dobrze Sinicyna. Według mnie, należy sądzić, że w obecnej chwili orbity sputników są zgodne z wyliczeniami. Proszę powiedzieć — zwrócił się do Sinicyna — czy wyliczone trajektorie zgadzają się ze wszystkimi ośmioma znanymi wcześniej punktami?

— Tak, zgadzają się całkowicie. Radiolokator trzy razy uchwycił bardziej odległego sputnika i pięć razy bliższego.

— A czy próbowaliście innych kombinacji? Na przykład cztery i cztery?

— Próbowaliśmy wszystkich możliwych kombinacji. Ponadto dzisiaj rano znowu lokator „złapał” bliższy sputnik. I jego położenie zgadzało się z tym, które wyliczyliśmy.

— To wystarczy.

— Proszę pozostałych członków Rady o zajęcie stanowiska — powiedział Stone.

Wszyscy obecni zgodzili się z Matthewsem.

— Teraz zadam drugie pytanie: czy należy wysłać statki na poszukiwanie tych sputników? I jeżeli tak, to ile — jeden, dwa, czy więcej?

Rada wypowiedziała się za wysłaniem dwóch statków jednocześnie w kierunku obu sputników.

— I wreszcie — powiedział Stone — trzecie pytanie: czy to jest bezpieczna ekspedycja?

Sinicyn drgnął. Stone poruszył problem, o którym dyskutowali dzisiaj rano z Wiktorem.

— Proszę o głos!

— Proszę.

— Chciałem zapoznać panów — zaczął Siergiej — z naszą opinią na temat bezpieczeństwa przybliżenia się ziemskich gwiazdolotów do sputników. Mamy do czynienia z dwoma raketami-zwiadowcami, które zostały wysłane przez uczonych z innego świata w celu zbadania z odległości naszej planety. Niewątpliwie, oba sputniki przekazują w jakiś sposób informacje tym, którzy je do nas wysłali. Wszystko to, chociaż niezwykle, jednak w końcu można zrozumieć. Dziwne, a nawet tajemnicze jest coś innego. Dołożono wszelkich starań, żebyśmy my — ludzie Ziemi, jak najdłużej nie wiedzieli o istnieniu tych sputników. Spiralne orbity, zmieniająca się szybkość, barwa, a być może także materiał, który czyni je niewidzialnymi dla naszego wzroku, a wreszcie zakłócenia, na pewno są sztucznie wywołane i zamierzone — to wszystko nie pozwala na lokację tych ciał, szczególnie z bliskiej odległości. Tyle środków ostrożności naraz, to już nie przypadek, a celowe działanie. I, co jest najbardziej interesujące, wszystkie te środki są dostosowane do poziomu technicznego Ziemi z pierwszej

połowy dwudziestego wieku, to jest wtedy, kiedy sputniki, jak przypuszczamy, pojawiły się w pobliżu naszej planety. A więc można sądzić, że to nie jest pierwszy zwiad! Ci, którzy wysłali do nas nieproszonych gości, dobrze znają naszą planetę, wiedzą, że zamieszkują ją istoty rozumne, znają poziom naszej nauki i techniki, ściślej, znają poziom sprzed stu lat. Niewykluczone, że znają również współczesną Ziemię. Nie przypadkiem tak starali się utrudnić poszukiwanie i znalezienie swoich zwiadowców. Załóżmy, że sami posłalibyśmy takich zwiadowców do sąsiedniego systemu słonecznego w kierunku jakiegokolwiek bądź planety tego systemu. Czy również staralibyśmy się tak bardzo utrudnić mieszkańcom tej planety dostrzeżenie naszych wysłanników? Wprost przeciwnie, zrobilibyśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby ich zauważyli, ponieważ potraktowalibyśmy ich jako środek porozumienia się z innym światem, jako możliwość zakomunikowania im o naszym istnieniu. Tylko w ten sposób powinny postępować istoty rozumne jakiegokolwiek świata. W tym przypadku jednak mamy do czynienia z czymś zupełnie innym.

Wysłali tych zwiadowców nie po to, aby nawiązać z nami kontakt. Mają inny cel. I my, ludzie Ziemi, nie powinniśmy znać tego celu. Oto nad czym należy się zastanowić.

Członkowie Rady wysłuchali Sinicy na z uwagą.

— To znaczy — powiedział po długiej ciszy profesor Matthews, — że mamy do czynienia z czymś, czego nigdy nie uwzględniono przy rozważaniu możliwości kontaktów pomiędzy różnymi światami. Pierwsze spotkanie z innym rozumem i... złe zamiary.

— Nie, dlaczego? — Sinicy z trudem zdobył się na sprzeciw. Razem z Wiktorem doszli właśnie do takiego samego wniosku, co i Matthews. — Niekoniecznie złe. Można przecież nawet przypuścić, że są to zamiary jak najbardziej przyjazne. Na przykład zwiadowcy są niebezpieczni, należy przy kontakcie z nimi zachować ostrożność. Przecież stopień rozwoju, na którym możliwe są takie eksperymenty, wyklucza niskie pobudki — zawołał widząc powątpiewanie na twarzach słuchaczy. — Sputniki mogą być dla nas niebezpieczne! Środki ostrożności przedsięwzięte przez tych, którzy je wysłali, mogą znaczyć: „Uwaga! Niebezpieczeństwo!” A jeżeli są zbudowane z antimaterii? To jest mój własny wniosek — łamiącym się głosem dodał Sinicy.

— Zaraz pan z niego zrezygnuje — Stone uśmiechnął się. — Proszę sobie przypomnieć zderzenie z pasażerskim gwiazdolotem „Ziemia — Mars”. Nieznane ciało dotknęło burty statku. Obecnie wiemy, że był to jeden ze sputników. Dotknął, pozostawił wklęśnięcie, ale nie spowodował anihilacji.

— Rzeczywiście, zapomniałem o tym — zgodził się Sinicy.

— To, o czym teraz słyszeliśmy — kontynuował Stone — bez względu na prawdziwość czy nieprawdziwość, potwierdza sensowność mojego pytania: czy zamierzona ekspedycja jest bezpieczna? Dopiero co obaliłem pochopny wniosek Sinicy. Wszyscy dobrze rozumiemy, dlaczego tak szybko musiał szukać wyjaśnień. To dobrze świadczy o jego ludzkich cechach. Teraz chciałbym podważyć swoje własne słowa. Mówiłem niedawno, że obecność na sputnikach ludzi czy w ogóle istot rozumnych jest mało prawdopodobna. Ale nie wziąłem pod uwagę, że sputniki te znajdują się tutaj już od stu lat, a być może i dłużej. Nie może więc być na nich żywych istot. Nawet jeżeli mieszkańcy tego świata są długowieczni, bezsensowne byłoby zamykanie się na statku na sto lat. Jeśli sputniki są kierowane, to albo z zewnątrz, albo przez mózg elektronowy. W takim wypadku, być może, nie należy ryzykować? Być może należy po prostu zlikwidować oba sputniki i w ten sposób zakończyć sprawę? Jestem skłonny przypuszczać, że istoty, które je wysłały nie miały i nie mają złych zamiarów. Ale wszystko jedno, dla nich sputniki swoją rolę już dawno wypełniły.

— Nie mamy żadnych podstaw, by tak sądzić — zaproponował członek Rady, Stanisław Leszczyński. — Jeżeli silniki pracują do tej pory, to znaczy, że obliczono je na taki właśnie okres czasu, a więc są jeszcze potrzebne. Nie chodzi jednak o to, czy dla tych, którzy je wysłali, sputniki są potrzebne czy nie. Mamy pełne moralne prawo je zniszczyć. Ich gospodarze

nie liczą się z nami i nie radzą się nas. Nawet o nas nie myślą. Nie mogą przecież nie rozumieć, że niewidzialne ciała w pobliżu planety, na której poziom techniki pozwala na międzyplanetarną komunikację, są wielkim niebezpieczeństwem. Wydaje mi się, że pytanie można postawić tylko w ten sposób: potrzebne są te sputniki czy niepotrzebne. Czy chcemy poznać ich konstrukcję, silniki, zainstalowaną w nich aparaturę? Jeżeli chcemy, należy nie tylko je odnaleźć, ale i dotrzeć do wnętrza. Jeżeli nie, należy je zniszczyć nie narażając się na ryzyko.

— Chyba nie mamy tutaj wyboru — powiedział Stone.

— Technika dwóch światów nie może być całkowicie identyczna. Coś będzie można wykorzystać. Na przykład metody lokalizacji zakłóceń, „niewidzialność”, sposób przekazywania informacji poprzez kosmiczny bezkres dzielący sąsiednie systemy. Nie wiemy zresztą czy sąsiednie?

— A więc, nie ma o czym mówić. Trzeba i kropka. — Leszczyński zdecydowanie wyrwał to słowo uderzając kantem dłoni o stół. — Skoro jednak wiemy, że może zagrażać niebezpieczeństwo, to nie powinniśmy, mimo poprzedniej decyzji, wysłać dwóch statków do dwóch sputników. Poślemy jeden. Najpierw do pierwszego, później do drugiego. I lecieć na nim powinni tylko ochotnicy.

— Co ma pan profesor właściwie na myśli — zdziwił się Stone. — Czy mogą być nieochotnicy?

— Chciałem powiedzieć, że uczestnicy ekspedycji powinni zdawać sobie sprawę, że ryzykują życiem. Ma pan rację — uśmiechnął się Leszczyński — słowo „ochotnicy” jest anachronizmem.

— Chętnych znajdzie się więcej niż potrzeba. To są straszne słowa „ryzykują życiem” — Stone pochylił się do przodu i objął wzrokiem członków Rady. — Proponuję, żeby każdy pomyślał i zdecydował, czy gra warta jest świeczki?

Zapanowało milczenie.

— Warta! — pierwszy powiedział Matthews.

— Warta! — powtórzył Leszczyński.

— Warta!... warta!...

— Więc proszę o powierzenie mi dowództwa ekspedycji — powiedział Stone.

— A mnie i mojego przyjaciela Muratowa proszę wciągnąć na listę członków ekspedycji. Moim zdaniem, mamy do tego prawo — dodał Sinicyn.

— Muratowa tutaj nie ma.

— To nie ma znaczenia. Mówię w jego imieniu.

— Czy wyraził zgodę?

— Nie, nie rozmawiałem z nim o tym. Ale ręczę...

— Zgoda. A więc jest już nas trzech. Myślę, że wystarczy cztery, pięć osób.

— Jestem wielce zobowiązany — Muratow pokłonił się z przesadną ceremonią. — Jesteś wzruszająco miły. Ale co zrobić, skoro nie mam żadnej chęci na wystartowanie w przestrzeń?

— W przestrzeń? — Sinicyn wzruszył ramionami. — To przecież obok Ziemi. Bliżej niż do Księżyca.

— Przypuśćmy, że to nawet na samej Ziemi...

— No i co z tego?

— Właśnie, i co z tego?

— Idź do diabła! — Sinicyn z oburzeniem odwrócił się od przyjaciela. — Co z ciebie za człowiek. Obdarza się go takim zaufaniem, a on... Możesz zrezygnować! Proszę bardzo... — gniewnym ruchem wskazał na stół, na którym stał radiofon.

— A z czegoż to mam zrezygnować? Na nic się nie zgadzałem. Czy miałem z tym coś wspólnego? Sam włączyłeś mnie do składu ekspedycji, sam wykreślił.

Sinicyn zerwał się i rzucił się do aparatu.

— Stój! — Muratow zdążył schwycić przyjaciela i siłą pchnąć z powrotem na fotel. — Nie znasz się na żartach! Czy myślisz, że puszczę ciebie samego, jeśli istnieje niebezpieczeństwo? Kto będzie ciebie pilnował? Kiedy mamy lecieć? — spytał rzeczowym tonem.

— Za tydzień.

Trzeba było od tego zacząć. Zdązę skończyć pracę, którą już raz przez ciebie przerwałem. Czemu tak zwlekacie? Przecież to wstrzymuje rejsy wszystkich gwiazdolotów.

— Niebezpieczeństwa już nie ma. Znamy położenie obu sputników.

— A jeśli zmieniają orbity?

— Stwierdzimy to zawczasu. Siedzą je wszystkie radiolokatory we wszystkich obserwatoriach na kuli ziemskiej. Dostarczyliśmy im świetne dane do prowadzenia obserwacji.

— Ale się udało, prawda?

— Nie przechwalaj się. Wiesz przecież, że na pomysł wpadłeś przypadkiem.

— O, nie! Nie przypadkiem. Jaki to przypadek, jeżeli wszystkie naturalne orbity zostały odrzucone jedna po drugiej. To po prostu logika.

— Albo fantazja.

— Albo fantazja — zgodził się Muratow. — O tym czynniku nie wolno nigdy zapominać. W nauce nie można się obejść bez fantazji. Jeślibyś ją miał, nie musiałbyś krzyczeć „ratunku” i wzywać mnie na pomoc.

— Rozgdakała się kura! — powiedział Sinicyn. — Zniosła jajko i wyobraza sobie, że zbawiła Rzym.

— To były gęsi, ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Skąd ta zwłoka?

— Trzeba wyposażyc statek. Zdaje się, że Stone instaluje na nim wszystkie przyrządy istniejące w technice obserwacyjnej. Spróbuj znaleźć to, co jest niewidoczne i jeszcze w przestrzeni.

— Aha! Jednak w przestrzeni. A mówiłeś... zresztą... nie będę się czepiał słów. Ale problemik. Chciałbym dodać, że na ten temat mam swoje zdanie. Weźmy na przykład... Jeśli ciało sputnika jest zrobione z materiału niemagnetycznego, wewnątrz na pewno znajdują się metalowe części.

— Magnetyczne? Przewidziano i to. Będą i takie przyrządy.

— Wiem. Nie przeszkadzaj! — Muratow zaczął powoli chodzić po pokoju z kąta w kąt. — A jeśli te ciała nie wchłaniają promieni Słońca i nie nagrzewają się... Mają silniki? Mają! A więc wydzielają jakieś ciepło. Bardzo słabe, ale powinny wydzielać. A więc z bliskiej odległości będzie je widać na ekranie podczerwonym. Nawiasem mówiąc, twoja hipoteza o tym, że są one całkowicie białe, nie wytrzymuje krytyki. Czekać, nie denerwuj się! Moja hipoteza, że są całkowicie czarne, stoi także pod znakiem zapytania. A mimo to nie protestuję. Idźmy dalej. Sputniki i wszystko, co się na nich znajduje, nie może być absolutnie przezroczyste. Można je zobaczyć po prostu gołym okiem jako ciemną plamę na tle gwiazdzistego nieba. Oczywiście jedynie z bliskiej odległości. Teraz proszę, możesz się kłócić.

— Ani mi się śni! — Sinicyn śmiejącymi oczami patrzył na przyjaciela. — Wszystko w porządku. Widzę, że dowództwo ekspedycji powierzono Stone'owi tylko przez pomyłkę. Należało mianować ciebie. A teraz posłuchaj, obrażać się będziesz potem. A więc, Wiktor Muratow znalazł sposoby wykrycia sputników w przestrzeni. Przecież cię znam: zamilkłeś, a więc, nic więcej nie przychodzi ci do głowy. A Stone'owi przyszło! Zadrzałeś, kochasiu? Grawitonowy wyznacznik masy — raz! Gammarefektor — dwa! Ręce do góry! Leżysz na obie łopatki!

Przez kilka sekund Muratow zdumiony patrzył na przyjaciela. Następnie nachylił się do ucha Sinicyna i powiedział konspiracyjnym szeptem:

A więc znaleziony sputnik będziemy „obmacywać”. Rękami. A czy nie chcesz go zobaczyć? Oczami? Powierzchnię ma? Nawet jeżeli niewidoczna, ale jest. A gdyby ją pomalo-

wać? Rozpylacz!

Sinicyn natychmiast spowaźniał.

— Tego, zdaje się, nie przewidzieli — powiedział. — Należy natychmiast zawiadomić Stone'a. Zuch z ciebie...

III

Tylko na początku, dopóki są jeszcze nowe i niezwykle, osiągnięcia myśli technicznej zdumiewają ludzką wyobraźnię. Człowiek szybko przystosowuje swoją świadomość do nowych warunków i to, co całkiem niedawno wydawało mu się niezwykle, staje się powszechnym.

Kiedy na początku dwudziestego wieku pojawiły się samoloty, kiedy człowiek po raz pierwszy wzleciał w powietrze, wydawało się, że latać mogą tylko wybrani, że wymaga to szczególnej odwagi, szczególnych cech charakteru i niezwyklego zdrowia. Minęło jednak niewiele czasu, a korzystanie z transportu powietrznego stało się zwyczajne, przestało dziwić ludzi; zaczęto wsiadać do samolotu tak, jak przedtem do powozu lub pociągu, bez żadnych emocji.

Tak samo było z raketami. Samoloty odrzutowe oswoiły ludzi z myślą, że można latać i bez skrzydeł. A kiedy rakiety weszły w skład transportu pasażerskiego, wkrótce przyzwyczajono się i do nich.

Od lotu rakieta w atmosferze do lotu poza nią jest tylko jeden krok. I ten krok ludzie zrobili już całkiem niezauważalnie. Okres opanowywania tras kosmicznych, pełen romantyki czynu, minął bardzo szybko. I pierwszy pasażerski rejs na trasie Ziemia — Księżyc przyjęto jako coś samo przez się zrozumiałego i zwykłego.

Świadomość ludzka w sposób prosty i naturalny zmieniła skalę ziemską na skalę kosmiczną.

Wiktor Muratow do tej pory nie miał okazji opuścić Ziemi. Tak się jakoś złożyło, że nawet w okresie nauki najpierw w szkole, a później w Instytucie nie brał udziału w żadnym zaplanowanym locie na Księżyc. Nie pamiętał, czy był wtedy chory, czy zdarzyło się coś innego.

Ale kiedy przyjaciel jego dzieciństwa i młodości włączył go w skład ekspedycji, która miała wyruszyć na poszukiwanie tajemniczych sputników Ziemi, Muratowowi nie przyszło nawet do głowy, że spotka go coś niezwyklego, coś, co wykracza poza ramy powszedniego życia. Propozycję lotu w przestrzeń pozaziemską przyjął tak, jak przyjąłby człowiek z pierwszej połowy dwudziestego wieku propozycję podróży lodołamaczem na Arktykę. Nie było to czymś zwyczajnym, ale nie kryło się w tym nic takiego, co mogłoby wywołać szczególne wzruszenie. Setki i tysiące takich jak on ludzi odbywało daleko dłuższe loty kosmiczne. Nie było w tym nic, co mogłoby przykuć wyobraźnię.

Warunki życia na gwiazdolotach poznawano już w szkolnej ławie. Od dawna treningi na wirujących fotelach i w komorach antygrawitacyjnych weszły do szkolnego programu wychowania fizycznego. Ludzie, którzy kończyli szkołę, byli przygotowani do każdego lotu kosmicznego.

Muratow myślał nie o locie, lecz o jego celu. I im dłużej się nad tym zastanawiał, tym mniej wierzył w powodzenie ekspedycji. Przychodziły mu na myśl dziesiątki przeszkód, z których każda mogła pokrzyżować ludzkie wysiłki. Ani przez chwilę nie wątpił, że sputniki są rzeczywiście zwiadowcami z innego świata, i że ci, którzy je wysłali w kierunku Ziemi, zrobili wszystko, by utrudnić do nich dostęp. Czy uda się pokonać te przeszkody?

Wątpliwości Muratowa podzielali wszyscy członkowie Rady Naukowej Instytutu Kosmonautyki.

I mieli rację.

Przytłaczająca większość ludzi odrzuciła zdecydowanie przypuszczenie, że gospodarze sputników mogą okazać się nie braćmi, ale wrogami. Byłoby to potworne, bezsensowne, niemożliwe! Rozum, który był w stanie wysłać zwiadowców do innego systemu planetarnego, który był w stanie stworzyć takich zwiadowców, nie mógł kierować się nienawiścią w stosunku do innego rozumu.

— Ależ dlaczego w takim razie utrudnili nam poznanie tych sputników? — pytali wątpiący.

— Tego nie wiemy — odpowiadano im. — Dowiemy się jednak później. Nie należy zapominać, że sputniki wystrzelono wtedy, gdy na naszej Ziemi istniały takie zjawiska jak właśnie między narodami i wojny. Wszystko przecież wskazuje na to, że gospodarze sputników od dawna dobrze znają Ziemię. Znając zaś ludzi tamtych czasów nie chcieli zaznajamiać nas z techniką, która mogła zostać wykorzystana po to, by siał zło. Na przykład z techniką atomową, której sto lat temu jeszcze nie znaleźliśmy.

Rozumowanie to nosiło wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Jednakże w wąskim kręgu ludzi związanych z kosmonautyką, w kręgu tych, którzy musieli — cokolwiek by się nie stało — nawiązać bezpośredni kontakt ze zwiadowcami, nie można było odrzucić, wprawdzie mało prawdopodobnej, jednakże możliwej hipotezy „o wrogości”. Trzeba było ją uwzględnić i uwzględniono ją.

Statek został wyposażony we wszelkie możliwe środki obronne, był zabezpieczony przed każdym dającym się przewidzieć niebezpieczeństwem.

W oznaczonym dniu, pamiętnym dla wszystkich ludzi na Ziemi, wyruszyła ekspedycja.

Minęły czterdzieści dwie godziny. Gwiazdolot „Herman Titow” — latające laboratorium Instytutu Kosmonautyki — poruszał się na orbicie równoległej do orbity zwiadowcy znajdującego się bliżej Ziemi i utrzymywał się w nieznaczej od niego odległości.

Obserwatoria naziemne już po raz chyba piętnasty przekazywały meldunek „koordynanty statku i sputnika są zbieżne, radiolokatory notują je w jednym i tym samym punkcie”. Znaczyło to, że statek i sputnik znajdują się na jednej prostej, na linii „promienia wzroku” urządzenia lokacyjnego.

Jednak ciągle nie udawało się wykryć sputnika

W bezruchu trwały liczne przyrządy rozmieszczone na ogromnym pulpicie, zajmującym większą część roboczego pomieszczenia statku. Tylko wyznacznik grawitonów, albo jak go częściej nazywano grawiometr, wskazywał obecność w pobliżu jakiejś dużej masy.

Nie ulegało wątpliwości, że sputnik znajdował się gdzieś obok, bardzo blisko.

Niestety, dane tylko samego grawiometru nie pozwalały na zbliżenie się do niewidzialnego ciała. Trzeba było wykryć go przy pomocy innych przyrządów, które wskazywałyby nie tylko masę i jej odległość, ale ściśle nakierowały na nią.

Danych takich ciągle jeszcze nie było.

Najwyraźniej sputnik nie zdradzał chęci łatwego skapitulowania.

Początkowo wszystko przebiegało sprawnie. Dowódca „Titowa”, doświadczony astronawigator Jurij Wieriesow, pewnie wprowadził statek na właściwą trajektorię i korzystając ze wskazań otrzymanych z Ziemi ściśle „dostroił się” do sputnika. Właśnie wtedy podano pierwszy komunikat o zbiegnięciu się koordynant. Wydawało się, że osiągnięto cel i wszystko pozostałe jest już bardzo proste: przycumować burta do burty i rozpocząć badanie „gościa”.

Ale tak się tylko wydawało...

„Titow” zbliżał się do celu powoli i ostrożnie. Nikt nie wiedział, co spotka ludzi, gdy znajdą się w bezpośrednim sąsiedztwie „cudzoziemca”, jak przyjmie on ziemski gwiazdolot,

jakie środki „obrony” przedsięwzięli jego nieznani gospodarze. Możliwe, że postanowili za żadną cenę nie dać ludziom Ziemi szansy poznania swojego zwiadowcy. Nie na próżno podjęto tyle środków ostrożności.

Pewne było tylko jedno: sputnik nie był wykonany z antymaterii.

— Obiekt może eksplodować, jeżeli podejdziemy zbyt blisko — zastanawiał się Stone.
— Czy nie należy przedtem posłać robota?

— Uważam, że jeszcze nie teraz — odpowiedział Sinicyn. — Trzeba podejść bliżej.

— Skąd możemy wiedzieć, czy jesteśmy blisko, czy daleko? — odezwał się Wieriesow.

— Po pierwsze, informuje o tym grawiometr. Jego dane nie osiągnęły jeszcze wyliczonej przez nas masy sputnika. A więc, jest on jeszcze daleko. Po drugie, powinny się „ocknąć” i inne przyrządy. Bez względu na to jakie środki obronne są zainstalowane na sputniku, naziemne radiolokatory sforsują je. A więc i my możemy odszukać sputnik, choćby był po trzykroć niewidzialny. Podczerwony... — Sinicyn urwał w pół słowa...

Strzałka grawiometru gwałtownie opadła w lewo. I właśnie w tym momencie naziemne obserwatoria zakomunikowały, że sputnik odłączył się na ekranie lokatora i uskoczył do przodu, zwiększając prędkość.

Mimo woli wszyscy zadali sobie to samo pytanie: czy to jest przypadek?

— Jakby nas poczuł — powiedział Muratow.

Wieriesow zwiększył szybkość.

Po godzinie wrócono do poprzedniego położenia, strzałka grawiometru odchyliła się w prawo.

Muratow, któremu powierzono obserwację optyczną, nie odrywał oczu od okulara teleskopu. Do tej pory jednak niczego jeszcze nie zauważył. I oto wydało się mu, że rozległe rozsypisko gwiazd otaczające gwiazdolit ze wszystkich stron zostało w jednym miejscu zasłonięte czymś nieprzezroczystym, co przypominało duże i ciemne widmo. Owo „coś” zakryło nieruchome punkty ciał niebieskich tworząc czarną wyrwę w czeluściach Kosmosu.

Ale widmo zamigotało i zniknęło. Czy był to tajemniczy sputnik, czy tylko złudzenie zmęczonego wzroku?

Muratow swoim spostrzeżeniem nie podzielił się z pozostałymi członkami załogi. To i tak nie mogło im w niczym pomóc.

Wieriesow znów zaczął ostrożnie przyspieszać, kierując się tylko strzałką grawiometru, która powoli pełzła w prawo.

Niewidzialna masa zaczęła się zbliżać.

Stone nacisnął guzik i od korpusu „Titowa” oddzieliła się mała, ale silna rakieta kosmicznego robota-zwiadowcy. Sterowana przez podręczny grawiometr dotarła do sąsiedniej masy, ściśle przylgnęła do niej, a następnie wysłała na pokład statku sygnały swoich czułych przyrządów, które mogły usłyszeć to, co „nie słyszalne” i zobaczyć to, co „niewidzialne”.

Coś zamigotało na podczerwonym ekranie...

I... znów gwałtowny ruch strzałki w lewo. Minuta oczekiwania i głos z Ziemi zakomunikował: „sputnik znowu oderwał się, zahamował i pozostał w tyle”.

Wskazywało to już na świadome działanie.

Wieriesow włączył silniki hamujące.

— Tak można w nieskończoność — powiedział niby do siebie, ale wystarczająco głośno.

Tym razem Sinicyn zdołał usłyszeć urywany sygnał radiopelengatora. Nadawano na falach superultrakrótkich. W tym czasie, zgodnie z prośbą Instytutu Kosmonautyki, na Ziemi nie pracowała żadna krótkofalówka, źródło sygnału miało więc wyraźny związek ze sputnikiem.

Nie wiedziano, czy była to emisja jego własnego nadajnika, czy też odwrotnie, odbiornik przyjął wiadomość z zewnątrz.

— Być może jest to odbicie przekazu, który dopiero co przyjęliśmy? — wyraził przypuszczenie Stone. — Na przykład z Księżyca.

— To całkiem w innym paśmie — odpowiedział Sinicyn. — Odbicie pochodzące z Księżyca mogło nadejść znacznie wcześniej, lecz nie w tym momencie. Księżyc jest przecież bardzo blisko.

Tym razem upłynęło ponad dwie godziny, nim ponownie udało się zbliżyć do sputnika.

I po raz trzeci się powtórzyło od początku.

A potem czwarty... piąty... szósty...

Sputnik „miał się”. Zmniejszał lub zwiększał szybkość, gdy tylko „Titow” zbliżał się do niego na określoną odległość. Zupełnie nie można było przewidzieć tych manewrów, nie kryła się w nich żadna logika.

Niekiedy sputnik odchodził kilka razy z rzędu, po czym nieoczekiwanie hamował. I znów uciekał do przodu. Odnosiło się wrażenie, że to nie mechanizm, a żywa istota chce się ukryć, uciec przed pogonią.

W ten sposób minęły czterdzieści dwie godziny.

Ani uczestnicy ekspedycji, ani uczeni, którzy z Ziemi obserwowali przebieg operacji, nie mieli już wątpliwości, że sputnikiem kieruje świadoma wola. Nie wiedziano tylko „kto” czy „co” zauważyło „Titowa”, odgadło jego zamiary i chciało przeszkodzić spotkaniu.

Kto kieruje sputnikiem? I skąd wychodzą polecenia? Ze sputnika albo... Ale myśl o tym, że kierowano nim z innej planety, znajdującej się poza systemem słonecznym, wydawała się zbyt nieprawdopodobna.

— Mózg elektronowy — stwierdził Stone — który znajduje się na sputniku.

— Na pewno nie na sputniku — zaproponował Muratow. — W takim przypadku zbyt czone są sygnały radiowe.

— Mogą być wysyłane z jednego sputnika na drugi. Przecież są dwa.

— Nie mają o czym „rozmawiać”, jeżeli nie znajdują się na nich rozumne istoty. Rozkazy pochodzą z Księżyca albo... z Ziemi.

— Z Ziemi?

— Czy to niemożliwe? — Wiktor odpowiedział pytaniem na pytanie.

I rzeczywiście, tego rodzaju hipoteza, chociaż wyglądała na pierwszy rzut oka dosyć dziwnie, była jednak uzasadniona. Jeżeli mieszkańcy sąsiedniego świata (czy na pewno sąsiedniego?) znali od dawna Ziemię, a w to trudno, już było wątpliwe, to czyż nie mogli, w tajemnicy przed ludźmi, odwiedzić naszą planetę i pozostawić na niej, w dobrze zamaskowanym miejscu, swój mózg elektronowy? W epoce gdy nie istniała jeszcze Służba Kosmosu i nikt nie badał przestrzeni okołozemskiej, obcy gwiazdolot mógł odwiedzić Ziemię i odlecieć przez nikogo nie zauważony. Muratow miał rację. A jeszcze łatwiej było odwiedzić Księżyc, na którym wtedy nie stanęła jeszcze noga człowieka. Satelity Ziemi nie zbadano zresztą zbyt dokładnie jeszcze do dziś.

— Jeżeli ten elektronowy mózg istnieje — powiedział Wieriesow — i jest tak zaprogramowany, żeby nie dopuścić do zbliżenia się przedmiotów ziemskich, to nigdy nie dogonimy tego sputnika.

— Bardzo prawdopodobne — ze smutkiem zgodził się Stone.

Mimo to pogoń trwała dalej, choć nikt już nie wierzył w jej powodzenie.

Po dwóch i pół dobach pościgu „Titow” wrócił na Ziemię. Zmęczeni, zdenerwowani z powodu absolutnego fiaska, wyszli z niego Stone, Muratow, Sinicyn i Wieriesow.

— Myśleć, myśleć, myśleć! — powiedział Stone. — Nie istnieją zadania nierozwiązalne. Powinno być wyjście i znajdziemy je!

Minęło kilka dni.

Jurij Wieriesow znowu zajął miejsce przy pulpicie sterowniczym. Załoga jego gwiazdolotu składała się z tych samych trzech osób.

Tym razem „Herman Titow” nie był sam. Razem z nim wystartowały jeszcze dwa statki z technicznej eskadry Instytutu Kosmonautyki — „Walentyna Tiereszkowa” i „Adrian Nikołajew”. Wszystkie gwiazdoloty tej eskadry nosiły imiona pierwszych kosmonautów.

Zacząła się druga ekspedycja.

W ciągu tych dni sputniki zachowywały się spokojnie. Bliższy z nich „uspokoił się”, gdy tylko „Titow” zaprzestał pogoni i wziął kurs na Ziemię. Okrążenie za okrążeniem, wciąż po tych samych spiralnych orbitach, zwiadowcy spokojnie obiegali Ziemię z rzadka zmieniając szybkość stosownie do odległości i praw fizyki, i jeszcze rzadziej z własnej inicjatywy.

Urządzenia lokacyjne nie miały żadnych trudności w ich obserwacji. Sygnały na ekranach były dziwnie słabe, jednak nie zanikały. Obserwację prowadzono nieprzerwanie.

Na prośbę Instytutu Kosmonautyki jeden z gwiazdolotów, który powracał z Wenus na Ziemię, zbliżył się do bardziej oddalonego sputnika, żeby sprawdzić jego reakcję. Zwiadowca numer dwa pozwolił podejść statkowi całkiem blisko, a następnie, tak jak pierwszy, uciekł zwiększając szybkość.

Sinicyn i Stone, niezależnie od siebie, doszli do wniosku, że sputnikami nikt nie kieruje, ściślej, nie kierują nim ludzie, czy raczej żywe rozumne istoty. Automatyczne mechanizmy reagują na zbliżanie się obcego ciała i przekazują sygnał silnikom, które włączają się automatycznie, kierują sputnik do tyłu lub do przodu, przy czym obrany kierunek jest przypadkowy.

— Podobnie — zauważył Stone — przyrządy reagują na zbliżanie się sputników do Ziemi albo do Księżyca. Tym można wytłumaczyć spiralność orbit. I naturalnie czują masę Ziemi albo Księżyca ze znacznie większej odległości niż masę „Titowa”.

Taka hipoteza wyjaśniała wszystko i miała taką samą rację bytu jak każda inna, dopóki nie poznano prawdy. Istniało jednak coś, co podważało prawidłowość postawionej hipotezy. Był to sygnał radiopelengatora zauważony przez Sinicyna podczas drugiego podejścia „Titowa” do sputnika. Co prawda, był to pojedynczy sygnał, który się więcej nie powtórzył.

— To niczego nie dowodzi — uparcie obstawał przy swoim Henry Stone. — Sygnał został przekazany przez jednego sputnika drugiemu. Znaczyło to po prostu: „Uwaga!” Ostrzeżenie w pełni wykonalne dla urządzeń cybernetycznych.

Na kolejnym posiedzeniu Rady Naukowej Muratow przedstawił konkretną propozycję.

— Podejźmy do sputnika na bezpieczną odległość, a resztę zrobią ludzie ubrani w skafandry. Możemy być pewni, że przyrządy na sputnikach nie zarejestrują zbliżenia się tak niewielkiej masy, jaką jest człowiek.

— Co mają robić ludzie? — zapytał Matthews.

— Zbadać sputnik, wyjaśnić z czego został wykonany, dlaczego jest niewidzialny i wreszcie wejść do środka.

— Czy uważa pan, że to się uda?

— Nie jestem tego pewien.

— I sądzi pan, że zbliżenie się do sputnika jest zupełnie bezpieczne?

— Na to — Muratow wzruszył ramionami — nie potrafię już odpowiedzieć. Bardzo możliwe, że jest niebezpieczne. Jeśli mi panowie zaufają, spróbuję to zrobić.

— Sam?

— Oczywiście. Nie proponowałbym tego, czego bym się sam nie podjął.

— Z tego, co nam pan powiedział, wynika: że sputnikami kierują ludzie, w znaczeniu „rozumne istoty” — powiedział Sinicyn, który na oficjalnym posiedzeniu w obecności wielu uczonych i dziennikarzy uważał, że nie można zwracać się do przyjaciela na „ty”. — W związku z tym, jak wyjaśnić fakt, że sputnik, który obserwowaliśmy z pokładu „Titowa”, tak chaotycznie zmieniał kierunek lotu? Dlaczego od razu nie oddalił się od nas na dużą odległość? Przecież przekonaliśmy się, że może rozwijać szybkość większą niż „Titow”. Dlaczego czekał na nasze zbliżenie i dopiero wtedy odchodził?

— Mógłbym odpowiedzieć na to, że ludzie kierujący sputnikiem nie chcieli, byśmy

odgadli ich obecność. Wtedy pozorna bezmyślność działania byłaby zwykłym maskowaniem się. Odpowiem jednak inaczej. Na sputniku jest zainstalowane urządzenie, które włącza silnik wtedy, gdy zbliża się obce ciało. Oto jak, moim zdaniem, można wytłumaczyć pojawienie się sygnału dopiero przy drugim podejściu. To był rozkaz — „Nadal unikać spotkania”. Jeżeli zbliżałby się gwiazdolot „gospodarzy”, nie byłoby sygnału i sputnik pozostałby na miejscu. Resztę można wyjaśnić zgodnie z pańskimi hipotezami — reakcją bezdusznego mechanizmu — Muratow zakończył z ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— Ale gdzie znajdują się ci „gospodarze”?

— Po to właśnie, żeby się tego dowiedzieć, proponuję przeprowadzić pelengację. Chciałbym jednak, żeby mnie panowie dobrze zrozumieli. Nie twierdzę kategorycznie, że sygnał został nadany przez żywą istotę.

— W tym przypadku jest w końcu obojętne, czy to żywa istota, czy mechanizm — powiedział Stone. — Propozycja Muratowa, by sputnik badali ludzie, jest frapująca. Podejmuję się tego, tak jak i on. Oczywiście zaczniemy od wysłania robota.

Po krótkiej dyskusji dotyczącej przede wszystkim szczegółów technicznych obie propozycje Muratowa zostały przyjęte.

— A więc — podsumował Stone pod koniec konferencji — nasz plan wygląda następująco. Trzy statki okrążają sputnik. „Titow”, tak jak za pierwszym razem, będzie zbliżał się do niego dopóty, dopóki nie pojawi się sygnał. Po przeprowadzeniu pelengacji, wyślemy robotazwiadowcę, i jeżeli uda mu się bez przeszkód zbliżyć do sputnika, w ślad za nim pójdzie dwóch ludzi. Jeżeli jednak i w tym wypadku sputnik ucieknie, zrobimy parodniową przerwę. Podczas trzeciej ekspedycji zastosujemy zakłócenia radiowe. W ostateczności, jeżeli wszystkie wysiłki pójdą na marne, zniszczymy oba sputniki, wysyłając w ich kierunku raketę z antygazem.

Wszystko powtórzyło się dokładnie tak samo.

Kiedy Wieriesow, tak jak za pierwszym razem, podprowadził powoli i ostrożnie „Titowa” do niewidzialnego sputnika, strzałka grawiometru zaczęła odchyłać się w prawo, wskazując na jego obecność. Tak jak i parę dni temu, osiągnąwszy ten sam punkt na skali, strzałka zatrzymała się, jakby nie mogła się zdecydować i... gwałtownie odchyliła się w lewo. Stacja naziemna potwierdziła — sputnik gwałtownie ruszył do przodu!

Zachowywał się tak samo jak przedtem.

— Zaczynajcie drugie podejście! — rozkazał Stone.

Muratow czuł, że się denerwuje.

Minęła godzina i strzałka grawiometru ożyła. Znowu, gdzieś blisko, leciał tajemniczy zwiadowca z innego świata.

Denerwował się nie tylko Muratow. Denerwowali się wszyscy starannie ukrywając to jeden przed drugim. Niepostrzeżenie w ludzkiej świadomości pojawiło się coś w rodzaju nienawiści.

Czyżby potężna technika Ziemi nie była w stanie przełamać oporu tej techniki starannie kryjącej swoje tajemnice. Czyżby ludzie byli tak bezsilni, że nie mogli jej do tego zmusić?

Wprawdzie w wypadku następnej porażki postanowiono zniszczyć oba sputniki, nikt jednak w głębi duszy nie wierzył, że rzeczywiście coś takiego się stanie. Nie! Trzeba szukać i szukać! Dotąd, aż nie osiągnie się całkowitego sukcesu!

„Titow” zbliżał się do sputnika, ściślej mówiąc, tego miejsca, gdzie powinien on się znajdować, jeszcze wolniej niż poprzednio.

Stone, Sinicyn i Muratow nie odrywali wzroku od skal grawiometru i pelengatora umieszczonych obok siebie na pulpicie sterowniczym. Wszyscy trzej równocześnie zauważyli długo oczekiwany sygnał.

— Jest! — krzyknął Stone.

Muratow odetchnął z ulgą. Hipoteza się sprawdziła! Sygnał pojawił się w tym samym

momencie, co i poprzednio. Równocześnie sputnik zahamował i oddalił się.

— Zachowuje się w ten sam sposób, a to plus dla nas — zauważył Stone.

— Jeszcze jeden dowód, że nie ma tam żywej istoty, tylko mózg elektronowy — powiedział Sinicyn.

„Ale uparciuch!” — pomyślał Muratów.

Teraz, kiedy osiągnięto pierwszy cel wyprawy, nie trzeba już było zachowywać „ciszy”. Odezwało się radio. Gwiazdoloty towarzyszące zameldowały, że i one odebrały i zarejestrowały sygnał.

— Wracajcie na Ziemię — rozkazał Stone. — Przystępujemy do wykonania drugiego punktu planu.

— Życzymy powodzenia! — odpowiedzieli stamtąd.

„Titow” zmniejszył szybkość czekając na pozostawiony sputnik.

I wkrótce oba statki znowu leciały razem.

— Niech się pan trzyma danych grawiometru — powiedział Stone — tak, żeby strzałka nie stała na zerze — nic więcej.

Wieriesow w milczeniu kiwnął głową.

— Czy to wystarczy? — zapytał Sinicyn. — Czy robot trafi do celu?

— Trafi — z przekonaniem odpowiedział Stone i nacisnął guzik.

Na ekranie obserwacyjnym pojawiła się sylwetka robota — wydłużone cygaro z krótkimi mackami. Ciągnął się za nim długi ogon białego płomienia.

Przez kilka sekund robot wisiał w przestrzeni obok gwiazdolotu, jakby nie wiedział, w którą stronę ma się skierować. Potem zaczął się coraz szybciej i szybciej oddalać.

— Poczul — powiedział Wieriesow.

— Czy nie uderzy o powierzchnię sputnika? — zapytał Muratow.

— Nie, zahamuje przy samym celu.

Biały płomień dysz zmienił się w kropkę.

— Jest już daleko — zauważył Stone.

Ekran na pulpicie rozjaśnił się błękitnym światłem — zaczęła pracować telewizyjna kamera robota.

I Muratow znowu zobaczył to, co mignęło przed jego oczami w okularze teleskopu już kilka dni temu, podczas pierwszej ekspedycji.

Niewyraźna ciemna plama zakryła błyszczące rozsypisko gwiazd. Złudny kontur ogromnego jaja (widocznie robot znajdował się tuż obok sputnika, jakby czarna wyrwa w otchłani kosmosu) kołysał się i drgał. Ekran często przecinały smugi, tworząc chwilami zupełną siatkę.

I nagle... niesamowicie jaskrawy biały płomień buchnął w tym miejscu, gdzie przed chwilą widniał punkcik ognia z dyszy robota. Oślepiające światło z ekranu zalało całą kabinę sterowniczą „Titowa” i ludzie mimo woli w obawie przed oślepieniem zasłonili twarze rękami.

— „Titow”! Titow”!... Co się stało?... Odpowiadajcie!... — zabrzmiał z głośnika przerażony głos z Ziemi.

Błysk był tak silny, że dostrzeżono go w biały dzień na bezchmurnym niebie.

— Jeszcze nie wiemy — machinalnie odpowiedział Stone, ostrożnie otwierając oczy, choć widział tylko wirujące różnokolorowe plamy. — Gwiazdolot jest cały. Zdaje się, że został zniszczony robot, a niewykluczone, że także i sputnik.

— Sputnik jest na swoim miejscu.

— A więc tylko robot.

Po potwornym błysku wydawało się, że kabina jest pogrążona w mroku. Nie widzieli nic — ani pulpitu, ani siebie nawzajem. Jaskrawe malowidła na suficie przypominały niewyraźne żółte plamy.

— Nie otwierajcie oczu — poradził Stone. — Muszą odpocząć.

Sam jednak nie zastosował się do własnej rady: chcąc koniecznie sprawdzić, co się stało z robotem, wpatrywał się uporczywie w to miejsce, w którym znajdował się ekran telewizora.

Po paru minutach oczy odzyskały zdolność widzenia.

— Niewiele brakowało, a bylibyśmy oślepli — powiedział Sinicyn.

Ekran zgasł, co znaczyło, że nie pracuje telekamera.

— Dobrze, że wysłaliśmy najpierw robota, a nie od razu człowieka — powiedział Stone. — Przekonaliśmy się, że nie wolno się zbliżać do tego sputnika. Trzeba będzie go zniszczyć.

— Proszę próbować! — jakimś dziwnym tonem powiedział Wieriesow.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czyż nie rozumiesz? Nastąpiła anihilacja.

— Sputnik nie jest zbudowany z antymaterii. Zostało to dokładnie ustalone.

— A jednak zaszła anihilacja, która zniszczyła naszego robota: otoczyli zwiadowcę obłokiem antygazu.

— Dlaczego nie doszło do anihilacji podczas spotkania sputnika z gwiazdolotem „Ziemia — Mars” pod koniec zeszłego wieku?

Wieriesow wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem — powiedział — ale dobrze wiem, co stało się przed chwilą.

— Zgadzam się z Jurijem — powiedział Muratow. — Możliwe, że sputnik nie zawsze jest otoczony obłokiem antygazu. Zresztą, czy to jest obłok? Może wystrzelił coś na spotkanie robota. Niewykluczone, że sygnał radiowy włączył urządzenia obronne.

Stone powtórnie nacisnął przycisk urządzenia sterującego robotem. Jeżeli jest cały, powinien powrócić na statek.

Robot jednak nie wrócił i żaden z przyrządów nie potwierdzał jego obecności. Rakieta zwiadowcza znikła więc bez śladu.

— Wracamy na kosmodrom — postanowił Stone.

— Spróbujmy zrealizować trzeci wariant naszego planu — dodał Sinicyn.

— Tak, oczywiście. Trzeba się jednak starannie przygotować.

IV

Trzecia ekspedycja nie wyruszyła w oznaczonym dniu. Po prostu w ogóle nie mogła wyruszyć.

Sputniki zniknęły.

Z początku zauważono, że oddalają się od Ziemi. Po raz pierwszy, po osiągnięciu apogeum orbity, nie zmieniły swojej szybkości. Spirala rozwijała się coraz szerzej i szerzej. Nastąpił wreszcie moment, kiedy i tak słaby sygnał na ekranach lokatorów definitywnie „zgasł”.

Dlaczego odeszły? Czy było to wynikiem polowania na sputniki przez ziemskie gwiazdoloty, czy też realizowano wcześniej nakreślony program?

Przyczyn mogło być wiele, efekt jednak był jeden — zwiadowcy z obcego świata na pewien czas, a może i na zawsze, opuścili niebo wokół Ziemi.

Jeżeli jednak ich gospodarze chcieli „zatrzeć ślady”, to zrobili to zbyt późno. Ludzie mieli w swych rękach nić, która powinna im była pozwolić na dotarcie do tajemnicy sputników.

Ta nić — to wyniki pelengacji. Tym razem rozum Ziemi zatriumfował nad rozumem nieznanego świata.

Opracowanie zapisów dokonanych przez urządzenia pelengacyjne zainstalowane na trzech statkach dokładnie wskazało miejsce, skąd został wysłany, bądź, co również było możliwe, dokąd skierowano sygnał radiowy ze sputnika.

To miejsce — to Księżyc, rejon krateru Tycho.

Właśnie tam znajdował się zagadkowy „dowódca” zwiadowców! Właśnie stamtąd sputniki otrzymywały rozkazy i tam też przekazywały uzyskane informacje.

Co tam było? Mózg elektronowy — jak myśleli wszyscy, czy żywi przedstawiciele innej ludzkości — jak myślał jedynie Muratow.

Trzeba to było wyjaśnić.

Opinia publiczna została niesłuchanie poruszona. Instytut Kosmonautyki był dosłownie zasypywany listami i radiogramami. Wszyscy domagali się jednego — niezwłocznie wysłać specjalną ekspedycję i odnaleźć księżycową bazę.

Ale i bez tych listów sztab Służby Kosmosu nie zamierzał pozostawać bezczynnym. Należało kuć żelazo, póki gorące. Jeżeli oba sputniki odeszły dlatego, że zostały odkryte, to i baza z tej samej przyczyny mogła zawiesić swoją działalność. W jaki sposób? Przypuszczenia nie miały sensu: nikt nie wiedział, jaki poziom osiągnęła technika na nieznanym planecie.

Przygotowania szły pełną parą.

I całkiem nieoczekiwanie świat obiegła jeszcze jedna sensacyjna wiadomość. Znowu stały się głośne nazwiska dwóch skromnych naukowców, którzy już raz zwrócili na siebie powszechną uwagę.

Sinicyn i Muratow tak jak poprzednio wpadli na prosty, a jak się okazało niezmiernie cenny pomysł. Sprawdzili, dokąd prowadzi spirala, po której oddaliły się od Ziemi oba sputniki-zwiadowcy.

Wyniki obliczeń okazały się sensacyjne. Jeśli sputniki nie zmieniły swej trajektorii, jeśli kontynuowały lot po tej samej spirali, to ich trasa prowadziła na Księżyc!

Co więcej — spiralna linia lotu obu sputników dotykała krateru Tycho!

Można to było z łatwością przewidzieć, ale nikomu to jakoś nie przyszło do głowy.

A więc sputniki nie opuściły systemu słonecznego, nie odeszły tam, skąd je przysłano — do nieznanego ojczyzny. Po prostu powróciły do swojej bazy. I powinny się tam znajdować.

Ładować na Księżycu nie będąc zauważonym przez nieliczny personel naukowej stacji krateru Tycho nie było trudne, zwłaszcza że sputniki były niewidzialne.

Jeżeli uda się odnaleźć bazę, wtedy w ręce ludzi wpadnie nie tylko „ośrodek dowodzenia”, ale i oba sputniki. Nie wolno było przegapić szczęśliwego przypadku. Mogły w każdej chwili znowu wyruszyć w rejs wokół Ziemi, gdzie — jak już się przekonano — „złapać je” było o wiele trudniej.

Sputniki mogą pozostawać w bazie bardzo długo, jeżeli prawdziwą jest hipoteza o ich okresowym pojawianiu się na orbicie okołoziemskiej; jeśli zaś udały się do bazy tylko po to, by uzupełnić zapas energii, mogą wylecieć w każdej chwili.

Uczonych ucieszyła ta dodatkowa możliwość „złapania” sputników.

W fabrykach maszyn cybernetycznych zaprojektowano i natychmiast wyprodukowano specjalny typ robota, który mógł wytrzymać atak antimaterii. Również dla ludzi przygotowano ubrania ochronne. Starano się zmniejszyć do minimum masywne urządzenia, służące do wytworzenia burzowego pola magnetycznego. W kompleksowej obronie pokładano duże nadzieje. Cała Ziemia uczestniczyła w przygotowaniach do ekspedycji, która miała stać się najbardziej zmienną w historii ludzkości. Szło przecież o pierwszy kontakt z innym rozumem!

— A więc postanowiłeś nieodwołalnie nie uczestniczyć w wyprawie? — zapytał Sinicyn.

— Nie wiem, jaką korzyść mogę przynieść ekspedycji — odpowiedział Muratow.

— Taką samą jak i wszyscy pozostali, na przykład ja. A czyż na „Titowie” robiłeś coś

szczególnego?

— Oczywiście, że nie.

— Jesteśmy związani z tą tajemnicą — próbował przekonywać przyjaciela Sinicyn. — Odkryliśmy sputniki, wyliczyliśmy ich orbity, wreszcie rozwiązaliśmy zagadkę ich odejścia. Jest całkiem oczywiste, że właśnie my powinniśmy brać aż do końca udział w poszukiwaniach.

— Nie jestem o tym przekonany. Wyliczenie to jedno, to moja specjalność, a poszukiwania są czymś zupełnie innym. Tutaj potrzebni są nie matematycy, lecz uczeni...

— I inżynierowie.

— Tak, ale o innej specjalności.

— Chcesz więc, żebym wystartował na Księżyc bez ciebie? Ale przecież jest to jeszcze niebezpieczniejsze od ekspedycji „Titowa”. — Sinicyn użył ostatniego atutu. — Tam możesz znaleźć swoich „gospodarzy”. Czy nie chcesz ich zobaczyć?

— Zobaczę razem z innymi ludźmi. Przywieziecie ich na Ziemię. Oczywiście, jeżeli się zgodzą — dodał Muratow. Siedział w fotelu i z zadumą patrzył w sufit. — Wiesz co, Sierioża, przestałem jakoś wierzyć, że oni są na Księżycu. Co tam robią? Bez powietrza, bez wody, zamurowani we wnętrzu księżycowej góry!

— Dlaczego więc z takim uporem broniłeś tej hipotezy?

— Rzeczywiście, dlaczego? Sam tego nie wiem. Wydawało mi się... I teraz mi się jeszcze wydaje — wyrwało mu się. — Wszystkie nasze teorie wydają mi się chwiejne, mgliste i pozbawione sensu. Chodzi tu o coś innego niż zbieranie informacji o naszej Ziemi. O coś takiego, czego nawet nie podejrzewamy. I mogę ci wydać się staromodny — w tym jest coś złowrogiego. Tak, złowrogiego!

— Przypuśćmy, że masz rację — odpowiedział Sinicyn. — Ale wtedy ich krążenie wokół Ziemi przez całe stulecia, a może i dłużej, jest bezsensowne.

— Co znaczy stulecie? To dla nas, dla ludzi, sto lat to całe życie. A wszakże z punktu widzenia historii ludzkości — nie jest to zbyt długi okres czasu. Wszak wy, astronomowie, nie znacie ani jednego systemu planetarnego gwiazd bliskich Słońca, na którym mogłoby powstać rozumne życie. Czyż nie mam racji? Właśnie! Być może dzieli nas od nich odległość wielu lat świetlnych. Na ich planecie mijają tymczasem wieki. Zastanów się. Przylecieli do nas kilka wieków temu. I odlecieli, zostawiwszy w pobliżu Ziemi „coś”. Prawdopodobnie to „coś” oczekuje na ich powrotny przylot. Dlaczego? Tego nie wiemy.

— Przeczysz sam sobie — powiedział Sinicyn. — Raz mówisz, że oni przebywają w pobliżu Ziemi, teraz znów „kilka wieków temu”.

— A jeżeli jedno i drugie jest prawdą? — Muratow pochylił się do przodu i uważnie popatrzył przyjacielowi w oczy. — A jeżeli wystrzelili sputniki w czasie swojego przylotu i bezustannie, rozumiesz, bezustannie obserwują je, wymieniając co jakiś czas personel w swojej bazie na Księżycu?

— Przeciwno ludziom Ziemi?

— A widzisz! Sam wyciągnąłeś logiczny wniosek.

— Jesteś mistrzem w naprowadzaniu rozmówcy na swoje wnioski. Wybacz, ale gadasz głupstwa.

— Niech ci będzie. Ale radzę, bądźcie bardzo ostrożni, kiedy odnajdziecie bazę.

— A więc ostatecznie...

— Nie. Nie polecę z wami. Zaproponowano mi udział w ciekawszym eksperymencie.

— Czy to sekret, w jakim?

— Nie, żaden sekret. Słyszałeś o projekcie Jeana Legeriera?

— Czy to chodzi o lot w systemie słonecznym na asteroidzie?

— Na Hermesie.

— I chcesz lecieć na nim?

— Do tego lotu jest jeszcze bardzo daleko. Legerier zamierza zmienić orbitę Hermesa w ten sposób, by asteroid obleciał cały system słoneczny, od Merkurego do Plutona. Gdy umieści się na nim duży gwiazdolot, będzie można bez straty energii oblecieć wszystkie planety.

— A cóż ty masz tam do roboty, przecież nie jesteś astronomem?

— Należy tak obliczyć przyszłą orbitę, żeby w czasie tego samego rejsu przeszła w pobliżu każdej planety. To jest bardzo skomplikowane. I tu mogę się Legerierowi przydać i jako matematyk, i jako inżynier. A lecieć z nim nie mam zamiaru.

— Życzę powodzenia! — Po tonie głosu przyjaciela Muratow wyczuł, że Sierioża jest obrażony i rozgoryczony. — Zajmuj się Hermesem, jeśli cię to bardziej interesuje.

— Dziwak z ciebie Sierioża! I po co jestem wam potrzebny?

— Do niczego nie jesteś potrzebny. — Na twarzy Sinicyna odmalowało się zdziwienie. — Po prostu chciałem, żebyśmy razem zakończyli tę sprawę. A w czasie ekspedycji... pierwszy lepszy będzie nawet bardziej przydatny.

Muratow roześmiał się.

— Taki z ciebie aktor Sierioża, jak ze mnie primabalerina. Przestań! Mnie jest również przykro, ale naprawdę nie mogę tracić czasu. Powiem ci w sekrecie: nie przypadł mi do gustu lot w Kosmos. To nie dla mnie zajęcie.

— Nie musisz! Siedź na Ziemi. Spokojniej i... bezpieczniej.

Muratow nachmurzył się.

— Jesteś złośliwy, a na dodatek niesprawiedliwy, Sierioża.

— No dobrze, przepraszam. Wcale tak nie myślę. Co można poradzić, skoro jesteś taki uparty. A przecież ja, chociaż nie będzie ze mnie żadnego pożytku, w żaden sposób nie mogę się wycofać. Ciągle myślę o tych sputnikach.

— Rozumiem. Kiedy wylatujecie?

— Pojutrze.

— Tak szybko?

— Przygotowania zakończono.

— Dlatego powtórzę twoje słowa, ale z inną intonacją: „Życzę powodzenia”.

Sześć miesięcy później, w tym samym pokoju znowu spotkali się Sinicyn i Muratow...

Ekspedycja wróciła z pustymi rękami! Wszystkie wysiłki zmierzające do znalezienia tajemniczych zbiegów i miejsca, w którym ukrywały się oba sputniki-zwiadowcy, zakończyły się niepowodzeniem. Nie natrafiono na najmniejszy ślad, który wskazywałby, że we wnętrzu urwistych odgałęzień krateru Tycho jest ukryta baza z innego świata.

Poszukiwania prowadzono również poza kraterem. W ciągu sześciu miesięcy uczestnicy ekspedycji przy pomocy coraz doskonalszej aparatury zbadali powierzchnię Księżyca w promieniu pięciuset kilometrów od centrum krateru.

Ale wszystko na próżno! Jeżeli baza rzeczywiście istniała, to zamaskowano ją niezwykle starannie...

V

Minęły dwa lata.

Sputniki-zwiadowcy więcej się już nie pojawiły w pobliżu Ziemi. Należało jednak przypuszczać, że zmieniły system „obrony” i stały się niewidoczne nawet dla radioteleskopów, nie tylko dla zwykłych, jak przedtem.

Jeśli przypuszczenia były słuszne, to sputniki stały się jeszcze bardziej niebezpieczne.

Gwiazdoloty wyruszały z Ziemi z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Dopiero po przekroczeniu orbity Księżyca można było rozwijać pełną szybkość.

Poszukiwania tajemniczej bazy trwały nadal, niestety wciąż bez rezultatów.

Większość mieszkańców kuli ziemskiej szybko przestała zajmować się sputnikami. Czasy były burzliwe. Po zerwaniu wiekowych pęt światowa myśl naukowa z niespotykanym dotąd uporem i energią szturmem zdobywała tajemnice przyrody. Oszałamiające odkrycia następowały jedno po drugim.

Jednak wśród ludzi zajmujących się na co dzień kosmonautyką nie zapomniano, bo nie można było zapomnieć o zwiadowcach z innego świata. Nie wyjaśniona tajemnica wciąż zagrażała bezpieczeństwu międzyplanetarnych dróg.

Jeśli dawniej wystarczały urządzenia radiolokacyjne, by dostrzec we właściwym czasie napotkany meteoroid, to teraz niezbędnym wyposażeniem kabin nawigacyjnych stały się gravimetry. Sputniki bowiem, niezależnie od systemu obrony zastosowanego przez gospodarkę, nie mogły pozbyć się swej masy ani stać się „niewidzialnymi”.

Prace w Kosmosie szły normalnym trybem, jednak astronauta codziennie na własnej skórze odczuwali utrudnienia, które narzucała istniejąca sytuacja. Tajemnicę należało koniecznie wyjaśnić.

Czy sputniki znajdują się jeszcze w systemie słonecznym, czy nie?

To zasadnicze pytanie pozostawało nadal bez odpowiedzi.

Personel księżycowych stacji naukowych, a przede wszystkim personel stacji krateru Tycho, bezustannie obserwował otaczające przestworza. Dyżury radiowe trwały okragłą dobę. Jeżeli sputniki, mimo wszystko, ukryły się w bazie księżycowej, to wcześniej czy później powinny znowu wystartować do lotu wokół Ziemi, a ich start musiał być spowodowany odpowiednim sygnałem. Sygnał ten należało przechwycić za wszelką cenę.

Jednak czas mijał i nic się nie działo.

Członkowie Rady Naukowej Instytutu Kosmonautyki byli zdania, że przyczyną tego stanu rzeczy jest kolejna przerwa w pracy zwiadowców, która przypadkiem zbiegła się z czasem ekspedycji „Titowa”. Przerwy takie niewątpliwie zdarzały się i wcześniej. Tym też można było tłumaczyć, dlaczego — mimo wszystko — nie odkryto ich dużo wcześniej.

Jedynym radykalnym rozwiązaniem było odnalezienie bazy.

Rozwijająca się niezwykle szybko technika pozwalała na stosowanie coraz to nowych i nowych metod poszukiwań. Tak też postępowano, ale rezultatów wciąż nie było. Tak jak dawniej, wnętrza pierścieniowatego grzbietu krateru Tycho i kraterów z nim sąsiadujących wydawały się nie tknięte nigdy i przez nikogo.

Mimo niepowodzeń uczeni byli przekonani, że baza istnieje. Wielokrotnie sprawdzone wyliczenia Muratowa i Sinicyna dostarczały niezbitych argumentów na to, że trajektorie obu sputników zbliżały się do siebie w miarę zbliżania do Księżyca, a w pobliżu tego punktu w przestrzeni, gdzie w danej chwili znajdował się krater Tycho, zbiegły się!

Byłoby to niemożliwe, gdyby sputniki obiegiły Księżyc i oddaliły się od niego.

W taki „zbieg okoliczności” mogli uwierzyć wszyscy, ale nie matematycy, fizycy czy astronomowie. Dlatego uporczywie kontynuowano poszukiwania.

Wiktor Muratow dowiadywał się o tych sprawach jedynie z rozmów, które od czasu do czasu prowadził przez radiofon z Sinicynem.

Projekt Legeriera przestał już być projektem. Został zaakceptowany i skierowano go do realizacji. Obliczenia wskazywały, że jest realny i korzystny. Na Hermesie mieściło się całe obserwatorium.

Za kilka miesięcy Hermes, stosunkowo niewielki asteroid o średnicy półtora kilometra, powinien być, kolejny raz, przejść koło Ziemi w odległości zaledwie 573000 kilometrów. Moment ten był najbardziej dogodny dla rozpoczęcia pionierskiej podróży francuskiego uczonego.

Zgodnie z planem Legeriera, przyjętym przez Instytut Kosmonautyki, na asteroidzie należało zacumować sztuczny sputnik Ziemi wyposażony w specjalną aparaturę astronomiczną. Znajdowało się na nim to wszystko, co było potrzebne, i wystarczyły jedynie niewielkie przeróbki, żeby grupa astronomów mogła bez przeszkód odbyć na nim wieloletni lot. Pracę tę już rozpoczęto. Nie można było tracie czasu.

Postanowiono, że jednocześnie z obserwatorium kosmicznego wystartuje na Hermesa eskadra potężnych gwiazdolotów posiadających wszystkie konieczne urządzenia, które pozwolą na przeprowadzenie asteroidu ze starej orbity na nową.

Ponieważ Muratow wykonał prawie wszystkie obliczenia, zaproponowano mu pokierowanie tą pracą wymagającą odpowiedzialności i wyjątkowej precyzji.

Propozycja była zaszczytna i Wiktor uważał, że nie ma prawa odmówić.

— Wbrew swojej woli zostałem kosmonautą — zażartował, spotkawszy się z Sinicynem. — Ponośisz za to i ty winę.

— Dlaczego właśnie ja? — zdziwił się Siergiej.

— Dlaczego? Pierwszy wyciągnąłeś mnie w Kosmos. Jeśliby nie udział w ekspedycji „Titowa” nie byłbym tak „sławny” i nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby powierzać mi obliczenia dla Legeriera.

Sinicyn się roześmiał.

— Taką winę — powiedział — z przyjemnością wezmę na siebie. Na długo lecisz?

— Nie, tylko na dwa tygodnie. Po zakończeniu pracy nasza ekspedycja powróci na Ziemię.

— To ryzykowne przedsięwzięcie — z zadumą powiedział Sinicyn. — Mówię oczywiście nie o tobie, a o Legerierze i jego towarzyszach. W trakcie tak długiej drogi mogą zdarzyć się wszystkie możliwe przypadki, których wcześniej nie można przewidzieć. Tak duże zbliżenie do Jowisza, Saturna i innych planet...

— Nie ufasz moim obliczeniom?

— A ty, czy jesteś ich całkowicie pewien?

— Tak. Niebezpieczny jest nie Jowisz, i nie Saturn. Niebezpieczne, i to teoretycznie, są asteroidy, które znajdują się pomiędzy Marsem i Jowiszem. Przecież do dziś astronomowie nie znają ich wszystkich. Nie mogłem oczywiście uwzględnić w obliczeniach wpływu tych, które są nieznanne.

— A więc widzisz!

— Niczego nie widzę. Na razie każdy lot kosmiczny jest związany z ryzykiem. Legerier i jego sześciu towarzyszy decydują się na podjęcie tego ryzyka. Dla bezpieczeństwa zostawimy na Hermesie jeden z naszych gwiazdolotów.

— To znaczy, że będzie musiał zostać również ktoś z technicznej obsługi twojej eskadry?

— Mojej? — Muratow uśmiechnął się. — Co za wyrażenie, Sierioża!

— Powiedziałem w znaczeniu „prowadzonej przez ciebie”.

— O tak! Inżynier William Weston zgodził się pozostać na Hermesie przez cały czas lotu.

— Biedny! Będzie mu bardzo smutno.

— To jest astronom-amator. Dlatego nie będzie taki znów nieszczęśliwy. Czy już się uspokoiłeś?

— Tak, widzę, że wszystko zostało dokładnie obmyślane.

— Sam miałbyś ochotę wziąć udział?

Sinicyn wzruszył ramionami.

— Czy jest astronom, który nie marzy o tym, żeby z bliskiej odległości zobaczyć planety systemu słonecznego! — odpowiedział z westchnieniem.

— No to zgłoś się.

— Legerier otrzymał setki takich zgłoszeń. I zmuszony był wszystkie odrzucić. Objętość sputnika-observatorium jest ograniczona, a poza nim na Hermesie nie ma się gdzie urządzić. Zostaje więc tylko zazdrościć siedmiu szczęśliwcom.

Nadszedł dzień odlotu.

Na pirenejskim kosmodromie zebrało się wiele ludzi, by odprowadzić statki eskadry towarzyszącej.

Ekspedycja Muratowa sama przez się nie była niczym niezwykłym — ludzie niejednokrotnie już odwiedzali inne ciała niebieskie. Historyczne znaczenie tej ekspedycji polegało na tym, że stanowiła ona początek, kamień węgielny gigantycznej pracy nad przebudową „Wielkiego Domu” ludzi Ziemi — systemu słonecznego.

Nic więc dziwnego, że ekspedycja ta znajdowała się w centrum uwagi wszystkich mieszkańców ziemskiego globu.

Muratowa odprowadzały tylko dwie osoby — Siergiej i Marina. Z młodszą siostrą Wiktor nie widział się już prawie rok. Dlatego jej przyjazd na Półwysep Pirenejski był dla niego miłą niespodzianką.

Marina życzyła bratu powodzenia w imieniu wszystkich krewnych, którzy nie mogli przyjechać.

— Ojciec prosił cię — powiedziała — byś nie zapomniał przywieźć mu do jego kolekcji okazów górskich skał Hermesa.

— Jakbym mógł o tym zapomnieć — uśmiechnął się Wiktor.

Starszy Muratow był znanym geologiem. Jeszcze w okresie młodości, w epoce pierwszych lotów człowieka na planety systemu słonecznego zaczął gromadzić pozaziemskie minerały i teraz ta specyficzna kolekcja, być może najlepsza na świecie, stanowiła ozdobę leningradzkiego Muzeum Geologii.

— Taką mam ochotę z tobą polecieć — powiedziała Marina z ciekawością przypatrując się wielkim sylwetom statków eskadry, ledwie odbijających promienie nisko już stojącego słońca w centrum gigantycznego kosmodromu — przecież ani razu nie byłam w Kosmosie.

— Jak to! A na Księżycu?

— Też — dziewczyna uśmiechnęła się z pogardą — Księżyc. To nie jest Kosmos.

— Popatrz — Sinicyn serdecznie się roześmiał. — Ona uważa, że lot na Księżyc nie jest lotem kosmicznym. Niedługo dojdzie do tego, że Kosmosem zaczną nazywać tylko przestrzeń znajdującą się poza granicami naszego systemu.

— Gdzie podziewa się Legerier? — zapytała Marina.

— Od dawna nie ma go już na Ziemi — odpowiedział Wiktor.

Dwa tygodnie temu siedmiu uczestników wyprawy odleciało na Księżyc, żeby stamtąd przenieść się na sputnik-observatorium i na nim polecieć na asteroid wtedy, gdy zbliży się on do Ziemi.

Nad polem rozległ się niski przeciągły sygnał.

— Pora na mnie — powiedział Muratow. — Do widzenia! Jeżelibyś — zwrócił się do siostry — powiedziała mi wcześniej o swoich marzeniach, zabrałbym cię ze sobą.

— Po prostu tak sobie powiedziałam — Marina pocałowała brata — i tak nie mam teraz czasu.

— Świetnie pamiętam, jak mówiłeś, że nie lubisz latać w Kosmosie — powiedział Sinicyn żegnając się z przyjacielem. — Jestem ciekaw, co powiesz po powrocie.

— Możesz być pewien, że powiem to samo.

— Wątpię. Kosmos wciąga.

— Powinien wrócić za dwa tygodnie — powiedziała Marina z uporem wpatrując się w niebo, na którym już nic nie było widać. — Przez cały czas będę się denerwować. I nie tylko

ja — dodała, mając na myśli swoich rodziców, siostry i braci. — Każdy taki lot jest niebezpieczny.

— Co to za niebezpieczeństwo! — odpowiedział Sinicyn. — Gwiazdoloty są niezawodne. Idziemy, Marinoczka. Spóźnimy się na liniowiec.

Jeszcze raz spojrzała w jasną dal nieba, jakby miała nadzieję, że zobaczy znajdujące się już daleko statki eskadry.

— Musi upłynąć dużo czasu — powiedziała — nim ludzie przyzwyczają się do gwiazdolotów, tak jak przyzwyczaili się do samolotów.

— Oczywiście! Tak jest zawsze. A potem pojawi się coś nowego, czego teraz nie znamy i ludzie zaczną wtedy mówić o gwiazdolotach w ten sposób, w jaki ty mówisz o samolotach. I tak będzie zawsze — zakończył Siergiej.

VI

Chodzenie sprawiało trudności. Mocno namagnesowane podeszwy butów ściśle przylegały do metalicznej podłogi i zrobienie kroku wymagało dużego wysiłku. Mimo to trudno było utrzymać równowagę. Dawał się we znaki zupełny brak przyciągania. Ludzie chodząc kołysali się i przybierali najdziwaczniejsze pozy, tak jak na pokładzie statku w czasie potężnej burzy. Hermes miał znikomą siłę przyciągania. Dlatego przy najmniejszym ruchu człowiek prostował się i za sekundę rozpoczynał nowe „padanie”. I tak bez przerwy. Takie chodzenie męczyło bardziej niż najdłuższa nawet piesza wycieczka na Ziemi.

Wiktorowi absolutnie nie podobał się pobyt na Hermesie. Z niecierpliwością czekał na chwilę startu w powrotną drogę. Dziwiło go, że uczestnicy ekspedycji z zainteresowaniem, a nawet wręcz z entuzjazmem, przyjmowali wszystko, co ich otaczało. Nie potrafił tego zrozumieć. Kosmos go nie fascynował, tak jak innych.

Jeszcze tylko cztery doby tych tortur i będzie w domu.

Prowadzono ostatnie obserwacje kontrolne. Już ponad sto godzin Hermes leciał po nowej orbicie i powoli zbliżał się do Wenus. Potem ominie Merkurego i rozpocznie wieloletni długi lot w głąb słonecznego systemu, aż do jego skraj, do najdalszej planety — do Plutona.

Zmiana trajektorii lotu asteroidu dokonała się zgodnie z obliczeniami. Wiktor był z tego dumny. Z Ziemi nadeszło wiele telegramów z gratulacjami. Cała planeta cieszyła się z tego sukcesu.

Tak, to było duże osiągnięcie.

Zadanie zostało wykonane. A więc można ze spokojnym sumieniem opuścić nieprzytulny Kosmos, powrócić na Ziemię, zabrać się do nowej, nie mniej potrzebnej i interesującej pracy. Na Ziemi jest do zrobienia tysiące rzeczy.

Ostatnie wyliczenia prowadził Jean Legerier, lecz Muratow nie obawiał się, by były niedokładne. Wszystko w porządku. Asteroid leciał tak, jak wyliczono jeszcze na Ziemi. Osiągnąwszy Jowisza skieruje się pod wpływem siły przyciągania olbrzyma systemu słonecznego w stronę Saturna, który z kolei zmieniając trajektorię skieruje go w pobliże Urana. I tak dalej. Planety będą przekazywać asteroid-obszernik jedną drugiej jak pałeczkę w sztafecie.

Trasa, którą przebył Hermes, była niewielka w porównaniu z tą gigantyczną odległością, którą miał przed sobą.

Ale już jutro... Zresztą co za jutro, kiedy nie ma tutaj ani dnia, ani nocy, ani wschodu, ani zachodu Słońca... Za osiemnaście godzin wszystko zostanie skończone. Legerier wypowie długo oczekiwaną formułę: „Wszystko w porządku” — i Muratow będzie wolny.

Nic nie będzie w stanie zatrzymać go tutaj, choćby na minutę!

Gdyby Wiktor mógł teraz wiedzieć, co zatrzyma go w tym niemiłym dla niego miejscu aż na trzy doby!

Przyszłość jednak skrywają przed człowiekiem prawa przyczynowości.

Trzymając się licznych poręczy przy ścianach i wszelkimi siłami starając się utrzymać ciało w pozycji pionowej, Muratow powoli szedł do messy sputnika. To archaiczne słowo wzięte ze słownika dawno już nie istniejącej marynarki wojennej weszło na stałe do języka kosmonautów.

Zegarek wskazywał ósmą godzinę czasu moskiewskiego. O tej porze na Hermesie jedzono kolację. W jadalni (niech już będzie „messa” — pomyślał Muratow) na pewno już na niego czekają. Minuta po ósmej. Wiedział, że Legerier i jego sześciu towarzyszy są zawsze punktualni.

Siedmiu członków ekspedycji, inżynier Weston i z ośmiu członków załogi eskadry towarzyszącej „siedziało” wokół okrągłego stołu. Hermes miał jednak pewną siłę przyciągania, umieszczono więc krzesła. Można było usiąść, jednak po to, by utrzymać się na krześle i nie poprzęknąć do góry przy każdym nieostrożnym ruchu, trzeba było przywiązywać się do siedzenia pasami.

Muratow przeprosił za spóźnienie i usiadł na swoim miejscu.

Messa mieściła się na skraju olbrzymiego, przypominającego dysk, korpusu sputnika. Sufit i narożna ściana były przezroczyste. Nad głową rozpościerało się matowoczarne niebo z niezliczonymi rojami gwiazd. Wśród nich olśniewającym blaskiem świeciło Słońce. Promienie zalewały wnętrze kajuty, jednak nie czuło się ciepła. Specjalne „szkło” zatrzymywało promienie podczerwone, z pokładu roztaczała się panorama Hermesa. Mroczne, o nieokreślonej brunatnej barwie, nieforemne skały. Pozbawiony życia, ziejący smutkiem pejzaż.

Obserwatorium kosmiczne, poprzednio sztuczny satelita Ziemi, stało na dnie płytkiej kotliny. Ze wszystkich stron otaczały je pnące się w górę granitowe ściany. Widoczność wynosiła zaledwie trzysta metrów, a ponieważ sputnik zajmował sto metrów, zewnętrzny świat był zatrzważająco mały.

Muratow wstrząsnął się na myśl, że ośmiu ludzi przez wiele lat nie zobaczy nic więcej poza tym smutnym obrazem.

Nie, on na coś takiego by się nie zdobył.

Wybór miejsca na obserwatorium nie był przypadkowy. Właśnie tu, w tak ukształtowanym terenie, statek był najbezpieczniejszy. Meteority stanowiące poważną groźbę nawet dla niewielkich gwiazdolotów były tysiącokrotnie niebezpieczniejsze dla Hermesa, gdyż jego ogromna masa o wiele bardziej przyciągała błyszczące w przestrzeni odłamki. Problem był tym istotniejszy, że trasa lotu przecinała pasmo asteroidów między Marsem a Jowiszem, a więc najgroźniejsze miejsce na międzyplanetarnych trasach.

W skały, które pierścieniem otaczały obserwatorium, były wmontowane potężne urządzenia. Niezależnie od szybkości meteorytu pole magnetyczne odchyliło jego trajektorię od jednego zamieszkanego miejsca na asteroidzie. Dlatego przezroczyste ściany mogły być stosunkowo cienkie, a także można było zbudować kopułę, pod którą mieściły się teleskopy i wiele innych aparatów i instrumentów. Jeśliby napotkany meteoryt nie był żelazny, ale kamienny, jego trajektorię odchyliłby burzowe pole antygravitacyjne, które było uzupełnieniem pola magnetycznego.

Astronomowie mogli więc w obserwatorium pracować spokojnie.

Po kolacji Muratow zatrzymał się w kajucie i zaczął rozmawiać z Westonem. Zdecydował, że tego wieczora nie wróci na swój gwiazdolot, ale przenocuje na sputniku, tym bardziej że w tym dziwnym świecie, w którym nie istniało przyciąganie, można było spać na czymkolwiek tak, jak na najmiększym materacu.

Cztery krzesła i mocny rzemień, po to by nie obudzić się pod sufitem, i posłanie było

gotowe. Namagnetyzowane metalowe nóżki krzeseł przywierały do podłogi, a to gwarantowało statyczność łoża.

O dziesiątej przed położeniem się spać Muratów zajął do kajuty Legeriera.

Legerier kładł się spać późno, więc Muratów nie obawiał się, że zjawi się nie w porę.

„Komendant Hermesa”, jak ktoś żartem nazwał Legeriera, stał wpatrzony w jeden z przyrządów umieszczonych na olbrzymiej, zajmującej całą ścianę tablicy.

— Niech pan zobaczy — powiedział. — Strzałka grawiometru nie stoi na zegarze. Zupełnie nie rozumiem, co to znaczy.

Muratów podszedł bliżej.

Grawiometry poznał w czasie ekspedycji „Titowa”. Jednak urządzenie w kajucie Legeriera nie miało już z tamtymi wiele wspólnego. Dwa lata to ogromny okres czasu dla techniki.

Nie zmieniła się jedynie skala i strzałka.

Muratów przyjrzał się.

— Wydaje mi się — powiedział — że strzałka nie tylko nie stoi na zegarze, jak pan powiedział, ale porusza się. Wprawdzie bardzo wolno, jednak porusza się.

— Tak, tak — w głosie Legeriera można było wyczuć niepokój. — To bardzo dziwne. Przyrząd wskazuje, że niedaleko od nas znajduje się jakieś ciało. Co to może być?

— Pierwszy lepszy meteoryt... — bez przekonania rzucił Muratów. Równocześnie sam siebie w duchu zwymyślał. Cóż za naiwna odpowiedź. Czyż Legerier nie mógł wziąć pod uwagę takiej możliwości?

Zamiast odpowiedzieć astronom w milczeniu wskazał ekran lokatora. Czarna linia była idealnie prosta. Promienie radiowe, nieprzerwanie kontrolujące przestrzeń wokół asteroidu, nie napotykały przeszkód.

— Zepsuł się...

Legerier nacisnął jeden z niezliczonych guziczków. Zapalił się mały ekran i pojawiło się wewnątrz kajuty zajmowanej przez Aleksandra Makarowa — zastępcę kierownika ekspedycji.

— Sasza! — powiedział Legerier. — Popatrz na grawiometr.

Było widać, jak Makarow podchodzi do identycznej tablicy rozdzielczej. Rozległ się okrzyk pełen zdziwienia.

— A teraz zwróć uwagę na ekran lokacyjny.

— Tak, widzę.

Makarów odwrócił się.

— Co na to powiesz? — zapytał Legerier.

— Bardzo dziwne, nawet za bardzo dziwne. U ciebie jest to samo?

— Oczywiście. Pomyślałem, że grawiometr w mojej kajucie jest zepsuty, ale przecież nie mogły popsuć się oba jednocześnie.

— Co się stało?

— Zajdź do mnie.

— Idę.

Legerier i Muratów nie spuszczaali oczu ze strzałki. Teraz nie można było mieć wątpliwości, że się porusza. Coś, czego nie odbijały promienie lokatorów, zbliżało się do Hermesa. Nie mógł to być niewielki odłamek, tak mały, że „nie widziały” go potężne urządzenia lokacyjne. Gdyby tak było, „nie zauważyłyby” go i grawiometr. Zagadkowe ciało posiadało dość dużą masę.

— Wciąż bliżej i bliżej — wyszeptał Legerier — i co najdziwniejsze, to coś leci bardzo wolno.

Rozległ się cichy brzęczek radiofonu.

Legerier nawet się nie odwrócił.

Brzęczek powtórzył się. Muratów podszedł do aparatu.

Dyżurny z punktu dowodzenia na flagowym statku eskadry zdenerwowanym głosem zameldował o dziwnym „zachowaniu się” grawiometru.

Napłynęły takie same meldunki ze wszystkich naszych statków — powiedział.

— Wiem — odpowiedział Muratow. — Prowadźcie dalej obserwację.

Wszedł Makarow i w milczeniu podszedł do Legeriera. Obaj z napięciem wpatrywali się w grawiometr. Strzałka znacznie już odchyliła się od zera i nadal wolno, bardzo wolno, ale wytrwale pełzła dalej.

Linia na ekranie lokatora, tak jak poprzednio, była idealnie równa.

Legerier tupnął nogą.

— Co to takiego, u diabła? — powiedział z rozdrażnieniem. — Ogłaszam alarm.

Makarow nacisnął czerwony guziczek znajdujący się na środku tablicy rozdzielczej. Muratow wiedział, że w tej samej chwili we wszystkich pomieszczeniach sputnika-obsztorium rozległ się cichy alarmowy dzwonek.

W niespełna dwie minuty w kabinie naczelnika zebrali się wszyscy, którzy przebywali na pokładzie sputnika.

Wyjaśnienia były zbyteczne. Ludzie ci doskonale rozumieli język aparatów.

Zapadło trwożne, pełne wewnętrznego napięcia milczenie.

Nieznane niebezpieczeństwo to jedno z najtrudniejszych psychicznych przeżyć. Nawet najodważniejszy człowiek mimo woli odczuwa nieokreślony lęk. Co zrobić, kiedy nie wiadomo, przed czym trzeba się bronić?

I nagle Muratowa ogarnęło olśnienie. Oczami duszy zobaczył napięte twarze Wieriesowa i Stone'a ze wzrokiem utkwionym w taki sam grawiometr. Wydało mu się, że zrozumiał, co się dzieje.

— A może to jest ten sam sputnik-zwiadowca, na którego dwa lata temu „polował” „Titow”? — powiedział.

Legerier gwałtownie się odwrócił.

— W takiej odległości od Ziemi?

— Któż może wiedzieć, gdzie oni się podziali.

— Ale przecież wtedy radiolokatory potrafiły odnaleźć sputniki?

— To było wtedy. Można przypuszczać, że zmieniły swój system obronny.

— Może ma pan rację — powiedział Legerier. — Zobaczymy.

Jeżeli Muratow nie mylił się, to strzałka grawiometru powinna przestać poruszać się w prawo. Sputniki-zwiadowcy nie mogły zanadto zbliżyć się do tak dużej masy jak Hermes. Przecież asteroid o średnicy półtora kilometra to nie małe gwiazdołoty!

Domysł był na tyle prawdopodobny, że wszyscy się od razu uspokoili. Dwóch astronomów otrzymawszy zezwolenie od Legeriera wyszło, żeby spróbować zobaczyć zbliżające się ciało przez wielki teleskop. Makarow wrócił do swojej kajuty, by równolegle prowadzić obserwacje przy pomocy swoich przyrządów.

Jednak spokój był krótkotrwały.

Minęło pięć, później dziesięć minut, a strzałka nieustannie przesuwała się w prawo, niebezpiecznie zbliżając się do końca skali, co oznaczało zetknięcie się dwóch mas — Hermesa i nieznanego obiektu. Nadciągała katastrofa. Do czerwonej kreski na skali było już bardzo blisko.

— Leci prosto na nas — nerwowo powiedział Legerier.

Udoskonalony grawiometr pozwalał na określenie nie tylko masy, ale i kierunku jej ruchu, a także odległości.

Na ekranie lokacyjnym tak jak poprzednio nie było nic widać.

Muratowowi wydało się, że przyrząd wskazuje już na dużo większą masę niż wtedy na „Titowie”.

Potwierdził to również Legerier.

— Masa nieznanego ciała — powiedział astronom — jest wielokrotnie większa niż masa zwiadowców.

Minęło jeszcze parę trudnych minut i nie można już było wątpić — coś leciało prosto na obserwatorium.

VII

Legerier rzucił się do tablicy rozdzielczej. Jeden ruch ręki i na całym sputniku opadły ciężkie hermetyczne grodzie — w ten sposób wszystkie pomieszczenia zostały odcięte od siebie. Obserwatorium zostało podzielone na odizolowane od siebie przegrody.

Teraz można było mieć nadzieję, że katastrofa nie pociągnie za sobą całkowitej zagłady. Dokąd kieruje się straszliwe uderzenie nieznanego ciała kosmicznego?

Ludzie zamarli w oczekiwaniu...

W ciągu tych sekund Muratow, nie wiedząc czemu, pomyślał nie o sobie i nie o znajdujących się razem z nimi ludziach, ale o statkach swej eskadry. Stały niedaleko od granitowego grzbietu kotliny, który otaczał obserwatorium. Czy domyślali się, żeby zrobić to samo, co przed chwilą zrobił Legerier?

Na wydanie rozkazu przez radiofon było już za późno.

„Zresztą — pomyślał Wiktor — jeżeli ciało uderzy w gwiazdolot, ze statku nic nie zostanie. Masa tego ciała jest zbyt wielka. Nie uratują ludzi żadne przegrody.”

Strzałka grawiometru nadal nieubłaganie zbliżała się do czerwonej kreski oznaczającej katastrofę. Ogromne pola antygravitacyjne i magnetyczne okazały się bezużyteczne. Były zbyt słabe na to, by móc oddziaływać na takiego kolosa. Bezsensowna i przypadkowa śmierć zajrzała ludziom w oczy, a oni nie mogli się jej przeciwstawić.

— Spójrzcie, panowie — powiedział Legerier wskazawszy ręką na grawiometr.

To, co zobaczyli, było bardziej niż dziwne i niepojęte. Strzałka pełzła coraz wolniej. Wbrew prawu ciężenia nie przyspieszyła, a właśnie zwolniła swój ruch tak, że trudno było go dostrzec.

I nagle... zatrzymała się, zastygła nieruchomo o jakiś milimetr od kreski.

A to znaczyło, że nieznanne ciało przestało spadać i nieruchomo zawisło nad Hermesem na wysokości najwyższej stu metrów od jego powierzchni.

Gwałtowne westchnienie ulgi wyrwało się jednocześnie z piersi wszystkich, którzy znajdowali się w kajucie.

Uratowani! Katastrofa, która jeszcze przed chwilą wydawała się nieuchronna, oddaliła się w niepojęty sposób.

— Tak może zachowywać się tylko statek, którym ktoś kieruje — powiedział Legerier.

— Jakież on musi mieć wobec tego rozmiary! — wykrzyknął zdziwiony Muratow.

Nie było żadnych wątpliwości. Był to statek kosmiczny o potężnych silnikach. Wszystko, co było dotychczas w zachowaniu nieznanego ciała niepojęte, stawało się oczywiste.

Skąd się wziął? Ziemia nie donosiła o locie żadnego statku w tym rejonie. Przelatujący gwiazdolot podałby swoje sygnały rozpoznawcze, jeśliby dowódca z jakichkolwiek przyczyn zechciał wylądować na asteroidzie. Statek dawno zauważyłyby już lokatory. Ponadto żaden z istniejących statków kosmicznych nie miał tak potężnych rozmiarów, nie miał też aparatury, która pozwalałaby pochłaniać fale radiowe.

Według danych grawiometru nieznaną gwiazdolot miał gigantyczne rozmiary, ale przez przezroczysty sufit kajuty widać było jedynie wygwieżdżone niebo.

— Nieznany obiekt zatrzymał się w pobliżu — powiedział Legerier głosem łamiącym

się ze wzruszenia. — Nie ma wątpliwości, to jest gwiazdolot, ale nie nasz gwiazdolot.

Jeszcze mówił, gdy strzałka grawiometru znowu drgnęła i szybko zaczęła przesuwać się w lewo.

Kosmiczny statek oddalał się.

Po co zbliżał się do Hermesa? Jeśli nieznani astronauta dostrzegli sztuczną budowlę, która znajdowała się na asteroidzie, powinni byli się nią zainteresować i spróbować wyjaśnić, co to jest. Tymczasem zatrzymali się tylko na niecałą minutę i natychmiast odlecieli. Było niepodobieństwem, by w tak krótkim czasie mogli cokolwiek zobaczyć. Ponadto wykonanie tego manewru wymagało utraty pewnej energii.

Gdzie tkwi przyczyna tego dziwnego zachowania?

Uczeni i inżynierowie w milczeniu patrzyli na siebie. Nikt nic nie rozumiał. Mimo woli zadawano sobie pytanie: czy wizyta nie była tylko przywidzeniem?

Nagle rozbłysło ostre światło. Ci, którzy zdążyli podnieść głowy, spostrzegli, jak nad nimi, na czarnym aksamicie nieba, wystrzeliły płomienie.

Wybuch wystąpił dosyć daleko, właśnie w tym miejscu, w którym teraz powinien znajdować się odlatujący statek. Kajutę na moment zalało białe martwe światło.

I znowu zrobiło się ciemno.

Strzałka grawiometru bezsilnie opadła na zero. Działająca na nią masa, masa statku kosmicznego z innego świata, który przed chwilą zbliżył się do Hermesa, zniknęła — nagle, od razu.

— Katastrofa! — wykrzyknął Muratow. — Statek eksplodował.

— Tak, eksplodował — powoli i ze smutkiem powiedział Legerier. — To była anihilacja. Nigdy już nie dowiemy się, co właściwie stało się na naszych oczach.

— I do tego, do jakiej ludzkości należał ten statek — dodał Muratow.

Ta nieoczekiwana katastrofa głęboko wszystkim wstrząsnęła. Ludzie byli zdenerwowani. Chociaż nie wiadomo, kto znajdował się na statku, chociaż były to istoty obce dla ludzi Ziemi, jednak przecież byli to przedstawiciele obejmującej cały wszechświat ludzkości.

Tak blisko, obok, znajdowały się rozumne istoty z innego świata, mogło nastąpić spotkanie ludzi — braci! Pierwsze w historii! I nie nastąpiło! Zwiastun innego świata, który być może przybył z dalekich głębin przestrzeni, zginął bez śladu.

To było nielogiczne, nieznośnie bolesne.

Legerier machinalnie nacisnął guzik, grodzie podniosły się i można było swobodnie poruszać się po całym obserwatorium.

— Ale dlaczego, dlaczego nie wylądowali? — powiedział Weston. — Nie mogli nie zauważyć naszego obserwatorium. Dlaczegoż tak szybko się oddalili?

— Może dlatego — powiedział Muratow — że istoty te przybyły do nas z antyświata. Przekonali się o tym, że nasz asteroid ze względu na budowę ich świata jest zbudowany z antymaterii i pośpiesznie uciekli przed niebezpieczeństwem. Oddalając się zderzyli się z meteoritem. Zaszła anihilacja, której się tak obawiali.

— Pańska hipoteza, Muratow, nie wytrzymuje krytyki — powiedział Legerier. — Jest niesłuszna z dwóch przyczyn. Po pierwsze, nie przelatywały teraz żadne większe meteoryty. W tej odległości, na której statek eksplodował, nasze lokatory odnotowałyby każdy meteor. Po drugie, statek kosmiczny, który przylatuje do obcego systemu planetarnego, powinien posiadać ochronę przed anihilacją. Dawno już powinni zbadać, z jakiej materii zbudowany jest nasz system planetarny. Przecież spotkaliśmy się z nimi nie na skraju, a w centrum.

— Mogli oni przelecieć przez cały nasz system, ale zbliżyć się do niego z dołu lub z góry po względnie płaskiej ekliptyce.

— Niemożliwe. Taka lekkomyślność zupełnie nie harmonizuje...

Nie dokończył, cały zamieniając się w słuch.

Od strony wejściowej śluzы zewnętrznych drzwi obserwatorium słyhać było wyraźne

stukanie.

Kto stukał?

Jeśli był to ktoś z załogi statków eskadry, nie potrzebował stukać. Istniała sygnalizacja, którą wszyscy znali. Zresztą nikt nie mógł się zjawić bez wcześniejszego uprzedzenia. Wszyscy pomyśleli o tym samym. To stukwały istoty z innego świata! Wysiadły z tego samego statku, który przed kilkoma minutami eksplodował.

Ale przecież statek nie wylądował na powierzchni Hermesa. Jak mógł kogoś wysadzić? Statek odleciał i podobny „desant” był całkowicie bezsensowny.

Uparte miarowe stukanie znowu się powtórzyło.

Legerier włączył zewnętrzny ekran.

I zobaczyli...

Przed wejściem stała wysoka ludzka postać odziana w skafander.

Normalna ludzka postać.

Normalna?...

Niezupełnie. Wszyscy spostrzegli coś więcej.

Człowiek stojący u wejścia był ubrany w niezemski skafander. Podniósł rękę i niecierpliwie zastukał metalową rękawicą w zewnętrzne drzwi.

A więc mimo wszystko...

Mimo wszystko doszło do wielkiego spotkania.

U wejścia stała istota z innej planety — gość, który przyleciał nie wiadomo skąd — stała i niecierpliwie domagała się, żeby ją wpuścić.

Trudno oddać słowem to, co poczuli ludzie Ziemi, gdy zrozumieli, z kim mają do czynienia.

Gość był sam. Być może, pozostali oczekują ukryci w skałach? Być może przybysze nie byli pewni, jak ich powitają i wysłali najpierw zwiadowcę?

Ale przecież nie mogli opuścić asteroidy. Statek, z którego zeszli, odleciał i zginął. Nie mogli o tym nie wiedzieć.

Dziwne, zagadkowe, niepojęte!

Legerier nie wahał się.

Otworzyły się zewnętrzne drzwi. Wewnątrz śluzy wyjściowej zapaliło się światło zapraszając gościa do wejścia.

Gość wszedł pewnie i bez wahania, widocznie niczego się nie obawiał.

Kierownik ekspedycji zwlekał. Czekał na zjawienie się pozostałych.

Jednak nikt się nie zjawiał. Widocznie, choć było to nieprawdopodobne, gość był sam.

Zewnętrzne drzwi zamknęły się.

Przybysz z Kosmosu znajdował się wewnątrz obserwatorium, wkroczył w obcy dla niego świat.

Zaczęły pracować automaty ochrony biologicznej. Legerier zastosował maksymalny reżim.

— Czy się domyśli, że należy zdjąć skafander?

— Powinien się domyślić. Przecież to kosmonauta. Rozumie, że istnieje niebezpieczeństwo.

I znowu zapadło głębokie milczenie, napięte, niemal męczące.

— A jeżeli nie może oddychać naszym powietrzem?

Nikt się nie odezwał, choć wszyscy pomyśleli o tym samym.

Niczego nie można już było zmienić. Proces rozpoczął się. Dokąd zresztą mógł udać się przybysz?...

Spalił za sobą wszystkie mosty.

Śluza wyjściowa nie miała ekranu. Nie można było zobaczyć, co się tam dzieje. Praca automatów ochrony biologicznej, przy zastosowaniu maksymalnego reżimu, będzie trwała

prawie godzinę. Przybysza z Kosmosu żywego czy martwego ludzie zobaczą dopiero wtedy, kiedy minie ten okres czasu.

A czas dłużył się nieznośnie.

— Jeżeli można by było to przewidzieć — powiedział Weston — zainstalowano by tam ekran.

Oczywiście! Jeśliby ludzie mogli przewidzieć, że pojawi się taki gość, istniałaby łączność telewizyjna ze służą wyjściową. W zwykłych warunkach była ona niepotrzebna.

Minęło dziesięć minut. Dopiero dziesięć!

Śluz napelniła się już powietrzem, destylowanym, czystym powietrzem kosmicznego obserwatorium, w którym nie było ani jednej bakterii ani jednego mikroba.

Ale było to powietrze o ziemskim składzie!

Jak podziała ono na gości? Może obca Ziemi istota udusi się w nim i kiedy otworzą się wewnętrzne drzwi, ludzie zobaczą tylko zimne zwłoki?

— Nie, to nieprawdopodobne! — powiedział Legerier. — Nie wszedłby tam tak spokojnie.

— Wydaje mi się — powiedział Muratów — że wiem, o co chodzi. To jest jeden z gospodarzy sputników-zwiadowców. A oni przecież od dawna znają naszą planetę, znają skład jej atmosfery i widocznie nie stanowi ona dla nich niebezpieczeństwa.

Tłumaczyło to wiele, ale nie wszystko.

— W jaki sposób znalazł się on na Hermesie? — zapytał jeden z astronomów.

— Po prostu wyskoczył. Skok z wysokości stu metrów na asteroid o takich rozmiarach jest całkowicie bezpieczny.

— Ale dlaczego wyskoczył?

— To powie nam on sam.

Minęło dwadzieścia minut!

Minęło pół godziny!

Kajuta Legeriera opustoszała. Chociaż do otwarcia drzwi było jeszcze dużo czasu, wszyscy, wyjąwszy Makarowa, zebraли się przed służą wyjściową. Zastępca Legeriera został w swej kajucie przed ekranem i w równych odstępach czasu komunikował o tym, co dzieje się na zewnątrz. Dokładnie opowiadał, co widzi, a raczej czego nie widzi na zewnątrz. Nie było żadnych śladów, które wskazywałyby, że w pobliżu obserwatorium znajdują się inni kosmonauci.

Stawało się oczywiste, że przybysz znajdujący się w służbie jest rzeczywiście sam. Jego pojawienie się na asteroidzie było więc tym bardziej zagadkowe.

Wszystko, wszystko było zagadkowe i niepojęte!

Czterdzieści minut!

Na statkach eskadry towarzyszącej wiedziano o wszystkim. Muratow nie zapomniał o swych towarzyszach i przez radiofon opowiedział im o nieprawdopodobnym zdarzeniu.

Każdy na swój sposób przygotowywał się do najbardziej sensacyjnego wydarzenia — do chwili, w której spotkają się twarzą w twarz mieszkańcy różnych światów.

Po raz pierwszy w historii!

...Pięćdziesiąt minut!

Napięcie rosło. Czy ten, który znajduje się za grubymi nieprzenikliwymi drzwiami, też się denerwuje? Czy są mu dostępne podobne uczucia?

Powinien się denerwować. Nie można sobie wyobrazić rozumnej istoty, która nie posiadałaby systemu nerwowego!

Zobaczyli już, że zewnętrzne kształty przybysza są bardzo podobne do kształtów, jakie mają ludzie Ziemi. Co jednak kryje się pod skafandrem?

Nikt nie oczekiwał, że pojawi się jakiś potwór. Gość z Kosmosu miał głowę, ręce i nogi. Ubrany był w skafander podobny do skafandrów ziemskich. Prawdopodobnie mógł

swobodnie oddychać ziemskim powietrzem. To wszystko wskazywało, że jego ojczysta planeta jest taka sama jak Ziemia. Dlaczegożby podobne warunki rozwoju nie mogły doprowadzić do podobnych rezultatów?...

Minęło pięćdziesiąt pięć minut!

...Jeszcze minuta!

Wokoło panowała taka cisza, że wszyscy wyraźnie usłyszeli, gdy w centralnym pawilonie, gdzie były zainstalowane urządzenia sterujące, ze szczękiem wyłączył się automat ochrony biologicznej.

Proces zakończył się.

Jeżeli przybysz zdjął z siebie skafander, a jeśli myślał logicznie, to powinien był to zrobić, to ani na zewnątrz, ani wewnątrz ciała nie zostało nic, co mogłoby zarazić powietrze w obserwatorium.

A jeśli nie zdjął skafandra?

Wtedy również nie groziło niebezpieczeństwo. Skafander został wysterylizowany. Na migi wytłumaczyła gościowi, że należy go zdjąć i poddać się powtórnej operacji.

Nadeszła długo oczekiwana chwila!

Poblady, choć pozornie spokojny, Legerier nacisnął guziczek.

Drzwi otworzyły się.

Każdy wyobrażał sobie gościa inaczej. Każdy rysował sobie w myśli jego twarz, taką jaką dyktowała mu jego własna fantazja. Wszyscy jednak oczekiwali, że zobaczą kosmonautę ubranego w strój przystosowany do lotów kosmicznych. Może nie w takim kombinezonie, jaki noszą ziemscy kosmonauci, może jego ubranie będzie miało nieprawdopodobny krój, może będzie miał najdziwniejsze rysy twarzy, najdziwniejszy kolor skóry!

Jednak to, co zobaczyli, przeszło najśmielsze oczekiwania.

Gość zdjął skafander, tak jak oczekiwali, domyślił się, że należy to zrobić.

O!...

Przybysza powitał ogólny okrzyk zdziwienia.

Przed nimi stała wysoka dziewczyna w krótkiej, mocno wyciętej sukience koloru złota. Twarz, o dziwnym zielonkawym odcieniu skóry, okalały granatowoczarne włosy. Wielkie, skośne i wydłużone oczy patrzyły na ludzi Ziemi badawczo, ale całkiem spokojnie.

Dziewczyna podniosła do góry rękę z otwartą wyciągniętą dłonią do przodu i przemówiła głosem miękkim i śpiewnym rozciągając sylaby:

— Gijaneja!

VIII

— A mnie najbardziej w tej zagadkowej historii dziwi wygląd Gianej — powiedział Muratow. — Nie myślałem, że człowiek z innego świata będzie aż tak podobny do ludzi Ziemi. To się po prostu z trudem mieści w głowie. Nie wiem jak pan, profesorze, ale ja nie mogę pogodzić się z tym, że Gianeja jest mieszkańcem innego świata.

— A kim innym może być? — zapytał Legerier.

— Rozumiem. Tak jak wszyscy, zmuszony jestem zgodzić się z faktami. Jednak, choć nie wiem, w jaki sposób panu to wytłumaczyć, coś się we mnie nie zgadza, coś się nawet buntuje.

— Nie widzę w tym nic dziwnego — powiedział Legerier. — Rozumiem pańskie nastroje. Ludzie przyzwyczaili się do myśli, że mieszkańcy innych światów nie mogą być do nas podobni. Ale dlaczego? Wszechświat jest nieskończony i wśród nieskończonej wielości

zamieszkałych światów powinny występować najrozmaitsze formy życia aż do myślącej pleśni, jak pisał jeden z uczonych w połowie zeszłego wieku. Myślące organizmy istnieją we wszystkich możliwych formach. Nie należy jednak zapominać, że dostępna nam część Kosmosu składa się z tych samych pierwiastków, z tych samych elementów, co i nasz system słoneczny.

— Rozumiem pana i zgadzam się — powiedział Muratow. — W tym wypadku mamy jednak do czynienia nie z podobieństwem, ale z tożsamością.

— I w tym też nie ma nic dziwnego. Od początku byłem przekonany, że zobaczymy człowieka. Tak też się stało. Zaraz to panu wytłumaczę. Statek, który zbliżył się do Hermesa, należał na pewno do gospodarzy zwiadowców. Znają oni, i to dobrze, naszą Ziemię. Postanowili, w tej chwili nieważne dlaczego, wysadzić na asteroid jednego z członków załogi swojego statku. Nie wiemy, czemu to zrobili, ale możemy być przekonani, że nie mieli wątpliwości, iż ich towarzysz znajdzie z nami wspólny język; nie mieliby tej pewności, gdybyśmy nie byli do siebie podobni. Na pewno by nie wysłali samotnego człowieka do istot, które różniłyby się od nich.

— Oczywiście — lekko zirytowany powiedział Muratow. — Ciągłe pan mówi „podobieństwo”, „podobieństwo”. Rozumiem, że może istnieć podobieństwo, ale absolutna tożsamość? Nie można bowiem twierdzić, że zielony odcień skóry jest tym, co różni. Ziemskie rysy bardziej się różnią między sobą.

Legerier wzruszył ramionami.

— Nie rozumiem — powiedział — skąd bierze się u pana taki atawizm? Podświadomie powtarza pan to, co mówiono i pisano dziesiątki lat temu. Jeżeli przyjąć konsekwentny punkt widzenia, że człowiek jest tworem natury, to nietrudno jest zrozumieć i to, że natura wszędzie, tam gdzie są jednakowe warunki, tworzy to samo. Natura nie jest obdarzona rozumem, działa, jeżeli można tak rzec, „intuicyjnie”. Działa prosto i przede wszystkim naturalnie.

— To nie o to chodzi — powiedział Muratow. — To, o czym pan mówi, profesorze, sam wiem równie dobrze.

— Peszy pana to, że Gianeja jest kopią ziemskiej kobiety, a ponadto kobiety białej rasy. Czy o to chodzi? Postawmy inaczej problem. Zamieńmy się rolami. Załóżmy, że to nie oni, ale my badaliśmy przestrzeń wokół naszego systemu planetarnego. I odkryliśmy kilka zamieszkałych światów. Załóżmy, że mieszkańcy tych światów różnią się wyglądem zewnętrznym. Są istoty zarówno do nas niepodobne, są i podobne. A są również i całkiem tożsame. Z kim najpierw nawiążemy kontakt? Z kim najpierw się spotkamy?

— Ziemię zamieszkuje kilka ras.

— Ma pan rację. Rzeczą naturalną jest oczekiwanie zrozumienia u istot najbardziej podobnych. Gianeja należy do ludzkości czy też części ludzkości na takiej planecie, na której myślący rozum przybrał taką samą formę jak i na Ziemi, największe zaś podobieństwo łączy ją z ludźmi białej rasy na Ziemi.

— A więc to tylko przypadek?

— Tak, ale w pełni zrozumiały. Nie widzę w tym nic dziwnego. Powiem nawet więcej, byłbym bardzo zdziwiony, gdyby było inaczej.

— Więc sądzi pan, że mogli wybierać?

— Wydaje mi się, że mogli. Oczywiście, mogło się tak zdarzyć, że nie mieli wyboru.

— Myśli pan, że ich ojczyzna znajduje się gdzieś w pobliżu?

— Tak, ponieważ założyliśmy, że zwiadowcy zostali przez nich wysłani. Trudno przypuścić, że zostali wysłani z Mgławicy Andromedy. Musieli być przecież wysłani w jakimś celu. Co innego, jeżeli mylimy się i Gianeja nie ma nic wspólnego ze zwiadowcami. Wtedy mogła przybyć skądkolwiek.

— A w jaki sposób wyjaśni pan zielony odcień jej skóry? — zapytał Muratow pragnąc zmienić temat, w którym nie czuł się zbyt mocny.

Legerier uśmiechnął się.

— Wie pan dobrze, że teraz na to pytanie nie potrafię udzielić odpowiedzi — powiedział. — Pochodzenie zielonego odcienia wyjaśni się wtedy, kiedy Gianeję zbadają lekarze. Oczywiście, jeżeli się na to zgodzi.

— Jeżeli zgodzi się? — ze zdziwieniem spytał Muratow. — Czyż można nawet przypuszczać, że odmówi? To byłoby bez sensu!

Przez kilka minut Legerier milczał.

— Jestem zadowolony — powiedział w końcu — że poruszył pan ten temat. Nie chciałem się z nikim dzielić swoimi obserwacjami, by nie dawać powodu do twierdzeń, które mogłyby się okazać fałszywe. Ale, ponieważ poruszyliśmy już ten temat... Niech pan powie, czy w zachowaniu Gianei nie zauważył pan czegoś osobliwego?

— Zauważyłem tylko, że zachowuje spokój, który może zdumiewać. W sytuacji, w której się znalazła, jest to nawet nienaturalne.

— Tak, oczywiście. Znalazła się w obcym świecie, wśród ludzi obcych nie tylko dla niej, ale i dla całego społeczeństwa, do którego należy, i zachowywać się tak jak ona — to rzeczywiście jest nienaturalne. Ma pan rację. Jednak wydaje mi się, że chodzi o coś innego — zdenerwowany Legerier przeszedł się po kajucie. — Chciałbym, żeby mi pan udowodnił, że się mylę. Powiem po prostu. Czy nie sądzi pan, że Gianeya nie zachowuje się spokojnie, ale wyniosłe?

Muratow drgnął. I on myślał podobnie. Często wydawało mu się, że z zachowania cudzoziemki przebija poczucie wyższości nad otaczającymi ludźmi, ale starał się tym nie sugerować.

— Tak — odpowiedział — niejednokrotnie odnosiłem takie wrażenie. Jednak, być może, to nie jest wyniosłość, ale po prostu sposób bycia właściwy dla tych ludzi.

— Możliwe. Nie znamy ich. Jednak przy tak dużym podobieństwie zewnętrznym nie tylko ciała, ale nawet i ubrania, również i psychika powinna być podobna. Zostawmy to jednak. Dlaczego troskę, którą jej okazaliśmy, przyjęła jako rzecz należną? Żadnych oznak wdzięczności. Pamięta pan, kiedy Weston powtórzył wypowiedziane przez nią słowo „Gianeya” myśląc, że oznacza ono powitanie, z dumą, właśnie z dumą odrzuciła głowę do tyłu i jeszcze raz powtórzyła to słowo wskazując na siebie. To było jej imię. Zrobiła to w ten sposób, jakby to nieporozumienie było dla niej obraźliwe. Czyż człowiekowi Ziemi, który po raz pierwszy spotkałby się z mieszkańcami innego świata, przyszyłoby do głowy od razu wymieniać swoje imię? Wydaje mi się, że to jest właśnie duma, przekonanie o własnej wyższości. Przypuśćmy jednak, że są u nich takie zwyczaje. Kiedy nasz lekarz realizując program ochrony biologicznej poprosił ją o zejście do basenu, zrozumiała go od razu i bez sprzeciwu spełniła prośbę. Rozebrała się natychmiast przy wszystkich. Powie pan pewnie, że nie istnieje tam poczucie kobiecej wstydlivosti, że takie są u nich zwyczaje. Porównajmy to z innym faktem. Gianeya pojawiła się przecież u nas w sukni, której krój dowodzi, że istnieją u nich takie kobiece cechy jak kokieteria i wstydlivosc. Niech pan sobie przypomni, miała suknię wyciętą na plecach, ale plecy były przykryte włosami. To jest bardzo charakterystyczne. Nawet największej ziemskiej kokietce nie przyszyłoby do głowy, pojawić się w takim stroju w innym świecie. Dlaczego nie była ubrana w strój kosmonauty? Dlaczegoż chciała, żebyśmy ją ujrzeli „w pełnym blasku urody”? A potem rozbiera się przy wszystkich. Sięgnijmy do czasów zamierzchłych. Rzymskie patrycjuszki rozbierały się w obecności swych niewolników, gdyż nie uważały ich za ludzi.

— Popada pan w sprzeczność, profesorze — powiedział Muratow. — Jeżeli nie traktuje nas jak równych sobie ludzi, to dlaczego, jak pan powiedział, miałaaby nas „oślepiac blaskiem swej urody”?

— Nie ma w tym sprzeczności. Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem, w swoim postępowaniu kierowała się następującymi motywami: chciała zjawić się u nas nie jako zwykły

kosmonauta, ale właśnie jako „władczyni”.

— Władczyni? — powtórzył Muratow. — Czyż w świecie, którego technika umożliwia loty międzygwiazdne, mogły ostać się jeszcze pojęcia „władca” i „niewolnik”? Myli się pan, profesorze. Wszystko to można wytłumaczyć dużo prościej, jednym słowem — obyczaj. U nich obowiązują takie obyczaje, inne od naszych, i dlatego dla nas niezrozumiałe.

— Będę szczęśliwy, jeśli okaże się, że ma pan rację. Jednak nie wątpię, że ich psychologia jest podobna do naszej. Przy takim podobieństwie inaczej być nie może. Proszę wyobrazić sobie, że jest pan na jej miejscu. Powiedział pan swoje imię — Wiktor. I natychmiast zmieniono je, na przykład na Wiko. Czyż nie sprostowałby pan? A ona? Weston, a później nasz lekarz zwrócili się do niej „Gianejo”, a nie „Gijanejo”. Jak zareagowała? Uśmiechnęła się i jeśli pan woli, uśmiechnęła się lekceważąco i nie zaprotestowała. To jest jej obojętne. Od niższych istot nie można wymagać prawidłowej wymowy.

— Zapala się pan, profesorze Legerier. Częściowo się jednak z panem zgadzam. Rzeczywiście wyczuwa się w niej przekonanie o własnej wyższości.

— Wszystko się z czasem wyjaśni. Żałuję bardzo — dodał Legerier gwałtownie zmieniając temat rozmowy — że nie będę mógł być obecny podczas jej przylotu na Ziemię. Jak się zachowa? Kiedy wylatujecie?

— Pojutrze. To znaczy za dwadzieścia cztery godziny. Przecież tutaj nie istnieją doby. Jansen uważa, że Gianeja w ciągu tych dwóch dni przyzwyczała się już do naszego jedzenia. Nawiasem mówiąc, czy to nie dziwne, że tak chętnie i bez obawy przyjęła śniadanie, które jej podano.

— To dodatkowy argument, na korzyść pańskiej hipotezy, panie kolego, że należy ona do tych, którzy wysłali do nas zwiadowców. A oni, jak już mówiliśmy, znają Ziemię, a także i sposób odżywiania.

— A ponadto nie mogła zrobić nic innego, jeśli nie zamierzała umrzeć z głodu — z zadumą powiedział Muratow.

IX

Jak należało oczekiwać, radiogram z Hermesa, w którym zawiadomiono o pojawieniu się Gianeji i okolicznościach, które temu towarzyszyły, poruszył wszystkich mieszkańców ziemskiego globu.

Niecierpliwie czekano na powrót eskadry.

Automatyczne urządzenia radiowe obserwatorium przyjęły ogromną ilość radiogramów witających Gianeję — z Ziemi, Marsa, Wenus, z zewsząd, gdzie byli ludzie. Z entuzjazmem przyjęto wiadomość o jej przybyciu, o przybyciu pierwszej przedstawicielki innego rozumu na Ziemię.

Zanościło się na to, że spotkanie przekształci się w olbrzymią manifestację.

Gianeji pokazano stos radiogramów i za pomocą gestów usiłowano wytłumaczyć, że wszystkie są adresowane do niej, że na Ziemi czekają na nią z niecierpliwością.

Czy rozumiała? Wszystkim wydawało się, że tak. Chociaż przyjęła to dość obojętnie.

Wiadomość o tym, że ma lecieć na Ziemię, również nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

Zakomunikował jej o tym Weston. Na specjalnie w tym celu naszkicowanej mapie gwiazd pokazał Gianeji kółko wyobrażające Hermesa, potem Ziemię. Na pewno rozumiała jego gestykulację. Potem inżynier narysował strzałkę — znak, który musiała pojąć myśląca istota, tym bardziej kosmonauta. Ostrze strzałki opierało się o Ziemię.

Gianeja popatrzyła na Legeriera, który stał obok i zrobiła bardzo łagodny ruch ręką, który mógł oznaczać tylko jedno: „Lecimy tam”. Nie można było mieć żadnych wątpliwości, co ten gest oznacza.

Każdy szczegół w zachowaniu się gościa był bacznie obserwowany. Wszyscy zauważyli, że chociaż objaśnień udzielał jej Weston, Gianeja zwracała się wyłącznie do Legeriera. Czyżby domyśliła się, że tutaj on właśnie jest dowódcą, chociaż naczelnik ekspedycji nie wyróżniał się swoim zachowaniem i nic nie mogło Gianeji zasugerować, kto jest dowódcą.

A jednak się domyśliła.

O tym dziwnym fakcie przypomniał sobie Muratow po rozmowie z Legerierem. Zachowanie Gianeji zdawało się potwierdzać słowa francuskiego uczonego. Gość musiał się do kogoś zwracać i wybrał kierownika ekspedycji, ignorując pozostałych.

„W jaki sposób mogła się domyślić, że Legerier jest kierownikiem?” — zastanawiał się Muratow.

Roalda Jansena — astronoma, lekarza i biologa pełniącego na Hermesie obowiązki lekarza — bardzo niepokoił czekający Gianeję przelot na Ziemię.

— Tutaj — mówił — powietrze jest czyste, nie zawiera ani jednego mikroba. Natomiast są one na Ziemi. Jaki wywrą wpływ na organizm Gianeji? Czy nie zachoruje od razu po przylocie?

Na ten temat przeprowadzono z Ziemią specjalną rozmowę. Podzielali tam obawy Jansena.

Gianeja nie miała się gdzie podziać. Nie można jej było zostawić na Hermesie. Jedy-
nym wyjściem było wysłanie jej na Ziemię.

Wydawałoby się, że nie ma się nad czym zastanawiać.

Jednak nikt nie chciał podejmować decyzji bez wiedzy Gianeji. Zgodziła się, że poleci — trzeba było jednak przestrzec ją przed groźącym niebezpieczeństwem. Być może, nie wie o nim, nie podejrzewa, że lecąc na Ziemię naraża się na duże ryzyko.

Postanowiono dowiedzieć się koniecznie, co ona sama sądzi na ten temat.

Jednak jak to zrobić?

— Nie mamy innego wyjścia — powiedział Jansen. — Trzeba jej to wszystko wyjaśnić przy pomocy rysunków, schematów i tablic biologicznych: przemiana materii, oddychanie i tak dalej. Jeżeli zna biologię, to zrozumie. Jeżeli nie zna — nie zrozumie. Kolega Weston bardzo ładnie rysuje. Poproszę go, żeby według moich wskazówek przygotował odpowiednie rysunki. A więc spróbujemy.

— Myślę, że wyjaśnień powinny udzielać dwie osoby — powiedział Legerier. — Proszę, żeby wszyscy pozostali wyszli. Trzeba też wziąć pod uwagę, iż Gianeja może tego nie zrozumieć.

Próbie przeprowadzono w przeddzień odlotu.

— Co zrobimy, jeżeli Gianeja zrozumie i odmówi odlotu na Ziemię? — zapytał Muratow, gdy Legerier i Jansen zamierzali udać się do gościa.

Gianeja otrzymała kajutę jednego z astronomów i prawie jej nie opuszczała.

— Wtedy zawiadomimy Ziemię — powiedział Legerier. — Sądzę jednak, że nie odmówi. Powinna zrozumieć, że nie mamy innego wyjścia.

— Może być tak — dodał Jansen — że Gianeja będzie musiała na Ziemi chodzić w specjalnym skafandrze. Mieszkać zaś będzie w specjalnym pomieszczeniu wypełnionym destylowanym powietrzem.

Muratow pokiwał głową.

— Ona się na to nie zgodzi.

— Po co zgadywać — powiedział Legerier. — Zgodzi się, nie zgodzi się. Zobaczymy. Chodź, Jansen.

Próba się udała. Oczywiście Gianeja doskonale rozumiała obrazkowy język biologa.

Jednak ani Jansen, ani Legerier nie zrozumieli z jej gestów, czy zgodzi się lecieć na Ziemię po ich wyjaśnieniach, czy nie.

Aby się o tym przekonać jeszcze raz pokazano Gianei rysunek zrobiony przez Westona. Uśmiechnęła się i powtórnie wykonała ten miękki gest, który wszyscy zrozumieli jako „lecimy”.

— Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy — powiedział Legerier. — Wyślę dokładny radiogram i tam postanowią, co należy dalej robić. Nie traćcie czasu.

Gianeja nie miała żadnych rzeczy. Zjawiła się na Hermesie, u ludzi Ziemi, w obcym dla siebie świecie, ubrana tak lekko, jakby nie była w Kosmosie, a u siebie w domu. Jakby na chwilę przyszła w odwiedziny i zaraz miała wrócić z powrotem. Wszyscy, którzy znajdowali się zarówno na Hermesie, jak i na Ziemi uważali, że jest to co najmniej dziwne. Trudno się było nawet domyślić, dlaczego tak postąpiła. W takim stroju nie mogła przecież chodzić na statku kosmicznym. Wyjaśnienie Legeriera wydawało się wszystkim zbyt fantastyczne. Kryła się w tym jakaś tajemnica, której rozwiązanie mógł przynieść dopiero czas.

Zwracano również uwagę na to, iż podeszwy małych, bardzo wytwornych „złotych” pantofelków Gianei były namagnesowane. A więc obuwie pozornie bezużyteczne w czasie lotu kosmicznego, miało być jednak używane w warunkach nieważkości w Kosmosie.

Dziwnie wyglądała ta wysoka, cała w złocie dziewczyna wśród ubranych w ciemne kombinezony kosmonautów. Wyższy od niej był jedynie Muratow. Obserwując jej zgrabną sylwetkę i zwiewne, niemal kocie, ruchy, miało się wrażenie, że Gianeja nie idzie, a ślizga się po podłodze. Niezwykle gęste, granatowo-zielone włosy opadały ciężko na plecy.

Chociaż w obserwatorium termometr wskazywał osiemnaście stopni w skali Celsjusza, Gianei nie było zimno. Nie chciała włożyć zaofiarowanego kombinezonu.

Jansen miał wielką ochotę zmierzyć jej temperaturę, nie udało mu się jednak, Gianeja zareagowała bowiem ostro i z ziemskiego punktu widzenia, bardzo niegrzecznie, odpychając po prostu rękę, w której lekarz trzymał termometr.

Nie pozwalała się nawet dotykać. Widocznie zwyczaj podawania ręki nie był znany w jej ojczyźnie. Jeżeli ktoś przy spotkaniu wyciągał do niej rękę, Gianeja cofała się o krok i wznosiła swoją rękę na wysokość ramienia z wyciągniętą do przodu otwartą dłońią — był to ten sam gest, którym powitała ludzi przy pierwszym spotkaniu.

— To świadczy o dumie i zarozumiałości — twierdził Legerier.

— Taki jest zwyczaj w jej ojczyźnie — oponował Muratow.

Kto z nich miał rację, pokaże przyszłość.

Skafander, w którym Gianeja opuściła swój gwiazdolot, został dokładnie zbadany. Był bardzo lekki, zrobiony z cienkiego i elastycznego niebieskiego metalu. Hełm miał kształt kwadratu, a właściwie sześcianu, w jego wnętrzu nie stwierdzono żadnych urządzeń akustycznych czy radiotechnicznych. Na wysokości oczu znajdowała się wysoka dymnoszara, przezroczysta szybka plastikowa, która przepuszczała bardzo mało światła. Co najdziwniejsze, w skafandrze ani na zewnątrz, ani wewnątrz nie było żadnych zbiorników z powietrzem. W takim skafandrze nawet przy bardzo powolnym oddychaniu i maksymalnej oszczędności ruchów można było przebywać najwyżej dziesięć do dwunastu minut.

— Przynajmniej częściowo możemy zrozumieć, dlaczego tak niecierpliwie stuknęła — zauważył Weston. — Mogła się udusić. Dlaczegoż ją jednak wypuścili ze statku bez zapasu powietrza?

Następna nie wyjaśniona zagadka.

— Moim zdaniem — powiedział Muratow — dowodzi to, że wiedzieli, iż obserwatorium jest zamieszkane. W przeciwnym razie jej wyjście byłoby równoznaczne z samobójstwem.

— Tak, to podejrzana historia — zauważył Legerier. — Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, że Gianeja po prostu uciekła ze statku. To wiele tłumaczy,

choćby i to, że w pośpiechu zapomniała wziąć zapasu powietrza.

— Statek przecież zawisł tuż nad powierzchnią Hermesa. Jak to pogodzić z pańską wersją? W takim razie w ucieczce musiałaby jej pomagać załoga gwiazdolotu.

— Może zauważyli, że na asteroidzie znajduje się sztuczna budowla i zbliżyli się, żeby zobaczyć, co to jest. Gianeya wykorzystywała nadarzającą się okazję.

— Dlaczego więc zatrzymali się tylko na tak krótko?

Legerier wzruszył ramionami.

— Podejrzana historia — powtórzył.

Skafander był zrobiony w taki sposób, że można go było samemu zdjąć, jednak nie można było włożyć bez czyjejs pomocy. Dowiedziano się o tym, kiedy trzeba było przewieźć Gianeję na flagowy gwiazdolot eskadry.

Musieli się porządnie nagłowić, żeby połapać się w nie znanej im konstrukcji skafandra. Z ziemskiego punktu widzenia strój Gianei był bardzo niewygodny. Nie można go było na siebie nałożyć, trzeba było weń wejść. Nikt z ludzi Ziemi nie mógłby tego dokonać, wyjąwszy zdolnego akrobatę.

Gianeya to trudne zadanie wykonała z wyjątkową łatwością. Wślizgnęła się do skafandra niezwykle szybko i zręcznie.

Ale przecież skafander nie był robiony specjalnie dla niej. Takie były zapewne wszystkie skafandry na statku gości. Gianeya nie była więc wśród swoich wyjątkiem. Wszyscy oni byli tak sprężyści i zwinni, jak ona.

Należało teraz uszczelnić skafander. Gianeya jednak nie ruszyła nawet palcem, by pomóc ludziom. Stała i czekała. Widocznie było jej obojętne, czy polecą na Ziemię, czy też zostanie na Hermesie.

— Uparte stworzenie — mruknął Weston uważnie oglądając długie pasy zwisające przy rozcięciach skafandra. — Cała rzecz w tym, że trzeba to zrobić jak najszybciej. W przeciwnym wypadku udusi się, nim dojdzie do statku. Czy ona tego nie rozumie?

— A może po prostu sama nie wie, jak się obchodzić ze skafandrem — zauważył Muratow.

— Bzdura. Doskonale wie, ale nie chce pomóc. Popatrz, Wiktorze. Zdaje się, że złapałem, o co chodzi. Te pasy muszą nałożyć się na rozcięcia. To jedyna możliwość.

— Spróbuj! Choćby tu, z boku.

Okazało się, że Weston ma rację. Z pozoru metalowe pasy przylepiało się do szczelin skafandra, przy czym rozlegał się suchy trzask.

Muratow spostrzegł ledwo dostrzegalne zgrubienia na końcach pasów. Nacisnął na jeden z nich, pas odpadł.

— Wszystko jest jasne — powiedział. — Ręka w metalowej rękawicy może nacisnąć na to zgrubienie. Jednak samemu nie można nałożyć skafandra. Stąd wynika — dodał zwracając się do Legeriera — że ktoś pomagał Gianei w ucieczce.

Astronom nie odpowiedział.

— Nareszcie — z ulgą odetchnął Weston umocowawszy na swoim miejscu pas. — Czy teraz dobrze? — zwrócił się do Gianei.

Widocznie jego wyraz twarzy i intonacja były na tyle wyraziste, że Gianeya zrozumiała pytanie inżyniera. Skinęła głową.

Weston przymocował pozostałe pasy z wyjątkiem tego, który znajdował się na szyi między kołnierzem skafandra a hełmem. Ten miał umocować Muratow w momencie, gdy wszyscy będą gotowi do wyjścia. Gianeya nawet minuty więcej, niż to było niezbędne, nie powinna być pozbawiona dopływu powietrza; statek eskadry od zewnętrznych drzwi obserwatorium dzieliło około sześćdziesięciu metrów.

Ostatnie, pośpieszne pożegnanie i wewnętrzne drzwi obserwatorium zamknęły się. W służbie pozostali Muratow, dwaj inżynierowie z eskadry i Gianeya.

Wszyscy szybko włożyli skafandry. Legerier, żeby oszczędzić czasu, zrezygnował z wypompowania cennego powietrza ze śluzy przed otwarciem zewnętrznych drzwi.

Muratow umocował ostatni pas. Teraz Gianeya musiała oddychać tylko tą znikomą ilością tlenu, która pozostała wewnątrz skafandra.

„A jeśli pomyliliśmy się — przemknęła Wiktorowi przez głowę trwoźna myśl. — Jeżeli skafander nie jest hermetycznie zamknięty?”

Na rozmyślenia nie było czasu.

Umówione stukanie do wewnętrznych drzwi... otwarcie zewnętrznych. W śluzie powstała natychmiast absolutna próżnia.

Gianeya stała spokojnie. A więc wszystko jest w porządku!

Muratow już wcześniej zdecydował, jak postąpi. Chociaż na Hermesie, dzięki temu, że siła ciężkości prawie że nie istniała, wspinanie się po skałach nie było trudne, mimo to wymagało to utraty pewnej ilości energii, a więc i tlenu.

Wziął więc Gianeję na ręce i niemal biegiem ruszył w górę ostrym wzniesieniem kotliny. Drogę znał świetnie, ponieważ chodził nią dziesiątki razy.

Jak zareagowała Gianeya na ten nieoczekiwany „gwałt”? Muratow nie poczuł żadnego sprzeciwu z jej strony. Wydało mu się nawet, że przytuliła się do jego ramienia ułatwiając mu bieg.

W połowie drogi przekazał swój ciężar jednemu ze współtowarzyszy. Droga do statku nie trwała dłużej niż pięć minut.

Wyjściowa śluza gwiazdolotu była już otwarta. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz i zabrano schody, śluza została zamknięta i szybko napełniona powietrzem. Wyjątkowo postanowiono pominąć obowiązkową procedurę „oczyszczania”. Ryzyka prawie nie było, ponieważ Hermes pozbawiony był atmosfery. Mogli przynieść ze sobą jedynie pył na butach, który jednak zostanie zneutralizowany wewnątrz śluzy po napełnieniu jej powietrzem.

Muratow podszedł do Gianei, by pomóc jej zdjąć skafander, jednak dziewczyna odsunęła go miękkim ruchem ręki i rozebrała się sama.

Jej wielkie, podniesione ku nasadzie nosa oczy bacznie, z jakimś niezwykłym wyrazem spoglądały w twarz Muratowa. Wydawało się, że Gianeya chciała coś powiedzieć, czy też o coś zapytać.

Co oznaczało to uważne spojrzenie?

Czy kryła się w nim podzięką, czy też, przeciwnie, gniew, wywołany tak bezceremonialnym zachowaniem?

Jak odgadnąć wyraz twarzy i wymowę spojrzenia u istoty, choć tak podobnej do człowieka Ziemi, jednak tak dalece, tak nieskończenie obcej?...

X

Globekspres mknął wśród pól. W żółtym morzu zbóż jak wyspy czerniały równe łańcuszki na pozór niezgrabnych kombajnów elektrycznych. Rozróżnić można było jedynie te dalekie, bliskie natomiast, znajdujące się bliżej toru, migwały jak mgliste smugi.

Nie było widać ludzi.

Ekspres zatrzymywał się rzadko. Kończyło się pole, mknęli przez miasto czy robotnicze osiedle i znowu niekończące się żółte pola.

Ukraina!

Muratow cały czas wyglądał przez okno, ale niczego nie dostrzegał.

Jak film na niewidocznym ekranie jego pamięci jeden po drugim przepływały kadry

tych niezapomnianych dni...

...Co oznaczało spojrzenie Gianei, tam, w wejściowej śluzie statku?

Gość z innego świata uparcie nie pozwalał się nikomu dotykać. A on, Muratow, nieoczekiwanie dla niej wziął ją na ręce i ona nie sprzeciwiała się, nie zaprotestowała. Doskonale pamiętał, że Gianeya przytuliła się do niego, być może, by ulżyć mu. Nie mogła nie zrozumieć, że zrobił to dla niej, że kierowała nim troska o nią.

Nie, dziwne spojrzenie Gianei nie mogło wyrażać gniewu. Potem, przez cztery doby, bo tyle trwała ich podróż na Ziemię, Gianeya nieraz zwracała się do Muratowa, tak jak przedtem na Hermesie zwracała się do Legeriera.

Jeśliby była zagniewana czy obrażona, ignorowałaby Muratowa, przecież na asteroidzie ignorowała wszystkich wyjąwszy Legeriera. W razie konieczności mogłaby zwracać się do Goglidze, starszego inżyniera eskadry, który również znajdował się na flagowym gwiazdolocie.

Jednak Gianeya nie zauważała ani Goglidze, ani żadnego innego członka załogi, jedynie Muratowa.

Uznawała tylko starszego stopniem!

To było dziwne, bardzo dziwne. I trudno było znaleźć jakieś prawdopodobne wyjaśnienie.

Interesujące było i to, w jaki sposób Gianeya poznawała, kto z otaczających ludzi jest najważniejszy. Ludzie Ziemi od dawna już porzucili przekonanie, że może istnieć jakaś hierarchia czy nierówność. Zarówno w postępowaniu, jak i we wzajemnych stosunkach nie istniała, bo nie mogła istnieć, sytuacja zależności. Wszyscy odnosili się do siebie w jednakowy sposób. Jedynie słuchając rozmów można było zorientować się, jaką funkcję w danym wypadku pełni określony człowiek. Gianeya nie mogła jednak rozumieć ziemskiego języka, nawet jeżeli rzeczywiście należała do tych, którzy wysyłali sputniki-zwiadowców w kierunku Ziemi. Nie mogła nawet w tym wypadku, gdyby jej rodacy w tajemnicy przed ludźmi odwiedzili Ziemię i poznali istniejące języki. Personel obserwatorium astronomicznego na Hermesie i członkowie załogi eskadry towarzyszącej mówili nowym językiem, który pojawił się trzydzieści lat temu i stopniowo stawał się językiem ogólnoziemskim. Gianeya nie mogła znać tego języka. W ciągu ostatniego półwiecza, to było absolutnie pewne, nikt z innego świata nie mógł odwiedzić Ziemi i pozostać niezauważony. Od tego czasu bowiem istnieje Służba Kosmosu.

Muratow przypomniał sobie przyłot eskadry na Ziemię. Wylądowała tam, skąd wystartowała, to znaczy na kosmodromie pirenejskim. Przypominał sobie niezliczone tłumy witających. Na spotkanie Gianei przybyło nie tysiące, nie dziesiątki tysięcy, ale miliony ludzi. Pojawienie się na Ziemi pierwszego przedstawiciela innej myśli stało się ogólnoplanetarnym świętem.

Na Muratowie i jego towarzyszach ta wielka manifestacja wywarła niezatarte wrażenie.

A na Gianei?...

Od swego pierwszego pojawienia się na progu wyjściowej śluzy obserwatorium aż do lądowania flagowego gwiazdolotu na Ziemi Gianeya nie interesowała się tym, co ją otaczało. Obojętność granicząca z apatią przebijała z każdego jej ruchu i spojrzenia. W ciągu tygodnia pobytu wśród ludzi Ziemi tylko cztery razy aktywnie zareagowała: odepchnęła rękę Jansena, gdy chciał jej zmierzyć gorączkę, nie zgodziła się na pomoc Muratowa w śluzie gwiazdolotu, a ponadto dwa razy zrobiła ręką gest, którym chyba chciała powiedzieć: „Lecimy”.

Do tego krótkiego wykazu można było jeszcze dodać gest powitalny — podniesienie otwartej dłoni do ramienia.

I to było wszystko!

Tym samym gestem Gianeya odpowiedziała na powitanie oczekujących, gdy wyszła ze statku pod niebo Ziemi.

Można było przypuszczać, zważywszy na niewątpliwie młody wiek Gianei, że po raz pierwszy wstąpiła na ziemię innego świata, po raz pierwszy zobaczyła innych ludzi i inną przyrodę.

I nawet najmniejszych oznak zdenerwowania!

To było nienaturalne.

Po długich debatach uczeni zdecydowali, że nie będzie się Gianei izolować od warunków, które panują na Ziemi. Zamknięcie w skafander byłoby dla gościa zbyt niedogodne. Jeśli zachoruje, to ją wyleczą. Nie było już żadnego mikroba, przeciw któremu nie istniałyby odpowiednie lekarstwa. Zresztą Gianeja najwyraźniej nie bała się zakażenia.

I dziewczyna z innego świata pojawiła się oczom ludzi w „całym blasku urody”, jak mawiał Legerier, od stóp do głów odziana w „złoto”, z ciężkimi granatowoczarnymi niczym nie okrytymi włosami, z łatwo dostrzegalnym zielonym odcieniem skóry.

Ustawione wszędzie, w promieniu wielu kilometrów od kosmodromu, ekrany pokazywały ją wszystkim witającym.

Wszyscy wiedzieli, że gość z Kosmosu ma na sobie dziwny strój. I mimo to pojawienie się tego bardziej niż dziwnego „kosmonauty” wywołało okrzyk zdziwienia.

Muratow uważnie obserwował Gianeję. Ponieważ nie było Legeriera, był jedynym człowiekiem, który z wyrazu jej twarzy mógł chociaż częściowo odczytać nurtujące ją uczucia.

Tak jak zawsze, Gianeja robiła wrażenie spokojnej i obojętnej. Zatrzymała się na najwyższym stopniu trapu, powoli podniosła rękę do ramienia i tak samo wolno ją opuściła. Wzrok skierowała wprost przed siebie i nie spojrzawszy nawet na ogromny krąg oczekujących opuściła oczy.

Na dole oczekiwali ją uczeni, pracownicy Służby Kosmosu, paru operatorów kroniki telewizyjnej i dziennikarze.

I wtedy właśnie, w tym momencie, Muratow zauważył coś, co potem wywołało długą dyskusję i stało się tematem niezliczonych domysłów i hipotez.

Przez twarz Gianei przemknął skurcz, oczy rozwarły się szeroko. Trwało to tylko moment i natychmiast przybrała zwykły, niczym nie zmacony wyraz twarzy.

Muratow nie mylił się jednak. To, co zobaczył, zanotowały również obiektywy aparatów fotograficznych i kamer telewizyjnych.

Był gotów przysiąc, że Gianeję coś zdumiało, że oczekiwała czegoś zupełnie innego.

Co więcej! Zobaczył i od razu zrozumiał, że stoi przed nim inna Gianeja, że ma zupełnie inny wyraz twarzy. Zrozumiał, że przez siedem długich dni i nocy Gianeja oczekiwała na coś w napięciu i uspokoiła się dopiero teraz, kiedy napięcie minęło.

Nie można było mieć wątpliwości!

To, co jemu i jego towarzyszom wydawało się zwykłym wyrazem twarzy Gianei, było maską. Dopiero teraz zobaczył jej prawdziwą twarz.

Głęboko poruszył go spokój malujący się na twarzy gościa, jakby za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki zniknęły nieruchome i ostre rysy.

Co spowodowało tę zmianę? Owacyjne powitanie? Przecież na Hermesie od pierwszej chwili traktowano Gianeję jak przyjaciela.

„Znowu zagadka” — pomyślał z mimowolnym rozdrażnieniem Muratow.

Henry Stone podszedł do Gianei i wyciągnął rękę.

I znowu zagadka!

Gianeja nie cofnęła się, tak jak to robiła poprzednio. Podała przewodniczącemu Rady Naukowej Instytutu Kosmonautyki swą dłoń o długich giętkich palcach, na końcu których jak szmaragdy połyskiwały zielonkawe paznokcie. Podała rękę, ale nie odpowiedziała na uścisk.

Nikogo to nie zdziwiło. Uścisk ręki nie mógł być obyczajem powszechnym, obowiązującym we wszystkich światach. W ojczyźnie Gianei, jak widać, nie znano go.

Następnie podeszły do Gianei dwie dziewczyny. Muratow ze zdziwieniem zobaczył, że

jedną z nich jest jego młodsza siostra. Od razu też zrozumiał, czemu się tu znalazła. Marina pracowała w Instytucie Językoznawstwa; jej towarzyszką była prawdopodobnie również lingwistką. Widocznie postanowiono, że już od pierwszej chwili Gianei będą towarzyszyły przyjaciółki, które mogłyby poznać jej język i spróbować nauczyć gościa języka ziemskiego.

Marina podeszła pierwsza. Wyciągnęła rękę, by objąć dziewczynę z innego świata.

Gianeja uchyliła się.

„Znowu — pomyślał Muratow. — Znowu Gianeja pozwoliła na honor uściśnięcia sobie ręki tylko temu spośród obecnych, który pełnił najwyższą funkcję. Co prawda, teraz nie trudno było domyślić się, kto nim jest”.

Zatrzymanie się ekspresu przerwało wspomnienia Muratowa. Wysiadał właśnie na tej stacji.

Wrócił do wspomnień dopiero wieczorem, przed snem.

Skoro już raz się w nie pogrążył, czuł, że musi przypomnieć sobie wszystko, aż do końca. A właściwie nie przypominał sobie — nigdy nie zapomniał wydarzeń z tamtych dni — ale przeżywał od nowa wszystkie myśli, wątpliwości, których powodem była Gianeja.

Za trzy dni spotkają się, za trzy dni znowu zobaczy zagadkowego przybysza i znowu zetknie się blisko z otaczającą ją tajemnicą, która ani trochę nie rozjaśniła się w ciągu półtora roku.

Teraz mógł z nią rozmawiać. Co prawda, rozmowa mogła się toczyć tylko wokół spraw najbardziej potocznych, ale to też coś znaczyło. Zapas trzystu słów, którym rozporządzał, mógł mu choć trochę pomóc, jeśli będzie umiał go wykorzystać.

Muratów nie wątpił, że Gianeja będzie z nim rozmawiać inaczej niż z innymi. Może będzie bardziej szczerą. Nieprzypadkowo gość wiele razy w ciągu minionego czasu życzył sobie spotkać się z tym, który przywiózł ją na Ziemię. Imienia Muratowa Gianeja nie знаła.

Wszyscy mówili, że Gianeja i Marina są do siebie bardzo podobne, a między nim i gościem Ziemi podobieństwo jest jeszcze większe. Być może, właśnie dlatego Gianeja okazywała swej tłumaczce tyle sympatii, być może dlatego uparcie chciała się spotkać właśnie z nim. Pozwalałoby to tym bardziej żywić nadzieję, że Gianeja odpowie na jego pytania.

Dziewczyna z innego świata w ciągu tego okresu czasu zmieniła się bardzo na lepsze. Była łatwiejsza we współżyciu, nie stroniła od ludzi, chętnie ścisnęła rękę tym, którzy nie wzbudzali w niej niepojętej antypatii, tak jak na przykład ludzie niewielkiego wzrostu, tych wyraźnie nie znosiła. Stała się ruchliwa, żywsza, chętniej brała udział w grach sportowych, stopniowo zaczynała ją interesować życie na Ziemi. Legerier nie mógłby już nazwać ją dumną i zarozumiałą.

Jednak, tak jak poprzednio, nie wspominała swej przeszłości, nigdy nie mówiła o swoim pojawieniu się na Ziemi.

I właśnie dlatego Muratow nie chciał się z nią spotykać.

Wtedy, po przylocie na Ziemię, Wiktor szybko rozstał się z Gianeją. Po cóż miał się snuć wokół niej? Wrócił do zwykłych zajęć. Jednak niezmiennie, przez całe półtora roku interesował się tym niezwykłym wydarzeniem, w którym przyszło mu odegrać tak wielką rolę. Uważnie śledził to wszystko, co dotyczyło Gianei, wiedział o wszystkim, co robił gość, i to nawet lepiej niż inni ludzie. Jego siostra przecież znajdowała się w jej pobliżu i często rozmawiała z bratem przez radiofon.

Już w dzień po przylocie Gianeja potrafiła wytłumaczyć Marinie, że chce zmienić ubranie — prosiła o uszycie białej sukni, jednak skrojonej na wzór tej, którą miała na sobie.

Prośbę spełniono natychmiast.

Odtąd dziewczyna z Kosmosu chodziła zawsze ubrana na biało i nigdy nie włożyła swej złotej sukni, choć starannie ją przechowywała i wszędzie wozila ze sobą.

Muratow umieścił ten fakt na długiej już liście zagadek, których tyle wiązało się z

osobą Gianei i których ludzie nie potrafili rozwiązać.

Stawało się oczywiste, że złota suknia Gianei, a więc strój, w którym pojawiła się na Hermesie, nie był przypadkowy. Miał jakieś znaczenie. Jakie? Nie sposób było tego odgadnąć, skoro nie znano obyczajów i tradycji istniejących w nieznanym świecie, z którego przybyła Gianeja.

W czasie kolejnej rozmowy przez radiofon Marina powiedziała bratu, że w białym Gianei jest bardzo do twarzy.

— Dzięki temu — powiedziała — na słońcu prawie niknie zielony odcień jej skóry. Wydaje się, że jest brązowa, jakby opalona.

— I przypuszczasz, że Gianeja ubiera się tak, ponieważ chce ukryć właśnie zielony kolor? — zapytał Muratow.

— Wydaje mi się, że tak — odpowiedziała Marina. — Nie zapominaj, że jest kobietą.

Muratow roześmiał się. Tak proste wyjaśnienie wydało mu się zupełnie nieprawdopodobne. Gianeja przyzwyczała się do zielonego odcienia skóry, był to najzwyczajniejszy kolor, taką skórę mieli wszyscy ludzie w jej ojczyźnie. Czemuż miałby się jej wydać tak brzydki, że starała się go ukryć?

Nie, tu chodziło o co innego!

Nie tylko Muratow, ale i wszyscy pracownicy Służby Kosmosu interesowali się ewentualnym związkiem pomiędzy Gianeją i tymi, którzy wysłali w kierunku Ziemi sputniki-zwiazdowców. Sputniki dotąd się jeszcze nie pojawiły. Kolejna przerwa w ich pracy, jeśli rzeczywiście była to przerwa, trwała już prawie cztery lata. Szósta Ekspedycja Księżycowa była ostatnią ekspedycją. Uznano, że poszukiwania są trwonieniem sił.

Jeżeli Gianeja była rzeczywiście rodaczką „gospodarzy”, to jedynie ona mogła uchylić rąbka kosmicznej tajemnicy.

CZEŚĆ DRUGA

I

Mimo głębokiego szacunku dla rozmówcy Muratow nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Obrażona i zdumiona twarz Bołotnikowa, zupełnie dziecinne, żalosne tony przebijające w jego głosie, były po prostu komiczne.

— Tak i myślałem — gderliwie powiedział profesor. — Wszystkich to śmieszy. A ja w tym nie widzę nic zabawnego.

Proszę wybaczyć, profesorze — odpowiedział Muratow. — Nie chciałem pana obrazić. Musi się pan jednak zgodzić, że to wszystko jest nie tylko niezrozumiałe, ale i cokolwiek śmieszne. Podobne dziwactwa dorosłego człowieka, do tego jeszcze kosmonauty, są po prostu niepoważne. Trudno, może się to da zmienić.

— Nie rozumiem.

— Po prostu nikt jeszcze z Gianeją na ten temat nie rozmawiał. Trzeba jej wytłumaczyć, że bez powodu obraża ludzi, bo jej to zdaje się do głowy nie przyszło. Postaram się to zrobić.

— Sądzi pan, że zrozumie i zgodzi się?

— Mam nadzieję.

— A ja wątpię. Antypatia Gianei do ludzi niewielkiego wzrostu ma, jak sędzę, jakąś przyczynę. To nie jest zwykły kaprys, jak pan powiedział, a coś innego, głębszego i silniejszego. To jest podświadomy nawyk.

— Właśnie. Trzeba jej wytłumaczyć, że znajduje się na Ziemi, a nie w swej ojczyźnie. Powinna zrozumieć, że ludzie Ziemi, wysocy czy niscy, są tyle samo warci. I że nie powinna przenosić na Ziemię zwyczajów... — Muratow nagle przerwał. — Niech pan posłucha. Przecież z tego można wyciągnąć interesujący wniosek. Dlaczego to nikomu nie przyszło do głowy? Jeżeli wszyscy współplemieńcy Gianei są tego samego wzrostu co i ona, to czemu żywi antypatię do niskich?

— Zupełnie słusznie był pan łaskaw zauważyć — powiedział Bołotnikow. — I ja także nad tym myślałem. Jest oczywiste, że ludność tej planety dzieli się na dwa różne typy ludzi: wysokich i niskich. Ci, którzy są wysokiego wzrostu, odnoszą się pogardliwie do niskich. Niewykluczone, że niscy są dzicy.

— Dzicy? Na planecie, na której tak wysoko stoi technika lotów międzygwiazdnych?

— No i cóż z tego? Proszę wybaczyć, ale myśli pan nielogicznie. Czyż u nas, na Ziemi, technika nie stoi na wysokim poziomie? A czyż w związku z tym ludzie są na jednakowym poziomie? Są przecież na Ziemi narody, które dopiero teraz oswajają się z kulturą. Weźmy Południową Afrykę, Australię albo wyspy na Oceanie Spokojnym.

— Ale my nimi nie pogardzamy!

— O to właśnie chodzi. Na tym polega różnica.

Muratow przyjechał do Połtawy rankiem tego dnia, w którym przylatywała Szósta Ekspedycja Księżycowa — dzień później, niż pierwotnie zamierzał. Wybrał się na spotkanie ekspedycji, ponieważ w skład jej załogi wchodził Siergiej. Muratow stęsknił się za przyjacielem młodości, nie widzieli się przecież od tak dawna.

Zgodnie z przyrzeczeniem niezwłocznie odszukał Bołotnikowa, który bardzo ucieszył się z jego przyjścia.

Na pytanie, czy poznał Gianeję, tak jak to zamierzał, urażony profesor opowiedział, jak Marina spróbowała ich poznać ze sobą, ale Gianeja odwróciła się tyłem i nawet nie odpowiedziała na powitanie. Obrażony Bołotnikow natychmiast odszedł.

Był bardzo niski, i dziwna antypatia Gianei zabłysła ze szczególną jasnością.

To konsekwentne i uparte łamanie zasad dobrego wychowania trudno było rozsądnie wytłumaczyć, ponieważ we wszystkich pozostałych sytuacjach Gianeja zachowywała się skromnie i uprzejmie. Już półtora roku przebywała na Ziemi i dawno powinna była zrozumieć, że nie ma tu ani „władców”, ani „niewolników”.

A jednak!..

Pożegnawszy Bołotnikowa Muratow udał się do domu, w którym zamieszkały Marina i Gianeja. Odnalazł go bez trudu — całe miasto wiedziało, gdzie mieszka gość z Kosmosu. Nie bez zdenerwowania Wiktor zbliżył się do drzwi. Jak go powita Gianeja? Może jest obrażona, że tak uparcie unikał spotkania z nią. W rzeczywistości nic nie usprawiedliwiałoby jego uporu. Gianeja zaś była przyzwyczajona, by jej żądania spełniano natychmiast.

Zastukał, ponieważ nie mógł znaleźć dzwonka. Nikt się jednak nie odezwał. Odczekawszy chwilę, Muratow pchnął drzwi i wszedł.

Dom był pusty.

W jadalni zobaczył nie uprzągnięte ślady po śniadaniu. Widocznie dziewczyny się śpieszyły. Na stole leżała napisana przez Marinę kartka.

Muratow przeczytał:

Drogi Witia! Jeżeli zajdziesz i nas nie będzie, to pojechaliśmy do Seleny. Gianeja chciała obejrzeć miasto. Zobaczymy się na kosmodromie.

Podpisu nie było.

Muratow ze złością rzucił kartkę. Chciał, żeby pierwsza rozmowa z Gianeją odbyła się bez świadków, a tam na kosmodromie, w tłumie...

— Jeżeli zajdziesz, to pojechaliśmy — ze złością powtórzył słowa listu. — I to ma być językoznawca!

Doskonale wiedział, że siostra umyślnie pisze listy wbrew wszelkim zasadom gramatyki, ale teraz, nie wiedzieć czemu, wyprowadziło go to z równowagi.

Wyszedł z domu. Jednak po przejściu kilku kroków zatrzymał się i... zawrócił.

Jak to często bywa, nagle uświadomił sobie, że w domu, na stole obok liściku siostry, leżał jakiś rysunek, na który nie zwrócił uwagi. Uświadomił to sobie dopiero teraz. Rysunek coś mu przypominał.

Powtórnie wszedł do pokoju i podszedł do stołu.

Miał rację: na stole leżał otwarty album, należący widocznie do Gianei.

Muratow uważał, że nie ma prawa przeglądać całego albumu. Nie wiedział, czy Gianeja by się na to zgodziła. Jednak miał prawo popatrzeć na otwartą stronę. Mogła się przecież spodziewać, że w czasie ich nieobecności może zajść do domu.

Na grubym kartonie był naszkicowany pejzaż Hermesa. Mroczne skały, gwiazdziste niebo i skraj dysku obserwatorium. Na pierwszym planie człowiek ubrany w skafander trzymał na rękach innego człowieka. Szczęśliwy kształt hełmu sugerował, że człowiekiem tym była Gianeja. Rysunek przedstawiał więc ten moment, gdy Muratow prznosił Gianeję z wejściowej śluzy obserwatorium na flagowy gwiazdolot eskadry.

Rysunek był wykonany po mistrzowsku. Muratow rozpoznał widoczne poprzez „szkło” hełmu rysy swojej twarzy.

„Ma wspaniałą pamięć — pomyślał Muratow. — Przecież od tej pory minęło już półtora roku”.

Widać było, że Gianeja rysowała niedawno, być może nawet dziś. Myślała więc o nim i

być może, że specjalnie zostawiła album otwarty na tej stronie. Chciała, żeby zobaczył rysunek.

„Myślę o panu i chcę pana zobaczyć” — tak należałoby to zrozumieć, jeśli była ziemską kobietą. Gianeya miała jednak inny zasób wyobrażeń i inne przyzwyczajenia. Motywy jej postępowania nie zawsze łatwo było zrozumieć.

„Kto ją wie — myślał Muratow. — Być może rysunek wskazywał na coś zupełnie przeciwnego: »Nie chcę pana widzieć, nie zapomniałam o zniewadze«. A może coś zupełnie innego, czego nawet domyślić się nie sposób”.

Niezdecydowany trzymał w rękach album. Jeżeli Gianeya narysowała ten epizod z pamięci, to mogła również przypomnieć sobie i narysować coś innego. Rysunki zajmowały już ponad połowę albumu. A jeżeli rysowała pejzaże swojej ojczyzny?

Muratowowi zadrżały ręce. Wystarczy odwrócić stronicę i być może zobaczy to, czego nigdy nie oglądały ludzkie oczy.

Marina mówiła, że Gianeya często rysuje, jednak nigdy nie pokazuje swoich rysunków. Pokusa była wielka.

Muratow zwalczył jednak palącą ciekawość i położył album na poprzednim miejscu.

„Byłby to czyn naganny — nadużywać zaufania gościa. Na pewno była przekonana, że nikt bez jej zgody nie zajrzy do albumu. Gianeya znała już ludzi Ziemi i wierzyła im. Być może, jeśli ją poproszę, sama pokaże rysunki”.

Przypuszczenie takie nie miało jednak żadnych realnych podstaw. Marina już kiedyś prosiła o to Gianeyę, lecz ta nie zdobyła się nawet na grzeczną odmowę. Po prostu zbyła to milczeniem.

Muratow powoli wyszedł. Z wściekłością zatrzasnął za sobą wejściowe drzwi. Szósta miała wylądować dopiero o siódmej wieczór. Teraz była druga. Co robić przez pięć godzin?

Czy jechać do Seleny i starać się w tym ogromnym mieście znaleźć Marinę z towarzyszką? To nie było takie trudne. Gianeya zwracała na siebie uwagę, zauważano ją od razu. Każdy przechodzień wskaże, gdzie należy jej szukać. Ale czy powinien tak otwarcie pokazywać, że niecierpliw się? Czy nie lepiej zobaczyć się na kosmodromie, jak sugerowała Marina w swym liściku?

Muratow wszedł do restauracji, gdzie, dla zabicia czasu, zamówił obiad z czterech dań.

Czekając na posiłek, otworzył wczorajszą gazetę. Tak jak przypuszczał, znalazł w niej zdjęcie Gianei.

Ożywiona, z uśmiechem na ustach, stała pod jakimś pomnikiem. Obok stała Marina.

Gdyby nie kształt oczu i zielony odcień skóry, można by sądzić, że Gianeya jest siostrą Mariny. Były do siebie bardzo podobne. Obie miały czarne włosy, obie były ubrane na biało, obie były zgrabne i wysokie. Gianeya była o pół głowy wyższa i wyglądała na starszą. Tyle, że nikt jeszcze nie wiedział, ile rzeczywiście miała lat.

Spotkają się już niedługo. I Muratow wreszcie będzie mógł z nią porozmawiać. Inaczej będą wyglądać ich kontakty. Teraz nie będzie tak bezsilny jak przedtem, kiedy wszystko trzeba było tłumaczyć przy pomocy gestów.

„Chyba że odwróci się do mnie plecami, jak do Bołotnikowa — pomyślał. — Zwłaszcza że mogła się obrazić za lekceważenie, które jej okazywałem”.

W głębi serca nie wierzył jednak, że tak będzie. Wydawało mu się, że Gianeya narysowała go w albumie, ponieważ myślała o bliskim spotkaniu i czekała na nie.

Rozmyślania Muratowa przerwało zjawienie się „kelnera”. Mechaniczne ręce szybko i zręcznie nakryły do stołu. Każdemu ruchowi towarzyszył ledwo słyszalny dźwięk. Robot należał do starego typu. Ostatnie modele nie dźwięczały.

— Dziękuję — machinalnie powiedział Muratow, kiedy dania zostały ustawione.

Robot „kiwnął głową” i odszedł.

Muratow uśmiechnął się. Nawet to przewidzieli konstruktorzy. Jadł szybko. Z każdą

minutą ogarniało go coraz większe zniecierpliwienie. Chciał jak najszybciej zobaczyć się z Gianeją i wyjaśnić najważniejszą sprawę: jaki ma do niego stosunek?

Nie można było wątpić, że Gianeya żywiła do niego sympatię.

Ta dziewczyna z innego świata była tak bardzo podobna do ziemskich ludzi. Różnice były przecież znikome. I dlatego było trudno inaczej niż na ziemski sposób interpretować jej gesty i wyraz oczu.

Obiad był zbyt obfity. Choć Muratow nic jeszcze dzisiaj nie miał w ustach, jednak zdołał się uporać tylko z połową.

Nacisnął guzik, w ten sposób dając znak, że można już sprzątać ze stołu, i wyszedł na ulicę.

Obiad zajął mu zaledwie pół godziny. Zostało jeszcze cztery i pół!

„Pojadę do Seleny — postanowił. — Przecież nigdy tam nie byłem. Pochodzę, obejrzę miasto”.

Leciało się tam pięć minut. Muratow miał jednak ciągle zbyt wiele czasu, nie poszedł więc do pobliskiej, jednej z wielu, stacji miejskiej komunikacji powietrznej, ale wybrał najwolniejszy środek lokomocji, a mianowicie miejski wuczebus.

Wkrótce pożałował swojej decyzji. Wuczebus zatrzymywał się nieprawdopodobnie często, pasażerowie wchodzili i wychodzili. Tym środkiem miejskiej komunikacji posługiwano się tylko na niewielkich odległościach, Muratow zaś musiał przejechać przez całe miasto, miasto rozciągające się na obszarze wielu dziesiątków kilometrów. Następnie musiał przejechać przez obszerny rejon między Połtawą a Seleną — na którym rozmieszczone były liczne zautomatyzowane fabryki — by dotrzeć dopiero do przedmieścia Seleny.

— Jak długo jedzie się stąd na kosmodrom? — zapytał.

— Półtorej godziny, odpowiedział metaliczny głos kierowcy.

Kilka osób ze zdziwieniem spojrzało na Muratowa.

Westchnął i usadowił się wygodnie w miękkim fotelu. Niech ludzie sobie myślą o nim, co chcą. Nikomu przecież nie przyjdzie do głowy, że nie ma co zrobić z czasem. Zdarzyło mu się to pierwszy raz w życiu.

Wreszcie Połtawa pozostała w tyle. Jechali wzdłuż niekończących się, podobnych jeden do drugiego budynków fabrycznych. Nie było ani skrawka zieleni, ani kwiatu. Nie było na czym zatrzymać wzroku. Tylko ślepe ściany bez okien. Piękno jest niepotrzebne, bo nie ma tu ludzi.

II

Ludzie, którzy poświęcają się badaniom językoznawczym, należą zwykle do typu „uczonych gabinetowych”. Marina Muratowa była wyjątkiem. Posiadała ogromne zdolności lingwistyczne — miała świetną pamięć, znała biegle osiem języków, miała predyspozycje badacza. Lubiła również malarstwo, muzykę i sport. Chętnie podróżowała i łatwo nawiązywała kontakty z ludźmi.

Te właśnie cechy zdecydowały o tym, że Rada Naukowa Instytutu Kosmonautyki wybrała ją na towarzyszkę Gianei.

Marina nie wahała się. Była zachwycona tym, iż zadanie, które przed nią postawiono, jest tak niezwykle i trudne. Wiedziała, że na długi okres czasu, być może na całe lata, musi oderwać się od swoich zwykłych zajęć, jednak to jej nie przestraszało. Poznać obcy język nie mający z ziemskim nic wspólnego (a właśnie tak sądziła) czy też nauczyć przybysza z Kosmosu języka ziemskiego, zaprzyjaźnić się z obcą Ziemi istotą, istotą, która urodziła się i

wyrosta na innej planecie, w promieniach innego słońca — w tym wszystkim było wiele pociągającej romantyki.

Marina nie była zarozumiała. Na jej decyzję nie wpłynął fakt, że będąc przyjaciółką Gianei zwróci na siebie uwagę całej ludzkości Ziemi. Po prostu o tym nie myślała.

Tajemnica otaczająca Gianeję oraz nie wyjaśnione problemy, nad którymi tak się zastanawiano, najmniej interesowały Marinę. Wierzyła, że tajemnice rozwiążą się same przez się, wtedy kiedy gość przyzwyczai się do życia na Ziemi, pozna ludzi i będzie mógł swobodnie z nimi rozmawiać.

Tak też Muratowa widziała swoje zadanie — pomóc Gianei w jak najszybszym przystosowaniu się do życia na Ziemi.

Już wkrótce wszyscy przekonali się, że zadanie nie jest takie proste. Gianeya ani nie chciała uczyć się ziemskiego języka, ani nie uczyła Muratowej swojego języka.

Początkowo wydawało się, że wszystko będzie szło dobrze.

Gianeya sama starała się dopomóc w tym, żeby ją rozumiano. Język, którym mówiła, był dźwięczny i wydawał się prosty; z łatwością zapamiętywało się słowa. Pracownicy Instytutu Lingwistyki, nie wyłączając Muratowej, uważali, że i nadal nie będzie żadnych trudności.

Im dłużej jednak trwała nauka, tym niechętniej Gianeya rozszerzała swój słownik. Stawało się jasne, że chce ograniczyć się tylko do rozmów potocznych, w zakresie niezbędnym dla niej samej. Zresztą i to, czego się nauczono, wprowadzało lingwistów w zakłopotanie.

Gianeya świadomie posługiwała się najprostszymi zdaniami. Muratowa uczyła się więc tylko luźnych słów, nie podporządkowanych żadnym regułom gramatycznym. Taki uproszczony język Gianeya wprawdzie rozumiała, jednak ziemscy lingwiści nie mogli mieć nadziei, że w ten sposób poznają jej język.

Wysoka kultura narodu, którego członkiem była Gianeya, wyklucza możliwość takiego „ubóstwa mowy”. Język ten był niewątpliwie bogaty i na pewno posiadał obszerny słownik. Jego pozorna prostota mogła być tylko złudzeniem.

Kiedy już definitywnie przekonano się, że nie można liczyć na pomoc Gianei, postanowiono kontynuować badania bez jej wiedzy. Żyjąc na Ziemi, obcując z ludźmi, choćby nawet tylko z Muratową, gość mimo woli wypowiadał nowe słowa i zdania. Zapamiętywano je i rozszyfrowywano. Wspomagała pamięć Mariny wspomagał magnetofon.

Nie rozstawała się z miniaturowym podręcznym aparatem, o którego istnieniu Gianeya nie miała pojęcia. Nagrane taśmy poddawano badaniom Elektronowego Mózgu Instytutu Lingwistyki i dzięki jego pomocy powoli, ale systematycznie udawało się rozszyfrowywać tajemnicę obcego języka.

Marina zapamiętywała wszystko. Była jednak aż do przesady ostrożna i ramy rozmów zakreślone przez Gianeję rozszerzała powoli i stopniowo. Bała się, że „spłoszy” gościa. Dziewczyna z innego świata nie zauważyła, jak się wydawało, iż jej przyjaciółka mówi jej językiem coraz bardziej swobodnie i gramatycznie.

Marina wiedziała, że Gianeya ją lubi. Należało tę sympatię utrwalić i rozszerzyć. Wielkie nadzieje związane z poznaniem tajemnicy pojawienia się Gianei pokładali w tym wszyscy uczeni.

Marina pracowała sama. Jej koleżanka z Instytutu Lingwistyki, razem z nią „odkomentowana” do Gianei, już następnego dnia po przylocie gościa musiała ją opuścić.

Rada starała się przewidzieć wszystko aż do najmniejszych drobiazgów, nikt jednak nie mógł przypuszczać, że Gianeya nie znosi ludzi niewielkiego wzrostu.

Trudno było przysłać kogoś innego, gdyż nie było ani jednej odpowiedniej kandydatki.

Muratowa radziła sobie świetnie sama.

W ciągu minionego półtora roku ani razu nie żałowała, że została towarzyszką Gianei. Przez ten okres czasu ani razu się nie posprzeczały.

Gianeya miała łagodny charakter. Z każdym dniem stawała się coraz miłsza. Przestała

się zachowywać sztucznie i z dystansem, wyzbyła się niezrozumiałej czujności cechującej ją w pierwszych miesiącach pobytu na Ziemi. Była teraz „zwykłą” dziewczyną. Zawsze ożywiona, bardzo ruchliwa, lubiła sport i gry, których uczyła się z niezwykłą łatwością, chętnie rysowała i zajmowała się muzyką.

Nikt nie wiedział, co jest tematem jej rysunków. Rzadko tylko udawało się Marinie zerknąć do albumów. Gianeya pokazywała jej wyłącznie ziemskie pejzaże. Kilka razy ulepiła i natychmiast zniszczyła parę wspaniałych popiersi. Przedstawiały one bądź Marinę, bądź ją samą.

Gianeya nie próbowała nawet nauczyć się grać na jakimś instrumencie muzycznym, ale lubiła słuchać, gdy grała Marina.

Czasami zaczynała śpiewać bez akompaniamentu. Melodie dziwnie brzmiały dla ziemskiego ucha. Słuchacze byli zdziwieni pięknem i niewiarygodnie szeroką skalą głosu Gianei.

Pieśni te rejestrowane na magnetofonie, analizował Mózg Elektronowy znajdując wiele nowych słów i połączeń słownych.

Marina była przekonana, że Gianeya jest bardzo młoda, ale nawet tego, nawet tak prostej sprawy, nie udało się jej wyjaśnić. Gianeya, gdy ją o to pytano, milczała.

Marina udawała, że milczenie Gianei nie jest niczym szczególnym, starała się je traktować jako naturalne.

Taka taktyka była niewątpliwie słuszna.

— Dojrzałe jabłko spada samo — mówili uczeni. — Należy zostawić Gianei czas: gdy „dojrzeje”, sama zacznie mówić.

Dziewczyna wyraźnie „dojrzewała”. Milczała coraz rzadziej. Wprawdzie niechętnie, ale odpowiadała na pytania. Marina zaś, stosownie do otrzymanych zaleceń, nigdy nie powtarzała pytania, które Gianeya już kiedyś pominęła milczeniem.

Między obydwiema dziewczynami panowała harmonia i na pozór pełne zrozumienie.

Ludzie sądzili, że Gianeya nie interesuje się życiem na Ziemi, że to, co dzieje się wokół niej, jest jej obojętne. Marina jednak miała na ten temat inne zdanie.

Potrafiła już orientować się w każdym drgnieniu twarzy, a zwłaszcza oczu gościa. Stopniowo przekonywała się, że Gianeya z jakiejś sobie tylko znanej przyczyny, po prostu ukrywa przed ludźmi swe zainteresowanie Ziemią, udając obojętną.

W ciągu półtora roku Gianeya objechała całą Ziemię. Widziała wszystko, co na planecie było najpiękniejsze, najbardziej majestatyczne i wspaniałe, zarówno twory natury jak i kultury. Mogło wydawać się, że nie robiło to na niej najmniejszego wrażenia. Nigdzie bowiem nie zatrzymała się dłużej, nigdzie nie zachwycała się dziełem sztuki czy pięknem przyrody, tak jak to zwykli czynić ludzie. Patrzyła minutę, najwyżej dwie, i odchodziła.

Kiedyś jednak, po upływie paru miesięcy od wycieczki do Ameryki Północnej, Marina zobaczyła narysowany przez Gianeję widok niagaryjskiego wodospadu, wtedy zrozumiała, że jej towarzysze wystarcza przelotne spojrzenie, żeby na zawsze zapamiętać to, co widziała. Rysunek był wierny nawet w najdrobniejszych szczegółach, przypominał fotografię.

Powtarzało się to niejednokrotnie. Gianeya zapamiętywała wszystko, o niczym nie zapomniała.

Nie, to nie była jednak obojętność!

Być może w ten sposób zachowują się wszyscy jej współplemieńcy? Być może w jej ojczyźnie panują takie obyczaje?

Nie można było wykluczyć i takiej interpretacji. Marina jednak, nie wiadomo dlaczego, nie chciała w to uwierzyć.

Dlaczego tak postępuje?

Stopniowo Marina przekonywała się, że gość z Kosmosu potrafi zachowywać się nieszczercze, że udaje.

Ostatnio zdarzył się wypadek, który wszystkich głęboko poruszył, a Marinę jeszcze

bardziej przekonał, że Gianeja coś ukrywa.

W czasie drogi do Połtawy, czekając na przejście globekspresu, Gianeja nieoczekiwanie zadała pytanie, które świadczyło, że ukrywa przed ludźmi nie tylko swoją przeszłość, ale i teraźniejszość.

Skąd Gianeja mogła wiedzieć, że Marina ma brata? Co więcej — wiedziała, że kształt drogi globekspresu został zaprojektowany przez Wiktora Muratowa!

Gianeja rozmawiała tylko z Mariną. Wszystko to, co mówiła do innych, i to, co do niej mówili, tłumaczyła Marina. Jeżeli rzeczywiście nie znała żadnego ziemskiego języka, nie mogła wiedzieć o istnieniu Wiktora.

I nagle się okazało, że wie o tym i nie tylko zresztą o tym.

Wiadomość była bardzo ważna i pociągnęła za sobą nie dające się przewidzieć konsekwencje.

Czy Gianeja wygadała się jedynie przypadkiem? Czy też celowo chciała dać do zrozumienia ludziom, że jest dobrze poinformowana?

Pytanie to zadano sobie natychmiast w Radzie Naukowej Instytutu Kosmonautyki, który od samego początku interesował się wszystkim, co dotyczyło gościa z Kosmosu.

Gianeja przypadkiem czy celowo udowodniła, że zna jeden z języków ziemskich. Potwierdzało to starą hipotezę — Gianeja rzeczywiście jest związana z tymi, którzy wysłali w kierunku Ziemi sputniki-zwiadowców. Stąd wynikał kolejny wniosek, że jej współplemieńcy byli na Ziemi. Istniało również prostsze wyjaśnienie. Gianeja języka ziemskiego nauczyła się sama, bez niczyjej pomocy.

Trzeba było ustalić, jaki właściwie język zna Gianeja. Z pytaniem tym zwrócono się do Muratowej. Na Ziemi istniało wiele języków. Ogólnoziemski dopiero zaczynał wchodzić w życie. Zarówno gazety, jak i czasopisma, radio i telewizja nowym językiem posługiwały się raczej rzadko. W każdym regionie (przed tym nazywały się one krajami) mówiono językiem starym. Zniknęły granice, zacierały się różnice między narodami, kultura i cywilizacja stały się powszechne, mimo to odległy był jeszcze dzień, w którym ludzkość stanie się jedną rodziną, mówiącą jednym językiem.

Gianeja chętnie przeglądała czasopisma, które były jej dostarczane zewsząd, ze wszystkich okolic i we wszystkich językach. Ludzie cieszyli się, że dziewczyna z innego świata, chociaż w ten sposób interesuje się życiem na Ziemi. Myślano, że ogląda tylko ilustracje, ponieważ nie zna żadnego języka. Teraz jednak trzeba było ustalić, jakie pisma Gianeja przeglądała szczególnie chętnie.

Muratowa jednak tego nie wiedziała. Nigdy bowiem nie zwracała uwagi, jakie gazety przegląda jej przyjaciółka ani tym bardziej, w jakim są one języku. Przypomnieć sobie teraz? Nie, nie pamiętała.

Toteż postanowiono dowiedzieć się tego w inny sposób.

Gianeja wiedziała, kim jest człowiek, który opracował nową konstrukcję drogi globekspresu. Wiedziała, że jest on bratem Mariny. Zatem w jednej z gazet, którą miała w ręku, był wydrukowany odpowiedni artykuł. Trzeba tylko ustalić, jakie gazety dostarczono Gianei, a to nie było specjalnym problemem.

Artykuł został szybko odnaleziony. Pisano w nim o globekspresie oraz wspomniano, że Wiktor Muratow jest bratem Mariny Muratowej, przyjaciółki i tłumaczki Gianei. Na pewno ten właśnie artykuł Gianeja przeczytała.

Okazało się, że gazeta była w języku hiszpańskim.

Wiadomość obiegła cały świat. Nie wydrukowały jej tylko gazety hiszpańskie, gdyż nie chciano, by Gianeja się o tym przypadkiem dowiedziała. Jeżeli gość z Kosmosu po prostu się wygadał, nie należało zdradzać, że zostało to zauważone.

W Instytucie Lingwistyki odetchnęli z ulgą. Dawno już zauważono, że język, którym mówiła Gianeja, zarówno pod względem składniowym, jak i fonetycznym, jest podobny do

któregoś z romańskich języków Ziemi. Teraz nie miano już żadnych wątpliwości. Być może był to dziwny zbieg okoliczności, jednak mieszkańcy nieznannej planety (może nie wszyscy, a tylko ta część, do której należała Gianeya) mówili językiem bardzo podobnym do hiszpańskiego.

Ta druga wiadomość była jeszcze bardziej sensacyjna niż pierwsza.

Pozwalało to wiele zrozumieć. Gianeya nie mogła „przypadkowo” nauczyć się właśnie tego języka, który najbardziej był podobny do jej języka ojczystego. Znała go wcześniej, przed tym, nim pojawiła się wśród ludzi!

Stąd, naturalnie, wypływał drugi wniosek. Zarówno Gianeya, jak i gospodarze sputników-zwiadowców, byli członkami jednego i tego samego narodu! Postawiona kiedyś hipoteza okazała się prawdą.

Ludzie sądzili, że nigdy jeszcze istoty z innego świata nie odwiedziły Ziemi. Okazało się, że było inaczej. Nie wiadomo jednak, kiedy współplemieńcy Gianei byli na Ziemi, i to na pewno przez dłuższy okres czasu. Kiedy zdążyli poznać i nauczyć się ziemskiego języka? Dlaczego właśnie hiszpańskiego? Po prostu dlatego, że ten język był dla nich najłatwiejszy.

Mogło być również inaczej. Po hiszpańsku mówiono nie tylko na Półwyspie Iberyjskim, ale także w Meksyku, republikach Ameryki Środkowej, na Antylach, w całej Ameryce Południowej, wyjąwszy Brazylię. Być może tam właśnie wylądował kosmiczny statek przybyszów. Wtedy podobieństwo ich języka do języka „Ziemian” byłoby wynikiem szczęśliwego dla nich przypadku.

Co mogłoby zwrócić uwagę ludzi na istoty podobne do Gianei? Zielonkawy odcień skóry? Można go było z łatwością ukryć przy pomocy makijażu lub opalenizny. Niezwykły kształt oczu? Możliwe, że zwrócono na to uwagę, jednak nie była to cecha tak charakterystyczna, by mogła podziałać na wyobraźnię albo wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia u ludzi, którym nawet do głowy nie mogła przyjść myśl o istnieniu innego świata.

Podobny drobiazg, gdyby nawet zwrócił na siebie uwagę, nie mógł być zapamiętany, nie mógł wejść do historii.

W tak nieoczekiwany sposób wyjaśniła się jedna z otaczających Gianeję tajemnic.

Marina Muratowa znała doskonale język hiszpański. Zrozumiała więc, dlaczego tak łatwo przyswajała słowa z języka Gianei.

Marinie polecono, żeby uważnie śledziła, jakie artykuły w gazetach hiszpańskich czyta Gianeya, zbadała, w jakim stopniu włada ona tym językiem i co ją najbardziej interesuje. Redakcjom hiszpańskich gazet polecono natomiast, żeby jak najczęściej zamieszczały materiały dotyczące sputników-zwiadowców oraz jeszcze raz przedrukowały polemikę sprzed trzech lat o tym, gdzie się one obecnie znajdują.

Nikomu nie mogło przyjść do głowy, że wszystkie te podstępny są niepotrzebne, że problem, który tak bardzo interesował wszystkich, wyjaśni się bardzo szybko i nieoczekiwanie.

III

Przez cały ten czas Muratow był bardzo zajęty i nic nie wiedział o nowinach, które poruszyły całą Ziemię. Wezwano go nagle do centrum obliczeniowego, które współpracowało z ekspedycją Jeana Legeriera i kontrolowało ruchy Hermesa.

Zaszła nieprzewidziana komplikacja. Asteroid spotkał na swojej drodze duże, w porównaniu do własnej masy, ciało — jeszcze nie znaną niewielką planetę. Urządzenia lokacyjne i grawiometry zdążyły uprzedzić o spotkaniu — udało się więc uniknąć katastrofalnego zderzenia. Zmieniła się jednak trajektoria Hermesa. Należało opracować instrukcję dla Westona,

jakie urządzenia korygujące i w jakim czasie ma uruchomić, żeby powrócić na właściwy kurs. Muratow, pogrążywszy się w pracy, jak zwykle wyłączył ze swojej świadomości wszystko pozostałe.

Pracę skończył w ostatniej chwili (po raz czwarty otrzymano ten sam wynik) i pośpiesznie wyjechał do Połtawy.

Mógł mu o tym wszystkim opowiedzieć Bołotnikow, jednak rozmowa potoczyła się inaczej. Jadąc tedy do Seleny, na spotkanie z Gianeją, Muratow nie podejrzewał, że jego plany komplikują się w wyniku nowej nieprzewidzianej okoliczności.

Nowej i to dotyczącej właśnie jego samego.

Hiszpański był niemal ojczystym językiem Wiktora. Rodzice pochodzili wprawdzie z Rosji, ale wiele lat mieszkali w Hiszpanii. Ojciec był członkiem ekspedycji geologicznej, matka — architekt, budowała gigantyczne Miasto Dziecka na południowym brzegu Półwyspu Iberyjskiego.

Wiktor urodził się i spędził pierwsze lata swojego życia w Almerii. Tam też skończył szkołę podstawową.

Gdyby wiedział o światowej sensacji, zrozumiałby, dlaczego język Gianei wydawał mu się znajomy. Cztery dni temu mówił o tym Bołotnikowowi w wagonie globekspresu.

Ale Muratow o niczym nie wiedział.

Selena oszołomiła go swoją wielkością. Była znacznie większa od Połtawy, chociaż uważano ją właściwie za przedmieście. Miasto wyrosło na pustym miejscu w bajecznym tempie, w ciągu pięciu lat. Domy, ulice, nawet ogrody wydawały się szczególnie czyste, świeże i „nowiutkie”. Wyczuwało się, że całe miasto budowano w myśl jednolitej architektonicznej koncepcji. Ogrom myśli i pracy włożonej w budowę wywierał olbrzymie wrażenie.

Selena była właściwie pierwszym całkowicie współczesnym miastem, które Muratow zobaczył z bliska.

Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie naiwną pewność, że pierwszy lepszy przechodzień wskaże mu, gdzie ma szukać Gianei. Jak ją tu znaleźć w takim kolosie!

Selena miała kształt koła. W centrum znajdował się ogromny kosmodrom.

Okrężny wuczebus przewiózł go przez całe miasto.

Muratow zapomniał o czasie, o swoim zniecierpliwieniu, o wszystkim. To, co widział, pochłoneło całkowicie jego uwagę. Na każdym kroku, na każdym zakręcie wyrastały zespoły gmachów, jedne ładniejsze i wspanialsze od drugich. Domy wydawały się lekkie, lekkość konstrukcji podkreślała jeszcze zieleń, rozległe okna na wskroś przesycone były słonecznym światłem.

Również mieszkańcy wydawali się inni niż w znanych mu miastach. Sami byli jak gdyby przeniknięci światłem.

„Koniecznie spróbuję się tutaj przenieść — myślał Muratow. — Jeżeli tylko miasto nie jest zamknięte z powodu przeludnienia. Muszę pomieszkać wśród tego piękna. Na pewno i praca będzie tutaj szła lepiej niż gdzie indziej”.

Widocznie jednak nie tylko Muratowowi tak bardzo podobała się Selena, w której ucieleśniło się całe doświadczenie, cały architektoniczny i artystyczny geniusz Ziemi. Na ulicach było tłoczno.

Kiedy wuczebus zamknął krąg kończąc swą trasę w miejscu, z którego wyruszył, Wiktor, spojrzawszy na zegarek wysiadł, chociaż miał ochotę jeszcze raz okrążyć miasto. Zostało mu jednak zbyt mało czasu.

Na kosmodrom poleciał automatycznym raketoplanem.

Na ogromnym betonowym polu życie toczyło się zwykłym porządkiem. Powrót Szóstej Ekspedycji Księżycowej nie był wydarzeniem szczególnej wagi. Prawie każdego dnia kończyły tutaj swój lot kosmiczne statki z Księżyca, Marsa i Wenus, nie licząc statków wewnętrznych ziemskich linii, które stąd też startowały. Szósta interesowała wąskie tylko grono

osób, związanych z obsługą Kosmosu, oraz takich jak Muratow, którzy mieli znajomych wśród członków ekspedycji.

Po płycie kręciły się w zafrasowaniu szybkie i zwrotne pojazdy pomocnicze, powoli i z godnością pełżyły ogromnej wielkości cysterny, zaopatrujące w paliwo, na niewielkich rakietoplanach krążyli dyżurni mechanicy i dyspozytorzy. Daleko, pośrodku płyty, błyszczały w słońcu korpusy statków wewnętrznych, „ziemskich” linii, i lądujących rakiet. Międzyplanetarne rakiety nie lądowały na kosmodromie: pasażerowie wysiadali i wsiadali do nich poza granicą atmosfery.

W budynku portu kosmicznego Muratow zobaczył wiele ludzi. Widocznie dzisiaj odlatywał statek dalekiego zasięgu i byli tu zarówno ci, którzy opuszczali Ziemię, jak i ci, którzy ich odprowadzali.

Od razu spotkał Stone'a. Przedstawiciel Rady Naukowej uradował się na widok Muratowa i mocno uściśnął mu rękę.

— A więc — powiedział Muratow — znowu nic!

— Tak, niestety — z westchnieniem odpowiedział Stone.

Chodziło o Szóstą. Obaj już wiedzieli, że ekspedycja znowu się nie udała. Nie znaleziono na Księżycu ani bazy, ani żadnych oznak stwierdzających obecność sputników-zwiadowców.

— To już ostania — dodał Stone. — Nie ma sensu kontynuować poszukiwań, dopóki nie dowiemy się czegoś nowego, na przykład od Gianej.

— Uwaga! — rozległ się stłumiony, ale wyraźny głos. — Pasażerowie odlatujący na Marsa proszeni są o udanie się na miejsce startu. Osoby towarzyszące zatrzymują się przy wuczebusie.

W poczekalni się przerzedziło. I wtedy Muratow nagle zobaczył Marinę i Gianeję. Stały koło jednego z licznych kiosków-automatów i z ożywieniem rozmawiały. Przechodnie rzucali na tę parę ukradkiem zaciekawione spojrzenia.

— Ciekawe, po co ona się tu zjawiła? — powiedział Stone, idąc za wzrokiem Muratowa. — Wygląda na to, że Gianeję bardzo interesują nasze poszukiwania na Księżycu.

— Skąd ona może o nich wiedzieć?

Stone ze zdumieniem popatrzył na rozmówcę.

— Jak to! — wykrzyknął. — O niczym pan nie wie?

— O czym właściwie?

— Czytał pan chyba ostatnie gazety i słuchał pan komunikatów?

— Nie — odpowiedział Muratow. — Nie miałem wtedy czasu. Przecież wie pan, profesorze, czym byłem wtedy zajęty.

— No, no! — Stone pokiwał głową. — I nikt panu o tym nie powiedział? Cała planeta mówi tylko o tym, a pan nie słyszał?

— O co chodzi? — z roztargnieniem spytał Muratow. Myślał o tym, jak podejść do Gianej, żeby wypadło to naturalnie. Obie dziewczyny były odwrócone do nich plecami.

Po pierwszych słowach Stone'a roztargnienie minęło, jakby ręką odjął. Słuchał całkowicie zdumiony. Ale to nowina! Gianeja zna język hiszpański? Niepojęte!

— Teraz już pan rozumie? — zapytał Stone.

— Jakżeby nie! Teraz właśnie zrozumiałem, że cały mój plan nie ma sensu.

— Dlaczego? — Stone wiedział o zamierzeniach Muratowa. — Raczej odwrotnie, to panu pomoże. Ale musi pan być bardzo, bardzo ostrożny.

— Właśnie! A to znaczy, że jest potrzebny zupełnie nowy plan.

— Nie można dać do zrozumienia Gianej, że zna pan jej tajemnicę. Radziłbym, żeby pan niby przypadkiem, w odpowiedniej chwili, zaczął przy niej rozmawiać z siostrą po hiszpańsku. Rozmawiajcie na temat, który zainteresuje Gianeję. Trzeba obserwować jej reakcję.

Muratow lekko spojrzał na Gianeję. Znajdowała się od nich nie więcej niż trzydzieści

kroków.

— Mówimy za głośno — szepnął Stone'owi. — Gianeja ma świetny słuch.

— Przecież nie rozmawiamy po hiszpańsku.

— Kto ją tam wie! Może rozumie. Po tym, co pan powiedział, za nic nie ręczę.

— Tak, to możliwe.

Tłum pasażerów, który dopiero co wszedł do poczekalni, oddzielił ich od dziewcząt.

Stone popatrzył na zegarek.

— Szósta powinna przybyć za jakieś dwadzieścia minut — powiedział. — Niech pan podejdzie do nich.

— Trochę się boję. A może Gianeja nie zechce ze mną rozmawiać?

— Niemożliwe. Pańska siostra mówiła, że Gianeja jeszcze wczoraj pytała o pana.

„Zgadłem — pomyślał Muratow. — Nie przypadkiem rysowała pejzaż Hermesa”.

Lecz obu dziewcząt nie było na poprzednim miejscu.

Odeszły.

Muratow ruszył na poszukiwania.

Od samego rana Gianeja była bardzo zdenerwowana. Zdradzały to jej ruchy, głos, wyraz twarzy. Marina widziała, że jakaś natrętna myśl nie daje jej przyjaciółce spokoju.

Jak zwykle przed śniadaniem poszły popływać na pobliskim basenie.

Sale gimnastyczne i baseny były w każdym osiedlu, nawet w każdym większym domu. Jednak niewielkie baseny znajdujące się przy domach nie zadowalały Gianej. Chciała nie tylko się odświeżyć, ale również popływać.

Tego ranka, jakby straciwszy poczucie czasu, Gianeja pływała bardzo długo. Marina dawno już się ubrała i, siedząc w wiklinowym fotelu, czekała, aż przyjaciółka wyjdzie z wody.

Szybko i niezmordowanie powtarzała Gianeja stumetrowy dystans, płynąc klasycznym, pięknym crawlmem. Jak zawsze zebrało się sporo gapiów, niewielu bowiem sportowców na Ziemi tak doskonale opanowało ten styl.

Jej ręce rytmicznie zanurzały się w wodzie. Ciężkie czarne włosy zakrywały niemal całą zgrabną figurę dziewczyny.

W zielonej wodzie basenu, na którą poprzez szklany dach padały jaskrawe promienie słońca, Gianeja przypominała widmo.

Marina dobrze pamiętała pierwsze pójście na basen zaraz po przybyciu Gianej na Ziemię. Pamiętała, jak niechętnie Gianeja ubrała się w kostium kąpielowy. Z trudem, przy pomocy gestów, udało się jej wytłumaczyć, że nie można zamknąć basenu dla innych ludzi. Teraz rozumiała już, że Gianeja próbowała wytłumaczyć, że nie widzi powodu, by musiała wkładać kostium tylko dlatego, że w basenie kąpią się inni ludzie. Nie rozumiała tego i teraz, chociaż od tej chwili minęło już półtora roku.

Dawno już zrozumiano, że Legerier błędnie zinterpretował postępowanie Gianej w początkowym okresie jej pobytu wśród ludzi. Rozbierała się przy wszystkich nie dlatego, że była zarozumiała i nonszalancka, ale po prostu dlatego, że takie zwyczaje panowały wśród jej współplemieńców. Nie rozumieli oni, dlaczego mają ukrywać swoje ciało przed cudzym spojrzeniem.

Marina czekała ponad godzinę. Kiedy w końcu Gianeja wyszła z basenu, nie była wcale zmęczona. Wydawało się, że mogłaby przepłynąć jeszcze drugie tyle.

Wróciły do domu.

Po śniadaniu Gianeja nieoczekiwanie poprosiła, żeby pokazać jej Selenę. Dotąd ani jednym słowem nie wspomniała, po co chciała przyjechać do Połtawy. Miasto wyraźnie jej nie interesowało, przez trzy dni prawie nie wychodziła z domu.

Mariny ta prośba wcale nie zaskoczyła; nawet się jej spodziewała. Była przekonana, że Gianeja przyjechała tutaj w związku z przylotem Szóstej Ekspedycji Księżycowej. Teraz już

nie można się było dziwić, skąd o tym wie. Fakt, że gość orientuje się w sprawach Ziemi, przestał być tajemnicą.

Dlaczego interesowała ją właśnie ta ekspedycja?

Wczoraj Gianėja zaskoczyła Marinę nieoczekiwanym pytaniem. Chciała się dowiedzieć, czy jej brat przyjedzie do Połtawy. Nie dodała „spotkać Szóstą”, ale oczywiście pytała właśnie o to.

Marina odrzekła, że Wiktor na pewno przyjedzie.

Gianėja w ogóle nie zareagowała, nie pokazała po sobie, jakie wrażenie wywarła na niej ta wiadomość. Mogło się wydać, że jej w ogóle nie usłyszała.

Wielokrotnie już Gianėja prosiła, żeby Marina poznała ją z Wiktorem. Nic nie wskazywało jednak na to, że wie, iż brat Mariny i kosmonauta, który przywiózł ją z Hermesa na Ziemię, to jeden i ten sam człowiek. Teraz okazało się, że wie i o tym!

Kiedy Gianėja, zaraz po tej rozmowie, zaczęła rysować w albumie pejzaż Hermesa z Wiktorem na pierwszym planie i tym razem nie ukrywała rysunku, Marina przekonała się ostatecznie, że Gianėja posiada dobre informacje.

Marina natychmiast powiadomiła o wszystkim Stone'a. Rada Naukowa przyjęła tę wiadomość z zadowoleniem. Pytanie Gianiei wskazywało, że postanowiła „odkryć karty”, że przy torze globekspresu nie wygadała się, a celowo dała do zrozumienia, że wie wiele, wie to, czego nie mogłaby wiedzieć, gdyby nie znała ziemskiego języka.

Marinie polecono, żeby do drugiego przypadku „szczerości” Gianiei ustosunkowała się tak samo jak do pierwszego. Niech udaje, że niczego nie zauważyła.

IV

Gianėja wyraźnie nie panowała dzisiaj nad sobą. Zgodnie z przyjętą linią postępowania Marina zaproponowała powrót do Połtawy akurat wtedy, kiedy powinny były pojechać na kosmodrom, jeżeli Gianėja rzeczywiście chciała spotkać „Szóstą”.

Należało się spodziewać, że właśnie teraz Gianėja będzie musiała odpowiedzieć wprost.

Jednak Gianėja wykręciła się.

— Mówiłaś — powiedziała — że miasto jest zbudowane w kształcie pierścienia okalającego kosmodrom. Kosmodromu jednak mi nie pokazałaś. Skoro tu jesteśmy, to chciałabym go obejrzeć.

„Wykręciła się — pomyślała ze złością Marina. — Cóż za dziwny upór!”

Dziewczyny jeździły po Selenie wuczemobilem. Marina prowadząca wóz, obróciła kierownicę i maszyna skierowała się ku centrum.

Niezrozumiały niepokój Gianiei wzrastał. Policzki dziewczyny płonęły, a oczy gorączkowo błyszczały. Kilka pytań Mariny zawisło w próżni. Wydawało się, że Gianėja pogrążona w swych myślach niczego nie słyszy.

Kiedy jednak weszły do hallu w porcie kosmicznym, Gianeję jakby coś odmieniło. Ożywiła się i sama zaczęła zasypywać Marinę pytaniami. Twarz nabrała normalnego koloru i tylko blask oczu zdradzał, że Gianeję coś nadal gnębi.

I nagle Gianėja zapytała:

— Ile ludzi brało udział w Szóstej Ekspedycji?

Marina po raz pierwszy usłyszała słowo „ekspedycja” w języku Gianiei. Jego znaczenie odgadła z sensu zdania.

„Co teraz robić — pomyślała. — Nie można już stosować poprzedniej taktyki. Gianėja po raz trzeci i to otwarcie odsłania twarz. Gdybym i tym razem tego nie zauważyła, Gianėja

odkryłaby moją taktykę. Nie można jednak nie odpowiedzieć na jej pytanie. Wyzwanie trzeba przyjąć”.

— Skąd wiesz o tej ekspedycji? — zapytała Marina baczenie wpatrując się w twarz przyjaciółki. Dzięki zawodowej pamięci dokładnie powtórzyła nowe słowo. Gianeya wcale się nie zmieszała.

— Przecież sama mi o niej mówiłaś — odrzekła z niezmaconym spokojem.

To jest oczywiście kłamstwo. Marina świetnie pamiętała, że nigdy nie rozmawiały na ten temat.

„Tak — pomyślała. — Gianeya jest zdolna nie tylko do obłudy, ale i do kłamstwa. To znaczy, że w ich świecie moralność nie znajduje się na zbyt wysokim poziomie”.

— Nie pamiętam — powiedziała głośno — żebym kiedykolwiek mówiła o Szóstej Ekspedycji Księżycowej. Ale właściwie dlaczego ona cię interesuje?

Odpowiedzi nie było. Gianeya uciekła w zwykłe milczenie.

Marina usilnie myślała, co ma robić dalej. Wiedziała dobrze, iż uporczywe domaganie się odpowiedzi nie powiedzie się.

Gdy raz już przemilczała pytanie, będzie uparcie milczeć dalej. Najlepiej zacząć rozmawiać na inny temat. Wedle wszelkich oznak Gianeya postanowiła przestać udawać, że o niczym nie wie. Niech więc inicjatywa należy do niej!

— Czy będziemy czekały na przylot Szóstej? — zapytała Marina jak gdyby nigdy nic.

— Tak — odpowiedziała Gianeya.

Mówiąc to krótkie słowo tym samym przyznawała się, że przyjechała do Połtawy specjalnie po to, by spotkać „Szóstą”. Nie mogła nie wiedzieć, że Marina zrozumiała sens wypowiedzianych przez nią słów.

I nie bała się tego.

„Cóż, już najwyższy czas! — myślała Marina. — Znać język i nie mówić nim jest bardzo trudno. Gianeya na pewno stęskniła się za swobodną rozmową. Udawać przez półtora roku, to bardzo trudno”.

— Dzień dobry! — rozległo się za nimi.

Gianeya obejrzała się tak gwałtownie, że nie było żadnych wątpliwości — poznała głos, który słyszała półtora roku temu. Widać było, że się ucieszyła.

— Nareszcie — powiedziała zupełnie szczerze, wyciągając pierwsza do Muratowa rękę tak, jak zrobiła to w czasie rozstania i czego nie robiła w stosunku do nikogo. — Czemu pana tak długo nie było? Przecież prosiłam Marinę...

Po raz czwarty!

W ciągu paru dni Gianeya, jakby pragnąc wynagrodzić ludziom Ziemi swe długie milczenie, „otwierała się” w oszalamiającym tempie.

Muratow zrozumiał, co powiedziała.

— Nie miałem czasu — odpowiedział z trudem dobierając słowa. — Cieszę się ze spotkania.

Marinę rozbawił jego akcent.

Gianeya nie uśmiechała się. Nie puszczała jego ręki i patrzyła prosto w oczy tym samym uważnym spojrzeniem jak i wtedy, w wyjściowej śluzie gwiazdolotu, jakby miała zamiar coś powiedzieć czy o coś zapytać. I milczała.

Przecież wiedziała, że Muratow rozumie jej język. Czemu więc nie pytała?

— Żałuję — powiedział, nie doczekawszy się od niej ani słowa — że nie mogłem spełnić pani prośby wcześniej.

Trudności w doborze słów, jak i chęć zastosowania się do rady Stone'a spowodowały, że prawie machinalnie wtrącił do zdania kilka słów hiszpańskich.

Gianeya nie poprosiła o powtórzenie; wyraz jej twarzy również nie pozwalał domyślić się, czy zdziwiły ją, czy też nie, użyte przez Muratowa słowa hiszpańskie.

— Czy był pan u nas?

Muratów zrozumiał, że ma na myśli Połtawę.

„Chce zapytać, czy widziałem w albumie jej rysunek” — pomyślał.

— Tak, byłem.

Gianeja puściła jego rękę. Wydało mu się, że w ciemnych oczach dziewczyny zabłysło rozczarowanie.

Czego Gianeja oczekiwała od niego?

Stało się dla niego oczywiste, że pejzaż Hermesa, epizod dotyczący się ich obojga, Gianeja narysowała specjalnie i zostawiła w widocznym miejscu na stole po to, by mógł go zobaczyć. To nie tylko nie był przypadek, to coś znaczyło i zawierało określoną, adresowaną do niego wymowę. Gianeja oczekiwała odpowiedzi, ale jej nie otrzymała.

Poczuł złość na samego siebie, ponieważ nie potrafił odgadnąć, nie zrozumiał jej intencji. Fakt, że człowiekowi jednej planety niezwykle trudno jest przeniknąć myśli i zamierzenia człowieka innej, nie był w jego oczach usprawiedliwieniem. Powinien, co więcej, miał obowiązek głębiej wnikać w rysunek, spróbować zrozumieć, co chciała powiedzieć. Nie zrobił tego i być może zmarnował szansę na przyjacielską szczerą Gianeję.

— Widziałem rysunek — powiedział ze smętną nadzieją, że może jeszcze coś naprawi, i używając jeszcze więcej słów hiszpańskich dodał: — Wspaniale pani rysuje, Gianejo.

Odrzuciła się z tak wyraźnym lekceważeniem, że Muratow zmieszał się i w duchu zwymyślał siebie.

Początek odnowienia starej znajomości wypadł wyraźnie na jego niekorzyść.

Głos spikera powiadomił o wylądowaniu rakiety ze statku, który przybył z Księżyca, statek, na który czekali i którym wracała Szósta Ekspedycja Księżycowa.

Marina przełożyła treść komunikatu Gianeję.

— Nie odpowiedział mi — przypomniała Gianeja — ile ludzi brało udział w tej ekspedycji?

— Osiemnastu.

— Czy przybyli tylko oni? Czy w rakiecie nie ma innych pasażerów?

Po raz piąty!

Słowo „rakietę” Gianeja powiedziała po hiszpańsku. Marina postanowiła nie odpowiadać w tym języku. Stone polecił jej daleko posuniętą ostrożność. Gianeja mogła wymówić dwa słowa hiszpańskie przypadkowo, wcale tego nie zauważając. Od samego rana była bardzo zdenerwowana i nie panowała nad sobą.

— Nie wiem — odrzekła Marina w języku Gianeję. — Myślę, że nie ma innych pasażerów. Jest to statek o szczególnym przeznaczeniu, tylko dla ekspedycji.

Upór Gianeję coraz bardziej zadziwiał Marinę. Po co chce znać takie szczegóły?

Rakietę wylądowała w pobliżu dworca. Spuścili trap i na Ziemię jeden po drugim zaczęli schodzić pasażerowie. Było ich doskonale widać.

— Zaraz wrócę — powiedział Muratow. — Niech pani na mnie zaczeka w tym miejscu. Poszedł na spotkanie Siergieja.

Marina zauważyła, że Gianeja po cichu liczy wychodzących z rakiety. Kiedy wyszedł ostatni, osiemnasty, wyraźnie odetchnęła z ulgą. Miało się wrażenie, że dziewczynę z innego świata trwożyło pytanie: Czy wszyscy wrócili z Księżyca?

Dziwne! Czy tylko po to przyjechała tutaj, aby się o tym przekonać?

Muratow i Sinicyn spotkali się w połowie drogi. Uściskali się.

— A więc — powiedział Wiktor. — Znowu z niczym?

— Jak widzisz — niezadowolonym tonem odpowiedział Siergiej.

— Cóż to, mam to wyczytać z wyrazu twojej twarzy?

— Wiesz przecież — Sinicyn nie zaśmiał się z żartu przyjaciela. Twarz miał nadal chmurną.

Muratow uważnie popatrzył na przyjaciela.

— Stone powiedział, że to już ostatnia ekspedycja.

— Wiem i nie zgadzam się z tą decyzją.

— Na wasze powitanie przybyła Gianeya — powiedział Muratow przekonany, że ta wiadomość zelektryzuje Sinicyna.

Pomylił się jednak. Na twarzy przyjaciela nadal malował się spokój.

— Po co jej to potrzebne? — zapytał obojętnie, wyraźnie niezainteresowany odpowiedzią.

— Zagadkowa historia. — Muratow opowiedział w skrócie o ostatnich zdarzeniach związanych z Gianeyą.

Sinicyn w dalszym ciągu nie zdradzał zainteresowania.

— Należy o tym pomyśleć — powiedział tylko. — Wiesz co, Witia, nie mów ze mną o Gianei. Drażni mnie nawet dźwięk jej imienia. Nie znam przyczyn jej milczenia, gdy jednak pomyślę, że mogłaby...

Do przybyłych podszedł Stone.

— Gdzie się zatrzymałeś? — szybko spytał Sinicyn. — Aha! Przyjdę do ciebie dzisiaj około ósmej wieczorem. Wtedy porozmawiamy o wszystkim szczegółowo. A teraz, wybaczone, nie mam czasu.

Muratow odszedł.

Chociaż sam nie brał udziału w żadnej z sześciu ekspedycji, zmartwiło go niepowodzenie towarzyszy. Czyżby popełnili błąd?

Nie, to niemożliwe! Obliczenia zostały wielokrotnie sprawdzone przez innych. Nie mogło się mylić aż tyle ludzi. Sputniki są na Księżycu!

Ale dlaczego nie można ich odnaleźć?

Rozmowa między Mariną i Gianeyą, której był świadkiem Muratow kilka minut temu, niebicie wskazywała, że interesują ją rezultaty księżycowych ekspedycji, że nie przypadkiem, akurat w tym dniu, znalazła się w Selenie.

Wie, wszystko wie!

Powoli podszedł do obu dziewcząt, które stały w tym samym miejscu, co poprzednio. Widocznie Gianeya chciała, żeby na niego zaczekać.

I nieoczekiwana myśl, która przyszła mu do głowy, sprawiła, że na chwilę się zatrzymał.

„A może by tak zapytać Gianeję wprost? Ucieszyła się na mój widok, odnosi się do mnie zupełnie inaczej niż do innych ludzi. Hiszpańskie słowa przyjęła w ten sposób, jak gdyby ich oczekiwała ode mnie i nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie. Zaryzykować?”

Poczuł, że niepotrzebnie zadaje sobie to pytanie, że już postanowił. Nie ma sensu powstrzymywać się i czekać nie wiadomo na co. Stone i Rada Naukowa są zbyt ostrożni. Co złego może się zdarzyć? Najwyżej nie odpowie i tyle.

„Ech, niech się dzieje, co chce” — pomyślał.

— Gianejo, bardzo proszę, żeby pani odpowiedziała mi na jedno tylko pytanie — zdenerwowany Muratow nie zauważył, że mówi po hiszpańsku. — Odpowiedź pani jest bardzo ważna dla nas wszystkich, a zwłaszcza dla mnie osobiście. Jeżeli uważa się pani za mojego przyjaciela, to powinna pani odpowiedzieć. Czy sztuczne sputniki, które wysłali pani rodacy, znajdują się teraz na Księżycu?

Marina wysłuchiwała tego nieoczekiwanego pytania z ogromnym zaskoczeniem, ale i ukrytą radością. Jej brat zdecydowanie i prosto przeciął splątany węzeł.

Gianeya spuściła głowę. Zrozumiała wszystko to, co powiedział Wiktor, i nie ukrywała, że rozumie. Było widać, że toczy z sobą ciężką walkę.

A kiedy w końcu podniosła głowę i popatrzyła na Wiktora, zobaczył, że długie, ciemne

oczy są pełne łez. Dotąd nikt jeszcze nie widział płaczącej Gianei.

— Tak — odpowiedziała ledwo słyszalnym szeptem.

Muratow wstrzymał oddech, wzruszenie dławiło mu gardło.

— Dlaczegoż pani milczała? — zapytał z trudem. — Przecież wiedziała pani, Gianejo, jakie to dla nas ważne.

Odpowiedziała jeszcze ciszej

— Bałam się. Już dawno chciałam o tym powiedzieć, ale pan się nie zjawiał. Teraz już się nie boję. Dawno zrozumiałam, że rację miał Rijageja. Zgubiłam siebie, ale ocalam was.

Gianeja mówiła po hiszpańsku biegle, jednak nie tylko Marina, ale również Wiktor od razu rozumieli, że nie posługuje się współczesnym językiem hiszpańskim.

„Trzeba zbadać, kiedy w Hiszpanii mówili tak, jak mówi Gianeja” — pomyślała Muratowa.

V

Siódma ekspedycja, której celem było poszukiwanie tajemniczych sputników-zwiadowców, została zorganizowana bardzo szybko. Teraz, bardziej niż kiedy indziej, należało się śpieszyć. Na kosmodromie, po okresie długiego i męczącego milczenia, Gianeja dodała kilka słów, które miały olbrzymią wagę dla Służby Kosmosu.

Odpowiedziawszy zapewne nieoczekiwanie dla siebie samej na pytanie Muratowa, Gianeja zapragnęła szybko odjechać. Wyraźnie bała się dalszych pytań z jego strony, może żałowała swojej szczerości, była roztrzęsiona i bardzo zdenerwowana.

Muratow odprowadził dziewczyny do wuczemobilu.

Rozumiał, że nie wolno jej o nic pytać, że nie odpowie na żadne więcej pytanie.

I nagle Gianeja powiedziała to, o co chciał ją zapytać.

Siedząc już w maszynie wyciągnęła do niego rękę, po raz pierwszy odpowiedziała na uścisk i uśmiechnęła się trochę wstydliwie i nieśmiało.

— Powinam was uprzedzić — powiedziała tak cicho, że zaledwie usłyszał. — Bądźcie bardzo ostrożni. Nasze — wymówiła długie słowo w swoim języku, oznaczało ono oczywiście „sputniki” lub inną, bardziej dokładną nazwę zwiadowców — są niebezpieczne i nie należy się do nich przybliżać. Zniszczcie je. I śpieszcie się, śpieszcie się!

Opadła na siedzenie i zamknęła oczy. Westchnęła tak głęboko, że usłyszał dźwięk podobny do jęku. Fałdy cierpienia zarysowały się wokół ust i cała twarz Gianei jakby się nagle postarzała.

— Jedźmy! — szepnęła cicho Marinie.

Wuczemobil ruszył z miejsca; Wiktor został sam.

Długo patrzył w ślad za maszyną. Uspokoił się, serce biło rytmicznie.

A więc pełny sukces! Nieprzemysłany i ryzykowny wyskok przyniósł bezcenne zwycięstwo. Sputniki znajdują się na Księżycu. I sama Gianeja radzi, żeby je zniszczyć i nie zbliżać się do nich.

Zniszczyć!

Teraz dopiero przypomniał sobie, że nie zapytał o najważniejsze — gdzie należy szukać sputników, w jakim miejscu położona jest baza. Chyba Gianeja o tym nie wie. A jeżeli wie, to powie potem. Odpowiedziała na zasadnicze pytanie.

Muratow wyruszył na poszukiwanie Stone'a.

Przedstawiciel Rady Naukowej i uczestnicy „Szóstej” jeszcze nie odjechali z kosmodromu. Wiadomość, którą przyniósł Muratow, przyjęto ze zdziwieniem i radością.

— Postąpił pan słusznie — powiedział Stone. — Widocznie byliśmy zbyt ostrożni. Należało się spytać wcześniej.

— To prawda — odpowiedział Muratow — ale zapytać powinienem był właśnie ja, a nie ktokolwiek inny. Gianeya powiedziała takie zdanie: „Dawno chciałam powiedzieć, ale pana nie było”. Ona, nie wiadomo czemu, chciała powiedzieć to właśnie mnie.

— Podejrzana sympatia — nie wytrzymał Siergiej.

Muratow nie zaszczycił przyjaciela nawet spojrzeniem.

— Należy zacząć od początku, jak można najszybciej — powiedział Stone. — Teraz możemy się nie rozpraszać, a szukać tylko w kraterze Tycho. Słowa Gianey potwierdziły prawidłowość obliczeń. Będziemy się ich trzymać. To źle, że zgodnie z pierwotnym planem nie zniszczyliśmy sputników, kiedy znajdowały się na orbitach.

— Moim zdaniem, to wcale nie jest źle, ale właśnie dobrze — zauważył Sinicyn. — Trzeba zniszczyć nie tylko sputniki, ale ich bazę. A wtedy nie podejrzewaliśmy nawet, że ona istnieje.

— Zniszczyć jest łatwo — powiedział ktoś z załogi „Szóstej”. — Ale w jaki sposób znaleźć? Próbowaliśmy sześć razy.

Stone zwrócił się do Muratowa.

— A może — powiedział — spróbujcie jeszcze raz porozmawiać z Gianeją?

— Oczywiście, ale uważam, że jest to niepotrzebne. Wydaje mi się, że Gianeya powiedziała wszystko, co wie. A przyszło jej to niełatwo. Nie mogę zapomnieć wyrazu jej twarzy. Bardzo niepokoi mnie zdanie, które wypowiedziała: „Zgubiłam siebie, ale ocalam was”.

— Tak, to zdanie posiada sens. Niewątpliwie. Jednak u nas na Ziemi Gianey nic nie zagraża. Widocznie chciała powiedzieć, że słowa te zamykają jej drogę powrotu do ojczyzny. Jeszcze się nad tym zastanowimy. I trzeba się będzie potężnie pogłowić. Bardziej niepokoi mnie druga połowa zdania: „Ocalam was”. Co ona miała na myśli?

— To może znaczyć tylko jedno — powiedział Muratow. — Sputniki zagrażają ludzkości Ziemi. Gdyby pan słyszał, jakim tonem to powiedziała: „Zniszczcie je!” — nie miałby pan żadnych wątpliwości.

— I tak nie mam wątpliwości — odpowiedział Stone. — Siódma księżycowa wystartuje jak najszybciej.

Po kilku godzinach Muratow przeprowadził z siostrą rozmowę przez radiofon.

Marina powiedziała, że Gianeya od razu po przyjeździe do domu położyła się do łóżka i prosiła, żeby jej nie niepokoić.

— Wygląda na spokojną, ale jest smutna. Coś ją gnębi, potrzebny jest jej spokój. Chyba żałuje, że zrzuciła maskę.

— Po jakimu rozmawiacie? — zapytał Muratow.

— Jak zawsze, w języku Gianey. Nie próbuję zagadywać do niej po hiszpańsku.

— Nie musisz. Sama szybko przejdzie na hiszpański. Zobaczysz!

— Gianeya chce dzisiaj wyjechać.

— Dokąd?

— Pytałam ją o to. Odpowiedziała, że jest jej wszystko jedno, byle jak najdalej stąd. Mam wrażenie, że chce uciec sama przed sobą, a może i przed tobą.

— Tak, rozumiem. To reakcja. Gianeya nie miała prawa powiedzieć tego, co powiedziała. I dręczy się, ponieważ złamała prawo swojej ojczyzny. Ale przecież sama słyszałaś, jak powiedziała, że od dawna postanowiła być szczerą i że na przeszkodzie stała jej moja nieobecność. Jak to wyjaśnisz?

Marina chwilę milczała.

— Teraz jest jasne — powiedziała po chwili — dlaczego tak uparcie domagała się spotkania z tobą. Ale sama nie rozumiem, dlaczego postanowiła powiedzieć to właśnie tobie.

Być może gra tutaj jakąś rolę twoje podobieństwo do niej.

— To zbyt błahy i zbyt zewnętrzny powód, by mógł odegrać w tak ważnej sprawie istotną rolę. A może Gianeya mnie lubi — Muratow uśmiechnął się, przypomniawszy sobie replikę Siergieja na kosmodromie.

— Może masz rację — zupełnie poważnie odpowiedziała Marina.

— Bzdura! Dowiemy się kiedyś, dlaczego ma do mnie tak szczególny stosunek. To kolejna zagadka Gianei. A więc dzisiaj odjeżdżacie?

— Tak. Zaproponowałam jej zwiedzanie Wysp Japońskich. Jeszcze tam nie była. I od razu zgodziła się. Widocznie chce jak najszybciej stąd wyjechać.

— Czy mam was odprowadzić.

— Raczej nie. Wydaje mi się, że Gianeya nie chce ciebie widzieć. Ale może się myłę.

— Nie mylisz się — odpowiedział Muratow. — Spytałem machinalnie, nie myśląc. Szczęśliwej drogi! Jeszcze dwa słowa. Przewiduję, że Gianeya bardzo szybko znowu sobie o mnie przypomni. Przemówiła i będzie chciała, powinna chcieć powiedzieć więcej.

Wyłączył radiofon.

Wydarzenia rozwijały się w błyskawicznym tempie.

Muratow nawet nie dopuszczał myśli, że Marina może mieć rację i że szczególny stosunek Gianei do niego tłumaczy się tak prosto. Miłość, tak jak się ją rozumie na Ziemi, do istoty z innej planety, absolutnie obcej, wydawała się mu niemożliwa. On sam nie mógłby nigdy pokochać Gianei tak jak kochałby ziemską kobietę.

Co znaczą jej słowa: „Rijageja miał rację!”? Zrozumiała to, jak powiedziała — dawno, ale nie od razu. Kim jest Riageja czy też Rijageja, jak go nazwała? Prawdopodobnie należy do postępowych myślicieli w jej ojczyźnie i Gianeya uznała prawdziwość jego poglądów. A więc przedtem ich nie uznawała. Jak się połapać w tej gmatwaninie. Ale ona opowie wszystko sama.

Rozumiał, że nie może liczyć na szybką rozmowę. Nie wiadomo, ile czasu będzie potrzebowała Gianeya, żeby się zupełnie uspokoić, przemyśleć to, co się zdarzyło, wyznaczyć wszystko do końca.

Wierzył, że się nie mylił, mówiąc Marinie, że Gianeya na pewno przemówi. Tak powinno być i tak będzie!

Tego samego wieczoru przyszedł list od Gianei.

Kartka włożona do koperty wyjaśniała, że Gianeya napisała go przed samym odjazdem do portu lotniczego.

Jest już całkiem spokojna — donosiła Marina. — Zachowuje się jak zwykle, żartuje i mówi tylko po hiszpańsku. Nie jestem z tego zbyt zadowolona, ale Gianeya odgadła to i przyrzekła — że każdego dnia będzie mi udzielać lekcji swojego języka. I zdaje się, że zabiera się do tego całkiem serio. Nareszcie!

List Gianei był krótki, napisany równym, czytelnym charakterem pisma i nie było w nim ani jednego błędu gramatycznego.

Muratow był tak zdumiony, że nie od razu zrozumiał treść listu. Gianeya nie tylko mówiła po hiszpańsku, ale również potrafiła pisać... A więc znała język tak jak rodowici Hiszpanie. A przecież nauczyła się go na innej planecie!

Komu i po co było to potrzebne?...

List Gianei, bardziej jeszcze, niż to co mówiła, dowodził, że zna język starohiszpański, a nie współczesny. Muratow wiedział, że w Instytucie Lingwistyki nie udało się określić, z jakiej epoki pochodzi. Gianeya nie mówiła poprawnie. Być może był to hiszpański z końca XIX wieku, ale równie dobrze mógł istnieć dużo wcześniej, jako miejscowe narzecze. Zagadka pozostawała zagadką.

Przeczytał list jeszcze raz.

Panie Wiktorze! — pisała Gianeja. — Zmusił mnie Pan do powiedzenia więcej, niż chciałam. Ale nie żałuję tego. Ludzie Ziemi nie zasługują na los, który im chciano zgotować. Powiedziałam i powinnam to uzupełnić, inaczej moja informacja będzie dla ludzi bezużyteczna. To, czego szukacie, jest niewidoczne dla oczu człowieka Ziemi. Mówił mi o tym Rijageja. Co należy robić — nie wiem. Pomyślcie sami.

Gianeja

Napisała swoje imię tak, jak je wymawiano na Ziemi.

„No, teraz wiemy wszystko” — pomyślał Muratow.

Czytał właśnie list po raz trzeci, kiedy przyjechał Siergiej.

W dwadzieścia minut później w pokoju Muratowa zjawił się Stone.

Ani on, ani Sinicyn nie znali hiszpańskiego. Muratow przetłumaczył im list.

— To można było przewidzieć — powiedział Siergiej. — Wiedzieliśmy już wcześniej, że sputniki są niewidzialne. Z tego wynika, że baza jest także niewidzialna.

— Być może właśnie dlatego w żaden sposób nie możemy jej znaleźć — powiedział Stone. — Szukamy we wnętrzu, a baza być może jest położona na powierzchni. W rejonie krateru Tycho znajduje się bardzo dużo głębokich, rozległych rozpadlin, niedostępnych płaskowyżów górskich, kotlin. Mogli założyć swoją bazę w dowolnym miejscu.

— Na Księżycu nie ma opadów, nie ma wiatrów — dodał Siergiej.

— Nic więc, oprócz meteorytów, nie mogło uszkodzić aparatury.

— Znaczący to jedynie, że baza jest chroniona, na przykład, przez przezroczysty albo i niewidzialny dach. Jedno jest pewne — powiedział Stone — szukać należy tam, gdzie sami umieścilibyśmy bazę, będąc na ich miejscu, gdzie wydawałoby się, że niczego nie ma, ale miejsce jest dogodne.

— Przyszło mi jeszcze coś do głowy — po chwili zastanowienia powiedział Muratow. — Sputniki i baza mogą być niewidoczne dla naszych oczu, jak pisze Gianeja, ale nie mogą być absolutnie przezroczyste. Przypomnijcie sobie, na „Titowie” widzieliśmy, jak sputnik zasłaniał gwiazdy znajdujące się za nimi. Nie jest więc przezroczysty. Na Księżycu również powinien zakrywać to, co się znajduje za nim. Stąd płynie dla mnie logiczny wniosek — baza jest ulokowana tak, by za nią znajdowało się miejsce nigdy nie oświetlone przez Słońce. Nie jest wykluczone, że cała baza położona jest w księżycowym cieniu.

— Masz rację, Wiktorze! — z aprobatą powiedział Sinicyn. — Cień księżycowy to pełny mrok. Co prawda, oświetlaliśmy reflektorami podobne miejsca na niedostępnych płaskowzgórzach i w rozpadlinach. Jednak robiliśmy to po prostu dla zasady i bez przekonania, uważaliśmy przecież, że baza na pewno jest położona wewnątrz Księżyca. Dlatego mogliśmy jej nie zauważyć. Poza tym lataliśmy nad górami na raketach, które są zbyt szybkie. A tam, gdzie nie ma powietrza, nie można również użyć raketoplanów.

— Czyżby? — Muratow uśmiechnął się.

— W żaden sposób nie mogę zrozumieć — z niezadowoleniem powiedział Stone — tego zwyczaju wiecznego naśmiewania się z siebie wzajemnie. Jesteście przecież poważnymi ludźmi!

— To nam zostało z młodości — odpowiedział Siergiej. — Ale nigdy się nie obrażamy na siebie.

— Jeszcze by tego brakowało, żebyście się obrażali! Wnętrze krateru zostało zbadane. Teraz będziemy szukali wyłącznie na powierzchni. Siódma ekspedycja wystartuje na Księżyc za dwa dni.

— Tak szybko? — zdziwił się Sinicyn. — O ile wiem, statek nie jest jeszcze całkowicie wyposażony.

— Oczywiście nie będzie to statek, ale łaziki.

— Właśnie je miałem na myśli.

— Za dwa dni wszystko będzie gotowe. Biorę to na siebie i sam wezmę udział w ekspedycji. Jeśli wierzyć słowom Gianei, mamy mało czasu. Cokolwiek by się nie stało, musi się nam udać.

Muratow wahał się zaledwie kilka sekund.

— Jeżeli można, zabierzcie mnie ze sobą — powiedział.

VI

— Chwileczkę! — powiedziała Marina. Podbiegła do krzewu i zerwała dużą żółtą różę. Wróciwszy na taras, wetknęła kwiat we włosy Gianei.

— Teraz jest zupełnie dobrze. Wyglądasz jak prawdziwa Japonka, tylko bardzo wysoka. Japonki nie są takie duże. Świetnie ci w tym stroju. Weź parasol i przejdź się po ogrodzie. A ja zrobię zdjęcie. Dopiero zdziwi się Wiktor, kiedy je zobaczy!

Gianeja uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Było jej bardzo dobrze w długim do pięt kimonie, haftowanym w czarne smoki na żółtym tle. Podobieństwo do Japonki podkreślały ciemne oczy, długie i przez to bardziej wąskie niż były w rzeczywistości. Co prawda żółty kolor stroju podkreślał zielonkawy odcień skóry, jednak Marina starała się tego nie zauważać.

Zamieszkały w maleńkim, „lilipucim” — jak wyraziła się Gianeja — domku, u podnóża słynnej Fudzijamy, uprzejmie oddanym do ich dyspozycji przez poprzedniego mieszkańca, gdy tylko okazało się, że miejsce to spodobało się Gianei.

Zawsze i wszędzie ludzie Ziemi odnosili się do gościa z Kosmosu niezwykle uprzejmie. Podobnie było w Japonii. Wystarczyło, żeby Gianeja powiedziała, że podoba się jej narodowy strój Japonek, który zobaczyła w muzeum, a już następnego ranka przysłano kimono uszyte specjalnie na jej miarę.

Gianeja natychmiast włożyła je na siebie.

Było widać, że podoba jej się ten kraj, i Marinie wydawało się, że to, co je otacza, w jakiś sposób odpowiada gustom i przyzwyczajeniom Gianei.

Gość z wyraźną radością przyjął propozycję zamieszkania w tym domu, stojącym samotnie z dala od innych budowli.

Czy szukała samotności? To było możliwe, jeżeli wziąć pod uwagę stan, w jakim tutaj przyjechała. Jednak Marina, nie wiadomo dlaczego, była przekonana, że powód jest inny. Jaki? Nie wiedziała, ale w żaden sposób nie mogła pozbyć się wrażenia, że Gianeja po raz pierwszy na Ziemi czuje się tutaj „jak w domu”. Chociaż domek stał na ustroniu i był maleńki, nie przypominał bynajmniej siedziby pustelnika. Był wyposażony we wszelkie wygody, łącznie z automatycznym dostarczaniem do domu wszystkich niezbędnych rzeczy. Miał oczywiście również basen, co prawda na zewnątrz, pod gołym niebem.

Przytulny taras i tradycyjny japoński sad wiśniowy stwarzały doskonałe warunki dla odpoczynku, którego widocznie pragnęła Gianeja.

Również Marina, która także miała ochotę odpocząć po nieprzerwanych podróżach ostatniego półtora roku, z zadowoleniem myślała o tym, że spędzi tutaj dłuższy okres czasu.

Dzisiaj mija drugi dzień ich pobytu.

Teraz rozmawiały wyłącznie po hiszpańsku. Nareszcie Marina mogła swobodnie i o wszystkim rozmawiać z przyjaciółką.

Marina postanowiła powoli i niepostrzeżenie wybadać Gianeję. Pojawienie się w rozmowie imienia Wiktora nie było bynajmniej przypadkiem. Stosunek Gianei do brata bardzo ją interesował, a ponieważ była dziewczyną, „problem miłości” traktowała nie tak sceptycznie jak Wiktor.

Wydawało się, że Gianeja nie zwróciła na to uwagi.

— Prawda? — zapytała. — Dobrze mi w tym stroju?

Marina roześmiała się.

— Przyznaj się, że nie o to chodzi, czy ładnie wyglądasz w tym stroju.

Gianeja westchnęła.

— Tak, o to mi chodziło — odpowiedziała szczerze. — Ale zapomniałam, że nie jestem ziemską kobietą. Komu może zależeć na ocenie, czy jestem ładna, czy nie. Jestem obca.

— O, nie! Jest zupełnie inaczej. Jesteś taka sama jak wszystkie inne kobiety. Jak ja. Tyle tylko, że ja jestem brzydsza.

— To nie o to chodzi — twarz Gianeji posmutniała. — I nawet ty, Marino, nie mówisz prawdy. Nie jestem taka sama. Zewnętrzna forma ciała to jeszcze nie wszystko. Jesteśmy zupełnie różne. Wiem o tym. — I pomilczawszy dodała: — Jestem skazana. Powinnaś to zrozumieć. Tak jak i u was, i w naszym świecie istnieje miłość, a powołaniem kobiety jest posiadanie dzieci.

— Przecież wrócisz do swojej ojczyzny. Opowiedz o wszystkim, a ludzie Ziemi pomogą ci wrócić do swoich.

— Nigdy nie wrócę. Sama odcięłam sobie drogę powrotu. Zdrady nigdy nie można wybaczyć. U nas nie wybaczą jej nigdy i nikomu. I to jest oczywiście słuszne.

Gwałtownie odwróciła się i zniknęła w głębi ogrodu.

Marina nie mogła jednak na tym zakończyć rozmowy. Podjęła ją w godzinę po kąpieli, gdy jadły na tarasie śniadanie.

— Nie złość się, Gianejo — powiedziała pieszczotliwie dotykając ręki przyjaciółki — ale chciałabym jeszcze raz wrócić do tego tematu. Powiedziałaś, że zdrady się nie wybacza. Tak, zgadzam się z tym, ale nie sądzę, byś popełniła zdradę. Dzięki tobie wiemy, że sputniki są na Księżycu i że trzeba je zniszczyć. Widocznie są one dla nas niebezpieczne. Ten postępek został podyktowany humanitaryzmem. Nie ma żadnej takiej etyki, wedle której można byłoby go potępić. Żadnej — ani waszej, ani naszej. Przecież tak samo i wy, i my jesteśmy istotami rozumnymi. W czym więc kryje się zdrada? Może pokrzyżowało to plany twoich rodaków, ale przecież były to plany okrutne i niegodne istot rozumnych. I w twojej ojczyźnie nie wszyscy myślą jednakowo. Choćby Rijageja.

Gianeja podniosła głowę.

— Rijageja — powiedziała. — Co o nim wiesz?

— Bardzo niewiele, ale to wystarczy. Przemówiałaś, ponieważ uważasz, że miał rację. Czyż nie tak?

Gianeja długo milczała.

— Wiem — powiedziała — że postąpiłam słusznie, i że Rijageja pochwaliłby mój postępki. Ale to ciężko występować przeciwko własnej ojczyźnie. Zrozum!

— Rozumiem dobrze. Na twoim miejscu Rijageja zrobiłby to samo.

Przez twarz Gianeji przemknął cień.

— Nie — odpowiedziała cicho. — On postąpił zupełnie inaczej.

Długo siedziała nieruchomo, zamknęła oczy, jakby pogrążona we wspomnieniach. — On postąpił zupełnie inaczej — powtórzyła. — Uważam, że popełnił błąd. Powinnaś była zrobić to, co zrobiłam, a nie to, co on zrobił. Jestem kobietą. — I po dłuższym milczeniu nieoczekiwanie dodała: — Twój brat jest zadziwiająco podobny do Rijagei. To podobieństwo zaskoczyło mnie już w pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam. Dziwi mnie do dziś.

— To dlatego tak koniecznie chciałaś go zobaczyć?

— Tak, oczywiście. Jakiż mógł być inny powód?

Ta odpowiedź sprawiła Marinie przykrość. Wszystkie jej marzenia o tym, że Gianeja pokocha Wiktora i poprzez tę miłość wejdzie do społeczeństwa ziemskich ludzi, runęły w jednej chwili.

— Czy sprawiłam ci przykrość? — zapytała Gianęja i z kolei ona dotknęła dłoni Mariny. — Może cię to obraziło?

— Cóż mogło mnie obrazić?

— To, co powiedziałam. Być może, jest ci przykro, że twój brat jest podobny do mego współplemieńca?

Marinie zupełnie nie chciało się śmiać, jednak zmusiła się do śmiechu.

— W tym nie ma, nie może być nic przykrego czy obraźliwego — powiedziała. — Porównałaś mojego brata do człowieka, a nie do małpy.

I Gianęja się uśmiechnęła.

— Jeszcze kiepsko znam ziemskich ludzi — powiedziała. — Jesteście bardzo dobrzy. Lepsi od nas.

— Tym bardziej więc — podchwyciła Marina — nie powinnaś się dręczyć „uratowaniem” nas.

Mimo woli wymówiła to słowo z lekką ironią. Gianęja natychmiast wyczuła różnicę tonu.

— Nie wierzysz, że ratuję ludzi Ziemi?

Marina zrozumiała, że musi odpowiedzieć zupełnie szczerze.

— Nie — odpowiedziała. — Nie wierzę w to. Bardzo wysoko cenię twoje dobre chęci, jednak nie wierzę, żeby ktokolwiek mógł nam zaszkodzić. Nie doceniasz nas, Gianęjo. Nie znasz naszej nauki, naszej techniki. Potrafimy stawić czoła każdemu niebezpieczeństwu.

— Jeśli jest znane.

— Ale przecież właśnie tego nie chcesz nam powiedzieć.

— Dlatego, że sama nie wiem — odpowiedziała Gianęja.

Stone dotrzymał słowa. Trudne i skomplikowane przygotowania Siódmej Ekspedycji Księżycowej zajęły zaledwie dwa dni. Gwiazdolit, którym dowodził Jurij Wieriesow, oczekiwał na pirenejskim kosmodromie na pasażerów. Na pokład załadowano nowe, udoskonalone łaziki, wyposażone w zupełnie inne, niż dotychczas, urządzenia i automaty cybernetyczne. Cel wyprawy był odmienny.

Muraton przyleciał w przeddzień startu. Był najgorzej ze wszystkich uczestników Siódmej Ekspedycji przygotowany do zbliżającej się pracy, a bardzo nie chciał być biernym obserwatorem, pytać na każdym kroku, co się dzieje. Wieriesowa znał od dawna i miał nadzieję, że komendant statku, który brał udział we wszystkich sześciu ekspedycjach, potrafi w ciągu jednego dnia dokładnie zapoznać go z techniką poszukiwań i metodami zniszczenia bazy.

Wieriesow życzliwie przyjął pierwszego pasażera. Od razu zrozumiał, czego pragnie dowiedzieć się od niego Muraton i chętnie zgodził się mu pomóc. Zasiedli już rano i gorliwie pracowali do późnego wieczora.

Było w pół do dwunastej, kiedy zmęczony Muraton rzucił się na oparcie fotela i powiedział:

— Teraz mogę być w jakiś sposób pomocny w pracy. W każdym razie będę rozumiał, o co chodzi. Włączono mnie do składu ekspedycji jedynie z uwagi na poprzednie „zasługi”, było mi więc trochę głupio. Dziękuję, Jurij!

— Nie masz za co dziękować, połóż się i porządnie wyśpij. Jeszcze nie byłeś na Księżycu, więc lot powinien cię zainteresować. Dobranoc!

Wieriesow wrócił na gwiazdolit, by tam spędzić noc.

Muraton został sam.

— Spać, tak, spać — powiedział głośno i zadowolony z siebie słodko się przeciągnął.

Nieoczekiwanie zastukano do drzwi. Stukanie było ciche i ostrożne. Widocznie ten, kto stał za drzwiami — nie był pewny, czy Muraton śpi, czy nie.

— Proszę — powiedział.

I natychmiast, niczego nie rozumiejąc, zerwał się osłupiały, zmieszany.

W drzwiach stała Gianeja.

Wiedział, że znajdowała się na Wyspach Japońskich, jeszcze wczoraj wieczorem rozmawiał z Mariną przez radiofon, pytał, jak gość się czuje, co mówi i robi. Marina ani słowem nie wspomniała o wyjeździe na Półwysep Pirenejski, odwrotnie, powiedziała, że Gianeja zamierza spędzić w Japonii dłuższy okres czasu.

I oto!

Muratow szybko się opanował i zaprosił Gianeję do środka. Podążyła mu rękę, odpowiadając znowu na uścisk, i usiadła nie czekając na zaproszenie. Wydawało się, że nie widziała nic niezwykłego w swoim niespodziewanym przybyciu.

Była sama, bez Mariny.

— Przyleciałam tutaj pół godziny temu — powiedziała Gianeja. — Bez trudu się dowiedziałam, gdzie się pan zatrzymał.

Mówiła po hiszpańsku.

— Dlaczego jest pani sama? — zapytał Muratow.

— Do rozmowy z panem nie muszę mieć tłumacza — po prostu odpowiedziała Gianeja. — Pańska siostra zmęczyła się i udało mi się ją namówić, żeby puściła mnie samą. Powinnam przyzwyczajać się do obywatwa się na Ziemi bez przewodnika. Spędzę tu przecież całe życie.

Kiedy mówiła te słowa, cień smutku przemknął przez jej twarz. Gianeja energicznie potrząsnęła głową.

— Teraz już pójdę — powiedziała. — Jest późno i musi pan odpocząć przed lotem. Przyleciałam tutaj, ponieważ chcę polecieć na Księżyc razem z waszą ekspedycją.

— Z nami?! — wykrzyknął Muratow. — Po co?

Wyrwało mu się to mimo woli. Natychmiast zrozumiał plany Gianej.

— Dlatego, że trzeba być konsekwentnym zawsze i we wszystkim — odpowiedział gość. — Niech pan sobie wyobrazi, że dzisiaj w południe nawet nie myślałam o locie na Księżyc. To pańska siostra jest winna, że przyszło mi to do głowy.

— Ona to pani poradziła?

Znowu, tak jak niedawno na seleńskim kosmodromie, na twarzy Gianej pojawił się lekceważący uśmiech. Muratow zrozumiał, że uśmiech odnosi się nie do Mariny, ale do niego. Gianeję zdumiewała jego niedomyślność.

„Wcale nie potrafię z nią rozmawiać — pomyślał Muratow. — Zapominam, że nie jest ziemską kobietą, że operuje innymi pojęciami. I sam jestem winien, że ma o mnie złe mniemanie”.

Miał ochotę powiedzieć jej, że rozumie, czym się kieruje w swoim postępowaniu, lecz powstrzymał się pojmując, że w ten sposób tylko pogorszy sytuację.

— Nikt mnie nie namawiał — powiedziała Gianeja — i nikt mi niczego nie doradzał. Trzeba wiedzieć to, co wiem ja i czego nie może wiedzieć nikt na Ziemi. Skądże Marina mogła wiedzieć, że potrafię pomóc waszej ekspedycji? O tym wiem tylko ja.

— Chce nam pani pomóc w znalezieniu sputników?

— Dziwnie je nazywacie. Jednak naszej nazwy nie można przetłumaczyć na wasz język. Tak, chcę wam pomóc i potrafię to zrobić. Pańska siostra potrafiła przekonać mnie, że jest to moim obowiązkiem. Trzeba być konsekwentnym — powtórzyła Gianeja. — To, co chcecie znaleźć i co musicie znaleźć jak najszybciej, jest dla was niewidoczne, jednak ja potrafię to zobaczyć. Nasze oczy widzą więcej od waszych. Wiem o tym już od dawna. Jak pan myśli, wezmą mnie czy nie?

— Oczywiście, że wezmą. Nawet z radością. Zaraz zamelduję Stone'owi o pani życzeniu. On jest kierownikiem ekspedycji — wyjaśnił Muratow.

— Wiem.

Muratow wykorzystał nadarzającą się okazję.

— Tak — powiedział. — Zapomniałem. Zawsze wie pani dobrze, kto jest najważniejszy w danej chwili.

Zorientował się, że Gianeya zrozumiała jego aluzję.

— Czytałam o tym, a właściwie przeczytała mi to Marina. W Japonii nie miałyśmy niczego w języku, który znam.

Wstała.

— Dziękuję, Gianejo — powiedział Muratow. — Dziękuję w imieniu wszystkich. Bardzo mnie cieszy, że pani nas inaczej traktuje.

— Wszystko mogło zmienić się już wcześniej. To pańska wina, Wiktorze. Nie trzeba było mnie lekceważyć.

Nie znalazł żadnej odpowiedzi na te słowa.

— Sądzę, że znajdzie pan dla mnie skafander. Jesteśmy prawie tego samego wzrostu.

— Oczywiście, że się znajdzie. Oglądała już pani nasze kosmiczne skafandry na Hermesie. Czy są podobne do waszych? — Muratow nie mógł ustrzec się przed pokusą, by jeszcze raz spróbować szczęścia.

Tym razem udało mu się osiągnąć cel.

— Niezupełnie — odpowiedziała Gianeya. — Ale ogólnie rzecz biorąc podobne.

— A myśmy myśleli, że pani złocista suknia jest przeznaczona do lotów.

— Co za absurd — ostro odpowiedziała Gianeya. — Czyż można być tak ubranym w czasie lotu?

— Dlaczego więc zjawiła się pani u nas właśnie w takim stroju?

Czekając na odpowiedź, wstrzymał oddech. Czy wyjaśni się jedna z zagadek, czy nie?

Głęboko się rozczarował, Gianeya zamiast odpowiedzieć na pytanie, powiedziała:

— Do jutra! Nie musi mnie pan odprowadzać. Wiem, że macie na Ziemi taki dziwny zwyczaj. Ale mam bardzo blisko do domu.

— Gdzie się pani zatrzymała?

— Pokazali mi dom od razu po przylocie. Nie wiem, jak nazywa się ta ulica, ale to sąsiedni budynek — popatrzyła na niego znanym mu już uważnym spojrzeniem. — Powiedział pan, że cieszy go zmiana mego stosunku do ludzi. To nieprawda. Traktuję ludzi tak samo jak przedtem. Jednak wiele zrozumiałam. I nie będę tłumaczyć, co właściwie... I tak pan tego nie zrozumie.

W tym momencie przypomniała Muratowowi dawną Gianeję, „dumną i wyniosłą”, taką, jaką wydawała się wszystkim na Hermesie.

— A może spróbuje pani — uśmiechnął się. — Być może jestem w stanie zrozumieć.

— Pan? — podkreśliła to słowo. — Możliwe. Chciałabym sądzić, że tak — dodała. — Powinnam tak myśleć. Jednak chciałabym, żeby wszyscy mnie zrozumieli. Do widzenia!

Zostawszy znowu sam, Muratow długo siedział w fotelu pogrążony w zadumie. Próbował zrozumieć, co Gianeya chciała powiedzieć ostatnim zdaniem.

Zrozumiał to dopiero znacznie później.

VII

Oko człowieka odbiera stosunkowo niewielką część widma energii promienistej, ograniczoną z jednej strony czerwonymi, a z drugiej — fioletowymi falami. Ta część nosi nazwę „światła widzialnego”. Promienie podczerwone i nadfioletowe, które różnią się od widzialnych tylko długością fali, nie działają na nerwy wzrokowe i nie dają odczucia światła,

choć w swojej istocie niczym nie różnią się od widzialnych.

Oko jest organem czułym i wystarczająco precyzyjnym, ale nie należy sądzić, że jest doskonałe. Mogą istnieć inne organy wzroku, zdolne do odbierania jako światła szerszego pasma częstotliwości. Na Ziemi wiele tak zwanych „stworzeń nocnych”, na przykład sowy i puchacze, widzi promienie podczerwone nagrzanych ciał i dzięki temu może polować w ciemności.

Wiedzano, że oczy Gianej widzą dalej niż oczy ludzi Ziemi. Teraz po tym, co powiedziała Muratowowi, stało się oczywiste, że różnią ją od „Ziemiaków” nie tylko ostrość wzroku, ale i to, że odbiera jako światło również energię promienistą, niedostrzegalną dla człowieka Ziemi.

Ale w jakim zakresie? Jakie pasmo widma jest dostępne dla jej wzroku? Czy widzi dłuższe, czy krótsze fale? A może zarówno jedne jak i drugie?

Uczestnicy Siódmej Ekspedycji z zadowoleniem przyjęli Gianeję do swego grona. Jej udział w poszukiwaniach zwiększał znacznie szanse powodzenia, nawet jeśli nie wiedziała dokładnie, w którym miejscu znajduje się baza.

Od rozmowy Muratowa z Gianeją do chwili startu gwiazdolotu upłynęło niewiele czasu, zaledwie jedna noc, ale „odkrycie” zdążyło już obiecać cały świat. Wcześniej rano znano już opinię uczonych na temat wzroku Gianej. Ogólne podobieństwo organizmu Gianej do organizmu ludzi Ziemi kazało przypuszczać, że jej oczy nie różnią się na tyle od ziemskich, by mogły znosić bez uszczerbku szkodliwe dla wzroku „światło nadfioletowe”. Przypuszczenie to potwierdził fakt, że Gianeja, gdy przebywała na słońcu, zwłaszcza w południowych regionach Ziemi, nosiła ciemne okulary, tak samo, jak to robili ludzie Ziemi.

Jeżeli przypuszczenie było prawdziwe, to Gianeja mogła odegrać w ekspedycji rolę swoistego żywego podczerwonego ekranu. Taki „ekran” był oczywiście o wiele wygodniejszy i pewniejszy niż zwykła aparatura.

Marinie zaproponowano, by towarzyszyła Gianej.

— Jestem zupełnie niepotrzebna — odpowiedziała. — Gianeja może rozmawiać z Wiktorem. Ponadto jeszcze trzech innych uczestników ekspedycji włada hiszpańskim. Moja obecność nie jest podyktowana koniecznością. Na cóż w ekspedycji zbędny i niepotrzebny człowiek?

W czasie rozmowy z bratem przez radiofon Marina nawet słowem nie wspomniała o dokonanym przez siebie odkryciu, że sekret szczególnej sympatii Gianej do Wiktora przestał być zagadką. Sama nie rozumiała, dlaczego nie zwierzyła się bratu z tej tajemnicy.

Coś ją jednak powstrzymało, możliwe, że poczucie delikatności, obawa, by nie zmarł Wiktor i nie zamącić jego przyjaznego stosunku do gościa.

W wysokiej, zwiewnej figurze Gianej było coś, co przypominało tancerkę. Nawet w brązowym, dobrze skrojonym skafandrze.

— Brakuje tylko kastanietów — żartowali uczestnicy ekspedycji. — Wykapana Hiszpanka!

Na kosmodrom przybyły tłumy odprowadzających.

Muratow stojąc razem z Gianeją na dole trapu przypomniał jej większy jeszcze tłum, który witał ją na tym samym polu półtora roku temu.

— Nic wtedy nie widziałam — odpowiedziała Gianeja. — Byłam pochłonięta zupełnie czym innym.

— A więc czego się pani wtedy spodziewała? — zapytał Muratow, znów mając nadzieję, że rozwiąże jedną z zagadek. Bezskutecznie!

— Przecież i tak pan tego nie zrozumie — powtórzyła Gianeja swoje wczorajsze słowa. Muratow zamilkł.

„Miła moja, ty sama nic nie rozumiesz — miał ochotę powiedzieć. — Nic nie szkodzi, zrozumiesz we właściwym czasie”.

Nad kosmodromem rozległ się przeciągły zduszony głos syreny. Był to sygnał odlotu.

Gianeja czule objęła Marinę, która nie wytrzymała i przyleciała na Półwysep Pirenejski, żeby pożegnać się z przyjaciółką.

— Niedługo się zobaczymy — powiedziała. — Czy, kiedy powrócę na Ziemię, dalej będziemy razem?

— Oczywiście — odpowiedziała Marina. — Będziemy razem dopóty, dopóki mnie nie przepędzisz.

— Tego nie zrobię nigdy!

— No to razem się zestarzejemy! — zaśmiała się Muratowa.

— Mamy przed sobą jeszcze dużo czasu.

Marina miała wielką ochotę skorzystać z okazji i jeszcze raz zapytać Gianeję o jej wiek. Wstrzymała się jednak.

— Szczęśliwej drogi i powodzenia!

— Dla was — odpowiedziała Gianeja. — Dla ludzi Ziemi. Nie dla mnie.

— Jeszcze raz powtarzam, nie masz racji.

Gianeja nic nie odpowiedziała.

Syrena zawyła po raz drugi.

Odprawiający wsiedli do maszyn, które błyskawicznie odjechały od gwiazdolotu. Jeden po drugim uczestnicy ekspedycji znikali w wejściowej śluzie. Ostatnia weszła na statek Gianeja.

Zamknęły się hermetyczne drzwi.

Muratowa uderzył absolutny spokój dziewczyny. Nie mogłaby się tak zachowywać, gdyby nie była przyzwyczajona do lotów kosmicznych.

— Czy często opuszczała pani swoją planetę? — zapytał.

— Moją planetę? — Gianeja powtórzyła pytanie jakimś dziwnym tonem.

— Oczywiście.

— Tak, często. U nas to jest normalne — w jej głosie zabrzmiała drwina.

Wiktor nie potrafił jednak odgadnąć, z czego Gianeja drwiła. Być może z Ziemi, być może ze swej ojczyzny. Niewykluczone też, że chodziło jej o coś zupełnie innego.

Naukowe miasteczko w kraterze Tycho było zbudowane pod skalnym nawisem na północnym stoku grzbietu. Budynki stojące na otwartej przestrzeni, na przykład obserwatorium astronomiczne, otaczały pola magnetyczne i antygravitacyjne. Jednak największe i najszybsze meteoryty przebijały niekiedy ochronną warstwę, a nawet kiedyś poważnie uszkodziły główny teleskop.

Pobyt na Księżycu nie był całkiem bezpieczny, jednakże ludzie przebywali tu chętnie, rozumiejąc, jak niezmiernie istotny dla astronomii i służby radiacji kosmicznej jest brak atmosfery — przekleństwo obserwacji przeprowadzanych na Ziemi.

Na Księżycu dokonano wielu niezwykle cennych dla nauki odkryć, a to całkowicie wynagradzało ludziom ponoszone ryzyko.

Na Ziemi trwały wyteżone poszukiwania bardziej skutecznych sposobów ochrony. I na pewno już wkrótce „Selenicy” będą na Księżycu równie bezpieczni, jak u siebie w domu.

Będąc w miasteczku trudno było uwierzyć, że znajduje się ono we wnętrzu krateru. Przeciwna strona górskiego pierścienia ginęła za horyzontem i przed oczami rozciągała się równina, pocięta szczelinami i jak wysypką pokryta małymi kraterami. A za stacją, wysoko ku górze, biegnęły w czarne, usiane gwiazdami niebo wysokie, urwiste stoki, prawie białe w promieniach słońca i zupełnie czarne w cieniu. Wydawało się, że szczyty powinny ginać w obłokach, których tutaj oczywiście być nie mogło. Góry zakrywały tarczę Ziemi i żeby popatrzeć na ojczystą planetę mieszkańcy miasteczka musieli jeździć daleko na południe.

Częściowo wykute w skałach budynki mieszkalne wyposażone były we wszystkie nie-

mał wygody, które były w domach na Ziemi, łącznie z radiofonami, telewizorami i basenami kąpielowymi.

Właśnie z basenów mieszkańcy Księżyca byli najbardziej zadowoleni. Pływając, ludzie nie odczuwali sześciokrotnego zmniejszenia własnego ciężaru i mogli na chwilę wrócić do zwykłego „ziemskiego” samopoczucia.

Pracownicy obserwatorium i stacji naukowej mogli oglądać telewizję, słuchać radia i rozmawiać z każdym człowiekiem Ziemi z opóźnieniem o jedną — dwie sekundy, a więc z różnicą prawie niedostrzegalną i nie powodującą zakłóceń.

Ustawione na szczycie góry anteny telewizyjne i radiowe, doskonale „widziały” Ziemię. Z miasteczkiem łączył je pięciokilometrowy kabel. Przypadkowe meteoryty nigdy jeszcze nie uszkodziły ani kabla, ani anten.

Wieriesow wylądował w pobliżu budynków, ponieważ takie lądowanie wobec braku atmosfery nie mogło zagrażać miasteczku. Nawet nie było słychać huku silników hamujących.

Dwunastu ubranych w księżycowe skafandry ludzi — uczestników Siódmej ekspedycji — przeszło parę kroków i zniknęło w bezpiecznym domu, gdzie czekali na nich „Selenicy”. Wiedzieli o ich przylocie i jak zawsze cieszyli się, że będą mieli gości.

— Nareszcie zawitał pan w nasze progi — powiedział do Stone'a kierownik naukowej stacji krateru Tycho profesor Tokariew. — Najwyższy czas, żeby skończyć z tą zagadką.

— Właśnie dlatego przylecieliśmy tak szybko — odpowiedział Stone.

Gianeję powitano jak wszystkich pozostałych; serdecznie i bez specjalnej ciekawości, mimo że nikt z aktualnego personelu stacji nie widział jej jeszcze, chyba że na ekranach lub na fotografiach.

Gospodarze wiedzieli o wszystkim, znali nawet dzisiejsze ranne rewelacje. Przelot z Ziemi na Księżyc trwał przecież ponad pięć godzin.

— Jutro z rana, oczywiście ziemskiego, przystąpimy do pracy — powiedział Stone. — Nie wolno tracić czasu.

— My też żyjemy według ziemskiego czasu — uśmiechnął się z jego żartu Tokariew.

— Czy wszystko gotowe?

— Ma pan na myśli łaziki, profesorze? One są zawsze gotowe. Razem z tymi, które pozostawiła tutaj Szósta, do waszej dyspozycji jest osiem maszyn i cztery księżycowe rakiety.

— Nie potrzebujemy tylu. A rakiety chyba w ogóle nie będą potrzebne.

Tokariew kiwnął głową.

— Tak — powiedział. — Wiem. Liczy pan na... — niezauważalnym ruchem ręki wskazał Gianeję.

— Tak — powiedział Muratow.

Gianeja stała przy oknie. Wydawało się, że interesował ją pejzaż księżycowy, zalany promieniami wysoko stojącego Słońca.

Obróciła się akurat w tym momencie, kiedy o niej mówiono, poszukała wzrokiem Muratowa i skinęła na niego.

Podszedł do niej natychmiast.

— Czy zdarza się, że widać stąd Ziemię? — spytała Gianeja.

— Nie, nigdy.

— Jak daleko jest stąd do bieguna południowego?

— Niezbyt daleko. Jesteśmy na skraju widocznej z Ziemi tarczy księżycowej. To jest krater Tycho.

— Nie znam nazw — niecierpliwie powiedziała Gianeja. — Interesuje mnie coś innego. Czy tutaj, właśnie w tym miejscu, zbiegły się trajektorie, które obliczyliście?

— Tak, tutaj — odpowiedział zdziwiony Muratow.

— Czy to miejsce jest widoczne z Ziemi?

— Tak. Księżyc jest zwrócony ku Ziemi zawsze jedną stroną.
Ogarnęło go podniecenie; zaczął podejrzewać, do czego zmierzają jej pytania.
Czyżby?!...

Podeszli do nich ci uczestnicy ekspedycji, którzy znali hiszpański oraz dwie osoby z personelu stacji. Wstrzymawszy oddech wszyscy czekali, co powie Gianeya.

Wydało się, że nikogo nie zauważyła, zwracała się tylko do Muratowa.

— Wtedy... — Gianeya zamyśliła się na chwilę, jakby coś sobie przypominając. — Była pewna rozmowa, którą słyszałam. Rijageja („Znowu to imię” — pomyślał Muratow.) powiedział, że sputniki znajdują się w takim miejscu, z którego nigdy nie widać Ziemi. Dodał, że jest ono położone u podnóża górskiego grzbietu, w pobliżu bieguna południowego. To, co widzę — wskazała płynnym ruchem ręki — przypomina opisane przez niego miejsce. Ale czy tutaj znajduje się to, co chcecie znaleźć?

— Czy powiedział, że baza jest położona wewnątrz górskiego pierścienia? — zapytał Muratow.

— Nie zrozumiałam słowa, które pan powiedział.

— Baza?

— Tak!

— No... miejsce, w którym znajdują się teraz sputniki.

— Była o czymś takim mowa. Nawet na pewno była. Jakże inaczej mogłam wiedzieć, że na Księżycu znajdują się pierścieniowate góry. A o tym wiedziałam.

— Czy pani dobrze pamięta, że Rijageja powiedział właśnie tak: „W miejscu, skąd nie widać Ziemi”?

— Tak, pamiętam to dokładnie.

— Dziękuję, Gianeyo! Znowu oddała pani nam wszystkim ogromną przysługę.

Wzruszyła ramionami.

— Robię dalej to, co już zrobiłam. Nic nowego.

Odwrociła się, dając swoją postawą do zrozumienia, że nie zamierza kontynuować rozmowy.

Ale i tak powiedziała bardzo dużo.

VIII

Stone wezwał wszystkich na nadzwyczajną naradę. Jeżeli Gianeya miała rację, a najprawdopodobniej tak właśnie było, to baza innego świata, której szukali w promieniu setek kilometrów od centrum krateru, mogła znajdować się w pobliżu stacji, w miejscu dostępnym dla ludzi i gdzie nikomu nie przychodziło do głowy jej szukać.

Gianeya ostrzegła, że nie należy zbliżać się do bazy. Jeżeli znajdowała się ona obok miasteczka, to ludzie już setki razy mogli się do niej zbliżyć. Nikt nie miał pojęcia, co by się wtedy stało, można jednak było przypuszczać, że na pewno nic dobrego.

— Szczęśliwy zbieg okoliczności — powiedział Tokariew.

Muratow siedział pogrążony w swoich myślach i prawie nie słyszał toczących się wokół sporów. Niejasne przypuszczenie, wywołane przez szybko rosnącą szczerłość Gianey, przekształciło się prawie w pewność.

Wykorzystał pauzę, która nastąpiła w rozmowie i powiedział:

— Wiele przemawia za tym, że współplemieńcy Gianey byli na Ziemi i na Księżycu już bardzo dawno temu. Prawdopodobnie wtedy założyli bazę i uruchomili sputniki.

— Nie mamy teraz już żadnych wątpliwości, że nie zrobiono tego w dobrych zamia-

rach. Ale twórcy planu wyraźnie się przeliczyli. Tempo rozwoju Ziemi — ziemskiej nauki i techniki — wyprzedziło ich zamysły. Myśleli, że Księżyc będzie dla nas jeszcze niedostępny, kiedy zjawią się u nas po raz drugi. Nie można również wątpić w to, że statek kosmiczny, który zginął obok Hermesa, leciał właśnie na Księżyc. To była ich druga wizyta w systemie słonecznym. Po co przylecieli? Co by zrobili, jeśli by nie zginęli w katastrofie? To jest bardzo ważne i trzeba się tego dowiedzieć, a wie o tym Gianeja. Tak, tylko przypadkiem ludzie nie natknęli się na bazę, ale nie to jest najważniejsze. Denerwuje mnie żądanie Gianeji, wprawdzie doradza, ale w istocie jest to żądanie — zniszczyć bazę. Czy rzeczywiście zbliżenie się do niej jest tak niebezpieczne? A może ona — mówię o Gianeji — po prostu nie chce, byśmy zbadali wyposażenie bazy, dowiedzieli się, jaki cel przyświecał jej gospodarzom? Być może, nieoczekiwana, zaskakująca szczerłość Gianeji to tylko taktyczny manewr? Zrozumiała, że ludzie Ziemi prędzej czy później znajdą to, co chcą znaleźć. Postanowiła więc wmieszać się, popsuć nam szyki.

Tym można wytłumaczyć jej zainteresowanie „Szóstą” i całe jej zachowanie w ciągu ostatnich dni. Pozytywnie oceniamy jej stosunek do nas, być może jednak popełniamy błąd. A jeśli chciała wziąć udział w ekspedycji po to, by osobiście przekonać się, czy baza przestała istnieć i czy jej tajemnice pozostaną dla nas na zawsze tajemnicami...

— Oskarża więc pan Gianeję o zdradę? — spytał Stone.

Muratow zerwał się na równe nogi.

— O nic jej nie oskarżam. Z własnego punktu widzenia jest, być może, zupełnie w porządku. To, co przed chwilą powiedziałem, mówiłem wbrew sobie. Przedstawiłem tylko jedną z możliwych wersji. Nic więcej.

— Należy o tym pomyśleć — powiedział Tokariew. — Może nas bardzo nęcić zbadanie zwiadowców, wyposażenia bazy, jednak... lekceważenie słów Gianeji byłoby nieostrożnością.

— Oczywiście — powiedział Stone. — Może zastanowimy się, czy nie można by, przy pomocy robotów, sprawdzić, czym grozi zbadanie bazy.

Narada nabrała wąskospecjalistycznego charakteru i Muratow wyszedł z pokoju.

W sali klubowej zobaczył Gianeję. Stała przy tym samym oknie i w tej samej pozie.

Powoli podszedł do niej, dręczony wyrzutami sumienia, żałując, że rzucił na nią podejrzenia. Jednak powinien był o tym powiedzieć, skoro przyszło mu to do głowy, w tej sytuacji nie można niczego lekceważyć...

Gianeja nie obejrzała się. Wydawało się, że nie wiedziała, kto do niej podszedł. Jednak gdy stanął za nią, powiedziała:

— Niech pan patrzy, Wiktorze. Obserwuję to od dawna i nie rozumiem. Cienie są nieruchome. Można by sądzić, że Księżyc nie obraca się.

— Nie, Gianejo, on się obraca — odpowiedział Muratow zastanawiając się, jak go Gianeja poznała, po krokach czy w jakiś inny sposób. — Księżyc obraca się tak samo jak wszystkie ciała niebieskie, jednak bardzo powoli. Jeden obrót trwa dwadzieścia osiem ziemskich dób. I dlatego ruch cieni trudno zauważyć.

— A czemu to służy?

— Co czemu służy? Obserwowanie ruchu cieni?

— Myślę o czym innym. Do czego jest wam potrzebny tak powolny obrót Księżyca? Czy to jest tak bardzo korzystne dla prowadzonej tutaj pracy naukowej?

— Nie mamy wpływu na szybkość obrotu Księżyca.

Gianeja rzuciła na niego krótkie spojrzenie. Jednak nie zobaczył w nim szyderstwa, którego się spodziewał. Prawdopodobnie po prostu bardzo się zdziwiła.

— Proszę popatrzeć! — Gianeja znowu wyciągnęła rękę w kierunku okna. — Jak mocno nagrzane są oświetlone skały i jakie chłodne są w cieniu. Czy to też jest ludziom potrzebne?

„Tak! — pomyślał Muratow. — Ona widzi promieniowanie cieplne. Widzi temperaturę

ciała tak samo, jak my widzimy jego kolor. Ona ją widzi!”

W ciągu ostatnich dni Muratow stale się denerwował podczas rozmów z Gianeją. Tak było i teraz. Poczuł, że jest bardzo podniecony. Widzieć temperaturę! Czy może być coś bardziej dziwnego i fantastycznego. A więc patrząc, na przykład na niego, Gianeja widzi nie tylko rysy jego twarzy, czy kolor skóry, ale i ile stopni ciepła ma jego ciało. Jak więc wygląda w jej oczach?

— Czy to jest potrzebne? — powtórzyła Gianeja i lekko dotknęła jego ręki. — Nad czym się pan tak zadumał? — zapytała i uśmiechnęła się.

„Powiedzieć? Nie, lepiej nie mówić”.

— Myślałem o pani słowach — odpowiedział. — Tak, oczywiście, nierównomierne nagrzanie księżycowego gruntu nie jest nam na rękę, ale cóż możemy na to poradzić?

— Trzeba przyspieszyć obrót Księżyca.

— Czy pani sądzi, że to takie proste?

— A czyż nie jest proste?

— Niestety, nie. Przyspieszenie lub zwolnienie ruchu ciała niebieskiego, zmiana jego obrotu wokół osi — to wszystko leży w granicach naszych możliwości, gdy mamy do czynienia z niewielkim ciałem niebieskim, ale nie z takim kolosem jak Księżyc. To jest zadanie dla techniki przyszłości. A czy w pani ojczyźnie — zapytał, niemal nie mając nadziei, że Gianeja odpowie — takie operacje techniczne są możliwe?

— Wydaje się, że tak. — Gianeja powiedziała to niepewnym tonem. — Czytałam, że w naszej ojczyźnie „księżyc” też obracał się powoli, ale kiedy okazało się, że jest to potrzebne, jego obrót przyspieszono.

— Czy na pani planecie jest jeden „księżyc”, czy kilka?

Odpowiedź była zupełnym zaskoczeniem, zadziwiła Wiktora i była jeszcze jedną zagadką.

— Nie wiem — powiedziała Gianeja. — A właściwie nie pamiętam, co o tym pisano w książce, którą czytałam.

Muratow, jak mówił później, miał takie wrażenie, jakby go kto uderzył obuchem w głowę. Był tak zdumiony, że przez kilka sekund nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Masz ci nowinę! Z tego wynika, że Gianeja zna swoją ojczyznę tylko z książek. Nawet nie pamięta, ile „księżyców” jest na niebie jej planety!

„Czyżby urodziła się na gwiazdolocie? — pomyślał. — To znaczy, że jej ojczyzna jest bardzo daleko, tak daleko, że człowiek może się urodzić i osiągnąć dojrzałość w czasie drogi? Ale tego w żaden sposób nie da się pogodzić z naszą hipotezą, że ich drugą wizytę u nas dzieli od pierwszej czterysta albo pięćset lat. Takich rejsów nie można odbywać tak często”.

— Widocznie w tym względzie Rijageja się mylił — powiedziała Gianeja tak cicho, że Muratow zrozumiał, iż mówi ona nie do niego, a do samej siebie. — Był przekonany, że ludzie Ziemi już osiągnęli wyższy poziom — dodała głośno.

— Kto? — Muratow odzyskał nareszcie mowę. Postanowił udać, że nie słyszał początku zdania.

— Rijageja.

— Czy pani się rozczarowała?

— Nie, ani trochę. To on miał takie zdanie, a nie ja. Wydawało mi się, że zobaczę mniej, niż zobaczyłam.

— To znaczy, wówczas Rijageja miał o nas lepsze mniemanie niż pani, Gianejo?

— Tak, miał.

— Czy ma pani jakieś powody, by przypuszczać, że Rijageja zmienił swoją opinię?

— Nie można zmienić opinii, nie widząc przedmiotu tej opinii — odpowiedziała Gianeja. — A powiedziałam „miał”, ponieważ Rijagei już nie ma.

— Czy umarł?

Gianeja drgnęła.

— Zapomniałam — powiedziała. — Pan o tym nie wie. I to lepiej, że ludzie o tym nie wiedzą.

W głowie Muratowa zakiełkowało przypuszczenie.

— Rijageja znajdował się na statku, który zginął?

Gianeja milczała.

Muratow zobaczył, jak dwie łzy powoli stoczyły się po jej policzkach. Wzruszył go wyraz jej twarzy. Malował się na niej wielki i szczery ból.

Zrozumiał, że odgadł. Rijageja zginął razem ze statkiem, który Gianeja opuściła, gdy zbliżył się do asteroidu. I właśnie tego człowieka Gianeja nie tylko szanowała, jak mówiła Marina, ale i kochała.

„On postąpił inaczej” — Muratow przypomniał sobie słowa Gianeji, które mu przekazała Marina.

I niejasny domysł, że istnieje jakiś związek między stosunkiem Rijageji do ludzi Ziemi a zagładą statku, sprawił, że drgnął.

To było straszne, ta myśl, że ogromny statek kosmiczny być może nie zginął przypadkiem, ale został świadomie zniszczony, po wysadzeniu z niego Gianeji, właśnie po wysadzeniu jej z niego.

Ale ta druga kobieta, ta, która była matką Gianeji... Dlaczego pozostała na skazanym na zagładę gwiazdolocie?

Delikatnie ujął rękę Gianeji. Nie sprzeciwiła się.

— Proszę powiedzieć — głos jego drgał ze wzruszenia. — Czy pani urodziła się na tym statku?

Gianeja podniosła na niego zdumione oczy.

— Co też panu przyszło do głowy? Gdybym urodziła się w czasie lotu, to moja matka byłaby teraz tutaj, ze mną.

To było wszystko! Tymi słowami Gianeja potwierdziła domysł Wiktora. Gwiazdolot został świadomie zniszczony! I oczywiście, właśnie przez Rijageję.

Tajemnica pojawienia się Gianeji na Hermesie zaczęła się rozjaśniać.

— Czy była pani jedyną kobietą na statku? — zapytał, chcąc się upewnić do końca.

— Czy to ma dla pana jakieś znaczenie? — odpowiedziała Gianeja, cofając rękę, którą Wiktor ciągle jeszcze trzymał w dłoni. — Tak, jedyną.

Nagle Muratow przypomniał sobie inne słowa Gianeji. Powiedziała kiedyś, że poleciała w kierunku Ziemi prawie wbrew sobie. A więc nie mogła się urodzić na statku, tak jak mu to przyszło do głowy. To była oczywiście fałszywa hipoteza. Ale przecież małych dzieci też się nie zabiera w Kosmos. Dlaczego więc nie pamięta swojej ojczyzny?

Znowu zagadka, jeszcze bardziej niezrozumiała i zagmatwana!

Tam, w pobliżu Hermesa, w czarnej czeluści Kosmosu rozegrała się tragedia. I wiąże się ona z losem ludzi Ziemi!

Oczywiste było tylko jedno: Rijageja zniszczył statek, zniszczył, gdyż chciał przeszkodzić w urzeczywistnieniu planu, który był skierowany przeciwko Ziemi. I zmusił Gianeję, żeby opuściła gwiazdolot, chciał ją uratować, ponieważ była kobietą, którą, być może, kochał.

„Na Ziemi pojawiłam się wbrew własnej woli” — powiedziała.

Tak, wszystko to miało właśnie taki przebieg.

I, nie dobierając słów, kierując się jedynie uczuciem, Muratów powiedział:

— Śmierć Rijageji była wspaniała!

Przez kilka sekund Gianeja patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma, w których malował się popłoch. Potem gwałtownie się odwróciła i wybiegła z sali.

Stone i Tokariew bardzo poważnie potraktowali opowiadanie Muratowa.

— Sytuacja się wyjaśnia — powiedział Stone. — Staje się coraz bardziej oczywiste, że trzeba jak najszybciej zniszczyć sputniki i bazę. Pańskie przypuszczenie — zwrócił się do Muratowa — że Gianeja prowadzi podwójną grę, jest oczywiście nieprawdziwe. Jest szczerą. Zamierzano wyrządzić nam jakieś zło i Gianeja rzeczywiście chce nas uratować.

— Na jakiej podstawie pan tak twierdzi? — zapytał Tokariew.

— Na podstawie tego, co powiedział Muratow. Wydaje mi się, że jego hipoteza o świadomej katastrofie jest prawdziwa. Oczywiście trudno jest powiedzieć, co właściwie zdarzyło się na gwiazdolicie, ale z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy sądzić, że nie zginął on przypadkowo.

— Przypuszcza więc pan, profesorze, że pomiędzy współplemieńcami Gianeji zarysowały się różnice zdań?

— Powinny się były zarysować. Moim zdaniem, cała historia wygląda następująco: bardzo dawno, kilka wieków temu, wedle naszej rachuby lat, opracowano plan skierowany przeciwko Ziemi i jej mieszkańcom. Co właściwie zamierzano, nie jest takie ważne. Wystarczy, że tamci się przeliczyli, nie musimy się niczego obawiać, poradzimy sobie z każdym niebezpieczeństwem. Nie w tym rzecz. Ziemię od ich planety dzieli znaczna odległość. Od jednego lotu do drugiego mija sporo czasu. A społeczeństwo rozumnych istot, gdziekolwiek by nie istniało, nie może stać w miejscu. Rozwijają się, dążą naprzód, takie są przecież prawa życia. To, co zamierzono, zdaniem najbardziej postępowych ludzi ich świata, wydało się nieprawdopodobnym okrucieństwem. Przypomnijcie sobie panowie słowa Gianeji: „Ludzie Ziemi nie zasługują na los, jaki im gotowali”. Widocznie Gianeja kiedyś myślała inaczej, jednak olbrzymi wpływ wywarły na nią poglądy Rijagei, który sądząc po tym, co zrobił, był przyjacielem ludzkości Ziemi. I oto wyobraźmy sobie taką sytuację: W kierunku Ziemi wylatuje statek, który ma wcielić w życie dawniej już obmyślany plan. Jednym z członków załogi jest Rijageja. Wszystkimi siłami sprzeciwia się zamiarom swoich towarzyszy. Uważa, że za wszelką cenę musi im przeszkodzić. Przecież wiedział, że w chwili ich następnego przylotu będziemy jeszcze potężniejsi. I jeśli był człowiekiem idei, mógł zrobić tylko to, co zrobił. I oto Gianeja, jedyna kobieta na statku, zostaje wysadzona na przypadkowym spotkanym asteroidzie, na którym prawdopodobnie są ludzie. Statek zaś zostaje zniszczony. Właśnie los Gianeji, bardziej niż co innego, pozwala nam odtworzyć obraz Rijagei. Każdy z nas na jego miejscu postąpiłby tak samo.

— Cóż — po krótkim milczeniu powiedział Tokariew — taka wersja jest zupełnie możliwa. Pozwala całkowicie wyjaśnić okoliczności pojawienia się Gianeji, a także jej późniejsze zachowanie. Możliwe są jednak i inne wersje.

— Oczywiście! Prawdę zna jedynie Gianeja. Wiemy na pewno tylko jedno: sputniki i baza są niebezpieczne. I chociaż możemy głęboko wierzyć, że potrafimy zlikwidować każde niebezpieczeństwo, musimy je zniszczyć. I nie będziemy zwlekać.

— A więc, sądzi pan, że nie trzeba zaczynać od sprawdzenia, czy to niebezpieczeństwo istnieje w rzeczywistości?

— Ależ oczywiście, sprawdzimy. Wszystko jest możliwe.

IX

Muratow bardzo szybko zrozumiał, że „popadł w niełaskę”. Gianeja nie zwracała się już więcej do niego, nie tylko go unikała, ale po prostu ignorowała jego obecność. Jeżeli czegoś potrzebowała, prosiła o to inżyniera ekspedycji Raula Garcję, a gdy sam Muratow zadawał jej jakieś pytanie, odwracała się do niego plecami.

Bezskutecznie łamał sobie głowę nad przyczyną tak gwałtownej przemiany. Wydawało mu się, że nie powiedział nic takiego, co mogłoby dotknąć lub urazić dziewczynę.

Gianeja z nikim nie rozmawiała, trzymała się na uboczu i opuszczała pokój tylko na obiad i kolację.

— Jak długo mamy tutaj przebywać? — zapytała po kolacji Garcie, gdy jeszcze wszyscy byli w jadalni.

— Dopóki nie znajdziemy bazy — odpowiedział inżynier.

— W takim razie trzeba ją znaleźć jak najszybciej — bezceremonialnie oświadczyła Gianeja. — Chcę powrócić na Ziemię.

— To zależy częściowo i od pani.

Uśmiechnęła się tylko lekceważąco i nie odpowiedziała.

Następnego ranka, choć wiedziała dobrze, że Stone się śpieszył, opóźniła odjazd o ponad godzinę, nie wychodząc z basenu. Nie włożyła kostiumu kąpielowego i, chociaż sama nie przywiązywała do tego żadnego znaczenia, nikt nie zdecydował się tam wejść.

Dopiero o ósmej cztery maszyny, dobrze chronione przed meteorytami, opuściły wykuty w skałę garaż. Rozpoczęła się pierwsza ekspedycja poszukiwawcza.

Promienie słoneczne szybko nagrzały olbrzymie metaliczne łaziki, włączono więc klimatyzację. Postanowiono, że dzisiaj zostanie zbadane podnóże wysokiego grzbietu krateru Tycho na zachód od stacji.

Gianeja znajdowała się w maszynie Stone'a. Byli tam również Tokariew, Garcia, Wieriesow i Muratow.

Wiktor prosił o ulokowanie go razem z Sinicynem w drugim łaziku, jednak Stone nie zgodził się.

— Proszę nie zwracać uwagi na kaprysy Gianej — powiedział. — Jest mi pan potrzebny.

Jednak Muratow zrozumiał, że kierownik ekspedycji w delikatnej formie daje mu po prostu do zrozumienia, że nie chce go umieszczać w którejś z innych maszyn, ponieważ jest w nich ciasno i postronny człowiek będzie zawadzał. Maszyna, w której siedział Stone, była jak gdyby sztabem ekspedycji. W pozostałych trzech umieszczono cały sprzęt techniczny. Gdyby odnaleziono bazę, one właśnie miały przystąpić do pracy i wykonać zadanie. Muratowa traktowano jako gościa.

W razie potrzeby można było wezwać przez radio jeszcze cztery inne maszyny, które pozostały na stacji i znajdowały się w stanie pełnej gotowości.

Nikt się nie łudził, że uda się odnaleźć bazę właśnie dzisiaj, już pierwszego dnia. Zbyt świeże jeszcze były wspomnienia całych lat bezpłodnych poszukiwań.

Gianeja w dalszym ciągu nie zauważała Muratowa, od czasu do czasu zwracała się do Garcii. Była zamyślona i chyba roztargniona.

Koliste ekrany obserwacyjne stwarzały wrażenie, że ściany są przezroczyste. Nawet najmniejsze szczegóły terenu wydawały się w pełni realne.

Przed fotelem Stone'a był umieszczony wielki podczerwony ekran. Nie było na nim widać kolorów widocznych gołym okiem, księżycowy pejzaż wydawał się więc dziwnym połączeniem czarno-białych plam. Taki obraz potrafił odczytać jedynie wprawny obserwator.

Stone nie wiązał z tym ekranem zbyt wielu nadziei. Uważał, że znacznie bardziej pomocne okażą się właściwości wzroku Gianej. Przed samym wyjazdem za pośrednictwem Garcii zapytał ją, czy wierzy w to, że potrafi zobaczyć bazę.

— O ile wiem — padła odpowiedź — jest ona położona na otwartej przestrzeni. Dlaczegoż mam jej nie zobaczyć? Oczywiście, jeśli łazik podejdzie dostatecznie blisko.

Powiedziała to obojętnym głosem, jednak Stone wierzył jej słowom. Ponadto pamiętał, że Gianeja widzi dobrze na taką odległość, na jaką ziemski człowiek nie zobaczyłby nic bez

lornetki.

Siadła obok niego i ze znużeniem przyglądała się skałom. Tak jak i Stone patrzyła przed siebie. Nieco dalej siedział Garcia, który obserwował północną stronę. Wschodnia została powierzona Wieresowowi, a południowa Tokariewowi i Muratowowi.

Maszyny jechały wolno, z szybkością zaledwie piętnastu do dwudziestu kilometrów na godzinę. Wewnątrz łażika było przestronnie, chłodno i nawet przytulnie. Sześciokrotnie mniejsza niż na Ziemi siła przyciągania pozwalała na lekkość ruchów, wywoływała złudzenie niezwyklej siły, która jak się wydawało, przenikała wszystkie mięśnie.

Muratowowi bardzo się to podobało. Wydawało mu się, że fotel, na którym siedzi, jest zrobiony jakby z puchu, chociaż złudzenie pryskało przy dotknięciu. Żadna pierzyna na Ziemi nie mogła być tak miękka, skoro jego ciało ważyło tutaj sześć razy mniej niż zwykle.

Uważnie oglądał zalaną słońcem i mimo to pozornie ciemną równinę, jakby przeoraną przez gigantyczny pług. Rozumiał, że jemu i Tokariewowi powierzono obserwowanie tej strony, ponieważ było najmniej prawdopodobne, że właśnie tu znajduje się poszukiwany obiekt. Obaj byli obserwatorami niezbyt doświadczonymi. I dlatego nie bardzo wierzył, że zobaczy to właśnie miejsce, którego szukano. Żałował, że na czarnym, gęsto usianym gwiazdami niebie nie widać Ziemi. Stone trzymał się bardzo blisko gór. A Muratow zaś miał wielką ochotę obejrzeć ojczystą planetę. Widział ją wprawdzie z pokładu gwiazdolotu, trwało to jednak zbyt krótko i nie nasycił się tym niecodziennym widokiem.

Po upływie półtorej godziny natężenie uwagi nieco osłabło i Muratow zaczął myśleć o czymś innym. Znów zastanawiał się nad postępowaniem Gianei, usiłował odgadnąć powód jej gniewu.

„Jednak, być może — pomyślał — nie mam racji. Gianeya w ogóle nie gniewa się na mnie, a po prostu boi się dalszych pytań. I ucieka przede mną tylko dlatego, ponieważ nie chce na nie odpowiadać”.

Myśl ta poprawiła jego samopoczucie.

Minęła następna godzina. Łaziki przejechały już ponad pięćdziesiąt kilometrów. Stopniowo wszyscy uczestnicy ekspedycji zaczęli odczuwać znużenie.

Stone to wyczuł.

Zatrzymał łażik, za nim stanęły pozostałe maszyny.

— Proponuję, żebyśmy zjedli śniadanie wesoło powiedział Stone. — Odpocznijmy i pojedziemy dalej.

— Jak daleko chce pan profesor dzisiaj dojechać? — zapytał Tokariew.

— Nie więcej niż siedemdziesiąt kilometrów. Jeżeli wierzyć temu, co powiedziała Gianeya, dalej nie mamy czego szukać, gdyż będzie dobrze widać Ziemię. A Gianeya mówiła, że baza leży w takim miejscu, z którego Ziemi nie widać. Może zdążymy dzisiaj obejrzeć jeszcze wschodnią stronę.

— To będzie zbyt męczące.

— Nic strasznego. Nie możemy zwlekać. Widzę, że wy, mieszkańcy Księżyca, zrobiliście się leniwi — zażartował Stone. — Ale zmusimy was, żebyście pracowali tak jak na Ziemi.

— Jakby na Ziemi pracowało się całe dni — odparował Tokariew.

— Jeżeli trzeba, to tak — poważnie odpowiedział Stone.

Nikt nie chciał jeść śniadania i po dziesięciominutowym postoju maszyny ruszyły znowu naprzód.

— Koledzy, nie można sobie pozwolić na roztargnienie — zwrócił się Stone do wszystkich uczestników wyprawy. — Proszę patrzeć uważnie. Po raz drugi tutaj nie wrócimy.

— Patrzymy!... Patrzymy!... — rozległy się odpowiedzi. — Patrzymy, ale niczego nie widzimy — Muratow poznał głos Sinicy.

— Zobaczymy, możecie być pewni — odpowiedział Stone. — Jeśli nie dzisiaj, to jutro.

Najtrudniej było znosić usypiającą monotonię księżycowego krajobrazu. Wydawało się, że łązik ciągle znajduje się w pobliżu stacji. Krajobraz wciąż był taki sam, zwłaszcza po południowej stronie, którą obserwowali Muratow i Tokariew.

Wszystko było dokładnie takie samo, jak przed godziną czy dwiema.

— Wyjątkowo przygnębiająca planeta — powiedział Tokariew.

— Od jak dawna pan tu jest? — zapytał Muratow.

— Prawie rok.

— I ani razu nie wracał pan na Ziemię?

— Nie mam czasu — odpowiedział Tokariew. — Dzisiaj po raz drugi opuściłem stację. Mamy bardzo interesującą i bardzo potrzebną pracę — dodał, jak gdyby wyjaśniając.

„Wszędzie jest tak samo — pomyślał Muratow. — Wszyscy są pochłonięci pracą i zapominają o sobie. A jednak ciekawie jest żyć na takim świecie!”

I nagle usłyszał jak Gianeja pyta Garcję:

— Proszę powiedzieć, jaki ludzie Ziemi mają stosunek do śmierci?

— Sądzę, że taki jak i wszystkie inne rozumne istoty — odpowiedział inżynier wyraźnie zdziwiony tak nieoczekiwanym pytaniem.

— To nie jest odpowiedź — Muratow usłyszał, że w głosie Gianeji brzmi rozdrażnienie. — Czy nie mógłby pan dać dokładniejszej odpowiedzi?

Garcia długo milczał, zastanawiając się, co powiedzieć. Muratow zdecydował, że nastąpiła odpowiednia chwila, by znów zacząć rozmawiać z Gianeją.

— Śmierć — powiedział nie odwracając się — jest smutnym wydarzeniem. Niestety nieuniknionym i powszechnym. Ludzie są śmiertelni i na to nic nie można poradzić. Śmierć człowieka bliskiego jest wielkim nieszczęściem dla tych, którzy go znali. Kiedy umiera człowiek, który służył całej ludzkości, nieszczęście spotyka wszystkich. A kiedy samemu się umiera, żałuje się, że zdążyło się zrobić tak niewiele. Traktujemy śmierć jako nieuchronne zło i mamy nadzieję, że w przyszłości uda się ją zwyciężyć.

Nie wiedział, czy Gianeja chce go słuchać. Jednak słuchała i nie przerywała, a to już było dużo.

Okazało się jednak, że jego sąd był pochopny.

— Czekam na odpowiedź — powiedziała Gianeja.

— Czyż nie słyszała pani, co powiedział Wiktor? — zapytał Garcia.

— Pytałam pana.

— Zgadzam się w pełni z tym, co on powiedział.

Muratow ledwie powstrzymał śmiech. To było zupełnie sztubackie. Jakże naiwna jest Gianeja! Na pewno jest młoda, bardzo młoda!

Czekał z zainteresowaniem, o co jeszcze zapyta. Jeśli będzie milczeć, okaże się, że pytanie było całkowicie przypadkowe, ale Muratow sądził inaczej.

Po paru minutach milczenia Gianeja rzeczywiście znów zwróciła się do Garcii.

— Czy na Ziemi uważa się, że można usprawiedliwić samobójstwo albo zabójstwo? — zapytała.

— To są dwie różne rzeczy — odpowiedział Raul — i nie wolno ich ze sobą porównywać. Zabójstwa usprawiedliwić nie można. To jest najcięższe i najbardziej odrażające przestępstwo, jakie można sobie wyobrazić. Żeby zaś ocenić samobójstwo, trzeba znać jego przyczyny. Jednakże najczęściej uważamy, że samobójstwo jest dowodem słabej woli lub tchórzostwa.

— To znaczy, że ludzie Ziemi nie mogą określać samobójstwa jako „wspaniałego czynu”?

„A więc o to chodzi! — pomyślał Muratow. — Obraziłem ją, nazywając śmierć Rijagei wspaniałą. Przecież jednak powinna była zrozumieć, w jakim znaczeniu użyłem tego słowa”.

— Oczywiście — odpowiedział Garcia. — Samobójstwo wcale nie jest wspaniałe.

— Niedawno słyszałam coś innego — powiedziała Gianeja.

— Od kogo?

Muratow siedział odwrócony plecami i nie widział, czy wskazała na niego, czy też nie. Ale odpowiedzi nie usłyszał.

Zarysowała się różnica poglądów i pojęć pomiędzy ludźmi Ziemi a współplemieńcami Gianej. Oczywiście, w jej ojczyźnie samobójstwo, niezależnie od przyczyn, traktowano jako postępek odrażający i Gianeja, słysząc słowa Muratowa, uznała go za „amoralnego potwora” i nie chciała obcować z tak „prymitywnym umysłem”.

O mało co się nie roześmiała. Jednakże ta rozmowa przyniosła mu dużo zadowolenia. Dowodziła bowiem, że Gianeja cały czas myśli o ich sporze, że sprzeczka sprawiła przykrość nie tylko Muratowowi ale i jej samej.

Jednak było coś innego, o wiele bardziej ważnego. Pytania Gianej ostatecznie potwierdzały przypuszczenie, że Rijageja zniszczył statek. Popęłił samobójstwo i zabił swoich towarzyszy. To nie był przypadek, jak przypuszczał Garcia, że Gianeja połączyła obie sprawy w jedną.

„Muszę się usprawiedliwić — pomyślał Muratow. — Muszę wytłumaczyć jej, co miałem na myśli, skoro sama nie potrafi tego zrozumieć”.

I powiedział:

— Samobójstwo nigdy nie może być wspaniałe. Nigdy! Można je usprawiedliwić tylko w jednym przypadku, tylko wtedy, gdy zostaje dokonane dla dobra innych. Ale wtedy to nie jest samobójstwo, ale poświęcenie siebie samego. A to jest zupełnie inny czyn. Poświęcić siebie, żeby uratować innych — to jest wspaniałe!

Odwrócił się, żeby zobaczyć, jak na jego słowa zareagowała Gianeja i jakie wywarły na niej wrażenie.

Patrzyła prosto przed siebie, na ekran obserwacyjny. Miała taką minę, jak gdyby niczego nie słyszała. Muratow jednak był pewien, że nie tylko słyszała, ale również zamyśliła się nad jego słowami.

I nie mylił się. Po krótkiej chwili powiedziała:

— Tak, zgadzam się. Jednak jakim prawem poświęcił innych?

Muratowowi przemknęła myśl, że łzy, które wtedy widział na twarzy Gianej, mogły mieć związek nie ze śmiercią Rijagei, ale ze śmiercią innego człowieka, zabitego przez Rijageję. Wtedy stawało się zrozumiałe, dlaczego ogromne wrażenie wywarło na niej słowo: wspaniała.

— O czym mówicie? — spytał Tokariew.

W łaziku Stone'a tylko Muratow i oczywiście Garcia mówili po hiszpańsku. Pozostali nie rozumieli ani słowa.

— Poczekajcie! — powiedział Muratow. — Potem opowiem. Muszę jej odpowiedzieć. — Dalej mówił po hiszpańsku. — Wszystko, Gianejo, zależy od okoliczności. Bywają wypadki, kiedy człowiek przekonany o słuszności swojej sprawy zmuszony jest poświęcić nie tylko siebie, ale i innych, ponieważ uważa, że inaczej nie może postąpić. Cel, który przed sobą stawia, usprawiedliwia w jego oczach własne działanie. Nie znamy przyczyn, które skłoniły Rijageję do postępowania właśnie w ten sposób, w jaki postąpił. Jednak pani, Gianejo, te przyczyny zna. I nawet, jeżeli nie podziela jego poglądów, potrafi pani obiektywnie ocenić, czy miał rację. Nazwałem śmierć Rijagei „wspaniałą”, ponieważ z pani słów wynikało, że uczynił to, poświęcił siebie dla nas, dla ludzi Ziemi. Z naszego punktu widzenia jest to piękny postępek, wspaniała śmierć.

Gianeja odwróciła głowę. I znowu uśmiechnęła się trochę zmieszana.

— Proszę mi wybaczyć, Wiktorze! Wtedy nie rozumiałam pana i osądziłam niesprawiedliwie.

— Wcale się nie obrażę — odpowiedział Muratow. — My, mam na myśli waszą i

naszą ludzkość, jesteśmy istotami rozumnymi. A istoty rozumne, jeśli mają dobrą wolę, zawsze mogą się zrozumieć. Choć niekiedy nie jest to łatwe.

— Tak, niekiedy jest to trudniejsze, niż się wydaje — westchnęła Gianeja, z powrotem odwracając się w kierunku ekranu.

„To wszystko — pomyślał Muratow. — Marina miała rację, kiedy mówiła, że Gianeja ma dobry charakter”.

X

Jeszcze przez godzinę łąziki szły w dotychczasowym kierunku. Zmieniał się kształt górskiego grzbietu. Spadziste, strome zbocza stopniowo stawały się łagodne. Częściej mijali samotnie stojące skały i bezładne stosy kamieni, które kiedyś stoczyły się z gór. Posuwanie się naprzód stawało się coraz trudniejsze. Maszyny przechylały się niebezpiecznie, często trzeba było objeżdżać przeszkody.

Nadal nie znajdowano żadnego dogodnego miejsca, w którym można było założyć niewidzialną bazę. Dla wszystkich stawało się jasne, że wyprawa jest jeszcze jednym niepowodzeniem.

I chociaż nikt nie liczył na zbyt szybki sukces, ludzie mimo woli poczuli się rozczarowani.

Zegarek wskazywał dokładnie godzinę dwunastą, kiedy Stone zatrzymał swoją maszynę.

— Dalsze poszukiwania nie mają sensu — rzekł.

— Ale okolica staje się coraz bardziej odpowiednia — odezwał się z drugiej maszyny Sinicyn.

— Tak, jednak powinniśmy wierzyć słowom Gianeji, Wiktorze — dodał Stone — chciał pan zobaczyć Ziemię. Proszę się odwrócić!

Nisko nad szczytami, prawie w połowie kryjącego się za horyzontem górskiego grzbietu, wisiał na niebie jasno świecący półksiężyc. Wydawał się olbrzymi. Purpurowy pierścień atmosfery, oświetlonej promieniami Słońca kreślił dokładne kontury ciemnej półkuli ziemskiego globu, tej, na której panowała teraz noc. Tarcza Słońca wisiała niedaleko, niewiele wyżej. „Księżyc”, gwiazdy i Słońce jednocześnie!

— Czegoś tak zadziwiającego nigdy nie zobaczy się z Ziemi — powiedział Muratow.

— Czyżby? — usłyszał głos Siergieja. — A dlaczego?

— Dlatego, że na Księżycu nie ma atmosfery. Czyżbyś o tym nie wiedział?

— Teraz już wiem — odpowiedział Sinicyn przy wtórze ogólnego śmiechu.

— Proszę się jej zapytać — powiedział Stone — czy mamy szukać dalej?

Gianeja zdziwiła się, kiedy przełożono jej pytanie.

— Dlaczego pytacie o to mnie? — odpowiedziała. — Powinniście sami wiedzieć, co robić i jak postępować.

— Pytamy dlatego — wyjaśnił Muratow — ponieważ opieramy się na pani słowach, ściślej na słowach Rijagei. On, zdaje się, mówił, że baza jest położona w takim miejscu, skąd nigdy nie widać Ziemi?

— Dlaczego „zdaje się”?

— Proszę nie zwracać na to uwagi. To po prostu niezręczny zwrot. Czy mówił w ten sposób?

— Tak. I nadal nie rozumiem, dlaczego pytacie mnie — uparcie powtórzyła Gianeja.

— Chcemy, żeby pani przypomniała sobie to dokładniej — powiedział. — To jest dla

nas niezmiernie ważne.

— Nie mogę nic dodać do tego, co już powiedziałam.

Stone'owi przekazano treść rozmowy.

— Jeżeli będziemy szukać dalej — powiedział — to nie ma żadnych powodów, żebyśmy nie szukali również we wszystkich innych miejscach, tak jak to robiliśmy wcześniej. Wydaje mi się, że należy potraktować serio słowa Gianei i opierać się tylko na nich. Proszę pozostałych o wyrażenie swej opinii.

Wszyscy zgodzili się ze Stone'em.

— W takim razie — zreasumował — zawracamy z powrotem. Musimy nadal równie uważnie oglądać wszystko, co spotkamy na drodze, żebyśmy byli całkowicie pewni, że nie minęliśmy bazy.

Droga powrotna nie przyniosła niczego nowego.

Kiedy powrócili do stacji, była już trzecia. I chociaż Stone chciał kontynuować poszukiwania, musiał zgodzić się z Tokariewem i odłożył drugą ekspedycję na dzień następny.

— Zmęczenie przytępiło uwagę — powiedział profesor. — Dalsze poszukiwania nie mają dzisiaj sensu.

— To bardzo nudne zajęcie — wyznała Gianeya. — Żałuję, że tutaj przyleciałam.

— Ale jutro pojedzie pani z nami?

— Oczywiście. I jutro, i pojutrze... Trzeba być konsekwentnym — powtórzyła słowo, które się jej spodobało. — Dawno się tak nie zmęczyłam — dodała po chwili milczenia — chociaż niczego nie robiłam.

— Bezczynność mężczy niekiedy bardziej niż praca — powiedział Muratow. — Proszę iść na basen. Kąpiel zawsze odświeża.

— Chodźmy razem — nagle zaproponowała Gianeya.

Muratow zawstydział się.

— Nie bardzo wypada — powiedział.

— Dlaczego? — Gianeya wydawała się szczerze zdumiona. — Nie mogę tego zrozumieć. Już dawno Marina mówiła, że na Ziemi mężczyźni i kobiety kąpią się zawsze osobno. Jednak sama widziałam, że w morzu kąpią się razem. I kiedy wkładam kostium kąpielowy, pańska siostra pozwalała mi pływać w basenie razem ze wszystkimi. O co chodzi? Niech mi pan wytłumaczy, Wiktorze! Bardzo chciałabym to zrozumieć.

Który to już raz w ciągu ostatnich dni Muratow poczuł, że stoi na progu jednej z tajemnic, które otaczają Gianeję. Nie był to problem zbyt istotny — ciągle jednak był nie wyjaśniony. A ponieważ Gianeya pytała, miał nadzieję, że uda się mu dowiedzieć, o co właściwie chodzi.

Zebrał myśli, żeby wyjaśnić jej ziemski punkt widzenia.

— Ten ziemski zwyczaj można tłumaczyć rozmaicie — powiedział. — Myślę, że główna przyczyna polega na tym, że ludzie przyzwyczaili się osłaniać swoje ciało odzieżą. Stałe noszenie ubrania doprowadziło do tego, że kobiety i mężczyźni zaczęli wstydzic się jedno drugiego. Oczywiście, rozumiem pani punkt widzenia. I uważam, że jest nawet bardziej moralny niż nasz. Ale zakorzeniony w świadomości obyczaj jest potężną siłą. Teraz — dodał — czy pani już rozumie?

Myślał, że całkowicie rozwiał jej wątpliwości.

— Niczego mi pan nie wytłumaczył — nieoczekiwanie dla niego powiedziała Gianeya. — Ale wydaje mi się, że sama odgadłam, o co chodzi. Pańskim zdaniem, kostium kąpielowy zakrywa ciało. Czy o to chodzi?

I niespodziewanie Muratów sam wszystko zrozumiał. Dzięki jej pytaniu zrozumiał, jak jest naprawdę.

Więc o to chodzi! Zapomniał o promieniowaniu cieplnym wszystkich żywych istot, promieniowaniu, które Gianeya i ludzie na jej planecie odbierają jako światło i widzą je.

Przesąd to trwała rzecz. I mimo zadowolenia, że zagadka została rozwiązana, Muratow poczuł się mocno zawstydzony. Ubranie nie osłaniało jego ciała przed wzrokiem Gianei.

A i ona do tej pory sądziła, że ludzie Ziemi widzą jej ciało bez względu na to, czy jest ubrana, czy nie.

Dlatego obca była Gianei kobieca wstydlivość. W ich świecie ubranie chroniło jedynie przed zimnem i kurzem.

Legerier pomylił się. Jego przypuszczenia dotyczące pobudek, które kierowały zachowaniem Gianei, w pierwszym dniu jej spotkania z ludźmi Ziemi, nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. Dziewczyna uważała, że jest obojętne, czy jest ubrana, czy nie.

I krój jej sukien, który zdaniem wszystkich był dowodem kokieterii, dyktował obyczaj, a nie chęć podkreślenia swojej urody.

Ale jednocześnie strój nie był dla niej rzeczą obojętną. Wskazywało na to zdarzenie w Japonii. Gianeya ubrała się w подарowane jej kimono i wyraźnie interesowała się, czy jest jej w nim do twarzy.

„Trudno zrozumieć sposoby myślenia istoty z innego świata — pomyślał Muratow. — Łączy nas jedynie zewnętrzne podobieństwo, wewnątrz jesteśmy zupełnie różni”.

Był przekonany, że teraz, po tym, czego się dowiedziała, Gianeya nie zaproponuje mu wspólnego pójścia na basen. Jednak nie wziął pod uwagę, że świadomość człowieka nie może zmienić się w jednej chwili. Myśl o tym, że można się wstydzić ciała, w żaden sposób nie mogła się pomieścić w głowie Gianei. Zrozumiał to, kiedy powiedziała:

— I dalej jeszcze nie rozumiem, dlaczego nie może pan pójść ze mną.

— Idziemy! — zdecydował.

Gianeya ucieszyła się zupełnie jak dziecko.

— Bardzo nie lubię być sama, zwłaszcza kiedy płyвам. Samej jest mi smutno. Będziemy się ścigać, dobrze?

— Chyba nie uda mi się pani prześcignąć — powiedział Muratow. — Bardzo kiepsko płyвам.

— Szkoda, że nie ma piłki — Gianeya wypowiedziała słowo „piłka” z wyraźnym trudem. — Bardzo lubię grę tym przedmiotem, szczególnie w wodzie. Grałyśmy czasem z pańską siostrą.

— Czemu ma nie być — odpowiedział Muratow. — Na pewno znajdzie się tu piłka. Zaraz się dowiem. Możemy zaprosić jeszcze kogoś i rozegramy mecz piłki wodnej.

W stacji oczywiście była piłka do gry w waterpolo. Znaleźli się również i miłośnicy tej starej gry.

Nikt jednak nie podzielał opinii Muratowa.

— Gianeya może robić to, co jej się podoba, my jednak będziemy postępować zgodnie z naszymi zwyczajami.

I do basenu weszło siedmiu ludzi ubranych w tradycyjne stroje kąpielowe — slipy i czepki.

Gianeya nie tylko nie zwróciła uwagi na „zacofanie” swoich partnerów, ale w ogóle niczego nie zauważyła.

Gra ciągnęła się długo i skończyła się całkowitą klęską drużyny, w której grał Muratow, zwyciężyła drużyna Gianei.

Nikt nie potrafił rzucać tak celnie i mocno jak ona.

Na Księżycu nie było dobrych sportowców. W bramce, której bronił Wiktor, wylądowało aż osiemnaście piłek rzuconych przez Gianeję. Jej partnerzy, którzy natychmiast zorientowali się, jakiego mistrza mają w swojej drużynie, cały czas grali na Gianeję, wysuwali ją do przodu i każdy atak kończył się golem.

— Nie można z panią grać — z przykrością powiedział Wiktor, gdy podnieceni i zmęczeni wyszli z wody. — Czy w pani ojczyźnie znana jest ta gra?

— Nie, nie może być znana, ponieważ nie ma piłek.

Po kolacji Muratów znowu zjawił się w pokoju Gianeja na pogawędkę. Sama go zaprosiła. Wydawało się, że po kłótni darzyła Wiktora wyjątkową sympatią.

Zdażył już opowiedzieć wszystkim o swoim kolejnym odkryciu i nikt się tym nie zdziwił.

— To jest oczywiste — powiedział Tokariew. — Ciepłne promieniowanie podczerwone przenika przez tkaninę, więc Gianeja widzi to, czego nie widzą nasze oczy. Jednak miejsca osłonięte widzi inaczej niż nieosłonięte. Ciekawe, jak by wyglądał portret człowieka narysowany przez Gianeję kolorowymi kredkami.

— Tak, ale nie mamy kredek, które pozwalałyby na przekazanie podczerwieni — powiedział Stone. — Niewykluczone, że Gianeja widzi podczerwień inaczej niż my na podczerwonym ekranie.

W trakcie rozmowy Muratów starał się wyjaśnić ten problem.

— Doprawdy nie wiem, jak to wytłumaczyć — odpowiedziała Gianeja. — Ten kolor zlewa się z innymi i trudno go wydzielić. Dlatego rysuję tylko ołówkiem. Nie macie takich kolorów. Właśnie to naprowadziło mnie na myśl, że widzicie inaczej niż my. A przecież nie sposób wytłumaczyć, jak wygląda kolor, którego nigdy nie widzieliście.

— To znaczy — powiedział Muratów — że pani od razu określa temperaturę ciała, już na pierwszy rzut oka?

— W naszym języku nie istnieje w ogóle słowo „temperatura” — nigdy nie mierzymy stopnia nagrzania. Po cóż mielibyśmy to robić? Przecież to i tak widać.

„To dlatego odtrąciła termometr, który dawał jej Jansen — pomyślał Muratów. — Nie zrozumiała, co zamierzał zrobić”.

— Proszę powiedzieć, czy, kiedy zbliżaliście się do Hermesa, zobaczyliście, że asteroid jest zamieszkały?

— Tak, ciała niebieskie o takich rozmiarach są chłodne. Zobaczyliśmy, że od sztucznej budowli, wtedy nie wiedzieliśmy, co to takiego, bije światło dwóch rodzajów. Sztuczne — chłodne, i żywe — ciepłe. Zrozumieliśmy, że znajdują się tam żywe istoty, oczywiście ludzie.

— To było jednak ryzyko — powiedział Muratów uradowany, że nadarza się możliwość wyjaśnienia jeszcze czegoś — wyjść ze statku bez zapasu powietrza.

— Tak, to był błąd. Byliśmy bardzo zdenerwowani.

— Dlaczego opuściła pani statek? — z uporem zapytał Muratów.

Gianeja długo milczała, jakby zastanawiając się, co ma odpowiedzieć.

— Proszę się nie gniewać — powiedziała w końcu. — Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

Muratów był głęboko rozczarowany, nie dał jednak tego po sobie poznać.

— Oczywiście, że pani nie musi — powiedział. — To tylko przypadkowe pytanie.

— Dlaczego nie mówi pan prawdy? — miękko spytała Gianeja dotykając jego ręki. — To przecież pana bardzo interesuje i nie zadał pan tego pytania przypadkiem. Ale proszę mi wierzyć, Wiktorze, kiedyś panu o tym opowiem. Jednak nie teraz. Nie mogę.

Powiedziała to z tak oczywistą rozpaczą, że Muratówowi zrobiło się jej żal.

— Proszę już o tym nie myśleć, Gianejo — powiedział. — Nikt pani do niczego nie zmusza. Proszę postępować tak, jak uważa pani to za słuszne. Oczywiście, ma pani rację. Ludzie chcieliby się wiele od pani dowiedzieć. Ale opowie mi pani wtedy, kiedy zechce. I proszę wybaczyć, że zadaję aż tyle pytań.

Znów dostrzegł w jej oczach łzy.

— Jesteście bardzo dobrzy — cicho powiedziała Gianeja. — I zaczynam was lubić.

— „Zaczyna po półtora roku” — mimo woli pomyślał Muratów.

Następnego ranka te same cztery łaziki z tą samą załogą znów opuściły garaż. Tym

razem skierowując się na wschód.

Muratow nie starał się, a Gianeja nie wyrażała chęci, by rozmawiać o samym Rijagei jako o człowieku. Rozmawiano więc o jego wypowiedziach na temat Księżyca.

A przecież osobowość Rijagei bardzo interesowała Ziemian. Ten człowiek, którego nikt już nie zobaczy, odegrał ogromną rolę w wydarzeniach związanych z Gianeją i sputnikami-zwiadowcami. Jego wola zmieniła cały przebieg tych wydarzeń.

— A może narysuje nam pani jego portret — poprosił Muratow. — Chcielibyśmy zobaczyć, jak wyglądał.

— Niech pan popatrzy w lustro — z uśmiechem powiedziała Gianeja.

I tak Muratow dowiedział się, że jest podobny do Rijagei, człowieka z innego świata, który całym swym postępowaniem udowodnił, że szczerze i ofiarnie kochał ludzi Ziemi.

W jednej chwili Muratow zrozumiał wiele...

Na drugi dzień ekspedycja wyruszyła niemal z przekonaniem, że poszukiwania zostaną uwieńczone sukcesem. I nadzieja nie zawiodła ludzi.

Nie przejechali nawet piętnastu kilometrów od stacji, gdy Gianeja gwałtownie wychyliła się do przodu, wyciągnęła rękę i powiedziała:

— Oto, czego szukacie!

CZEŚĆ TRZECIA

I

Budynek stał na szczycie wzgórza.

U jego podnóża rozłożyło się ogromne miasto. Było tak wielkie, że nawet z okien górnych pięter z wysokości dwustu metrów nie było widać jego krańców.

Ze wszystkich stron aż po kraj horyzontu ciągnęły się niekończące się kwadraty różnokolorowych dachów. Wydawało się, że wzgórze z samotną budowlą znajduje się w samym środku miasta, w rzeczywistości jednak było inaczej.

Przypadkowo, a być może i zgodnie z zamierzeniami architektów, znajdujące się w pobliżu wzgórza budowle były niewielkie, nie sięgały jego szczytu. Wieżowce, przewyższające rozmiarami całe wzgórze, tworzyły w oddali gigantyczny pierścień. A dalej, za nimi już nad linią horyzontu, strzelały w niebo górne kondygnacje najwyższych gmachów.

Budowla stojąca na szczycie wzgórza była widoczna zewsząd, z każdego miejsca w mieście.

Była zupełnie niepodobna do innych.

Przypominała pomnik, zbudowany jak gdyby z jednej bryły szkła w dwóch odcieniach błękitu. Ciemniejsze błękitne pasma tworzyły szkielec konstrukcji, jaśniejsze, które gdzieś wydawały się prawie białe — otwory okien. Skośne rozmieszczenie okien, zygzakiem przecinające fasadę gmachu, sprawiało wrażenie, jakby cała budowla wkręcała się w granatowe niebo.

A ponad kopułą dachu dobrze widoczna zewsząd „unosila się” w powietrzu biała gigantyczna statua.

Budowla była olbrzymia. Ludzie Ziemi powiedzieliby, że przypomina korkociąg.

Miasto było jedną z najstarszych, liczących tysiące lat historii, stolic tej planety, chociaż teraz, w tej epoce słowo „stolica” było już od dawna anachronizmem.

Była zaś po prostu pomnikiem tych, którzy przeniknęli w Kosmos i nigdy stamtąd nie powrócili. Tego dnia na parterze gmachu, w olbrzymiej sali, zalanej promieniami wysoko stojącego pomarańczowego słońca, odbywało się zebranie.

Dookoła olbrzymiego, znajdującego się pośrodku sali stołu siedziało ponad sto osób — mężczyźni obok kobiet.

Ich stroje niewiele się od siebie różniły. Kobiety miały na sobie suknie, a mężczyźni krótkie tuniki. Nogi kobiet aż do kolan były owinięte krzyżującymi się taśmami, a kolana przykrywały sprzączki w kształcie liścia. Mężczyźni mieli gołe nogi. Kobiety miały długie i gęste włosy, mężczyźni natomiast gładko wygolone głowy.

Wszyscy oprócz jednego byli ubrani na biało.

Zielony odcień skóry, skośne, podniesione u nasady nosa oczy, wysoki wzrost zarówno mężczyzn, jak i kobiet — wszystko to było dla człowieka Ziemi znane i bezbłędnie odgadłby, że ludzie ci są współplemieńcami Gianei.

Gdyby zaś znalazła się tu Marina Muratowa, poznałaby także język, którym mówili.

Stwierdziłaby jednak, że język ten w zasadzie podobny do języka Gianei, czymś jednak się różni od niego.

Także człowiek, który wyróżniał się wśród innych swym strojem, nie zawsze rozumiał ten język i czasami prosił o powtórzenie niektórych sformułowań.

Wtedy podnosił się jeden z mężczyzn i powtarzał to, co już powiedziano, tym razem

dokładnie w tym języku, którym mówiła Gianeya.

Pośrodku, w stojącym na podwyższeniu fotelu, siedział młody jeszcze człowiek o bardzo wąskich jakby zmrużonych oczach ubrany tak jak pozostali.

Ten zaś, który nie zawsze rozumiał to, co do niego mówili, odznaczał się tymi cechami, które charakteryzowały współplemieńców Gianei, był jednak trochę niższy od pozostałych, a opalenizna sprawiała, że trudniej było zauważyć zielony odcień skóry. Miał na sobie nie tunikę, ale coś w rodzaju szerokiego płaszcza, który w promieniach pomarańczowego słońca lśnił dukatowym złotem. Miał nieogoloną głowę, a czarne połyskujące szmaragdem włosy opadały poniżej ramion.

Młody człowiek o wąskich oczach był najprawdopodobniej przewodniczącym zebrania.

Jego uparte spojrzenie peszyło człowieka w złotym płaszczu, który często spuszczał oczy, jednak za każdym razem jakby zahipnotyzowany na nowo zwracał się ku przewodniczącemu.

W tych momentach wszyscy dostrzegali, jak w ciemnych oczach człowieka w płaszczu migały iskierki ni to wyzwania, ni to starannie skrywanego strachu. Za każdym razem, zauważywszy to, młody przewodniczący uśmiechał się.

W jego uśmiechu kryła się i pogarda, i szyderstwo, i gniew, nie było jednak nienawiści. Zdawało się, że właśnie to — brak nienawiści — najbardziej peszył człowieka w płaszczu.

Podczas całego zebrania stał. Widocznie tak. miało być, ponieważ koło niego nie było krzesła. Długo już tak stał, podczas gdy wszyscy inni siedzieli.

Przypominało to sąd.

I rzeczywiście był to sąd, jednak nie w tym znaczeniu, jakie nadaje się temu słowu na Ziemi.

Sądzono nie tego człowieka, ale innych, do których należał i których nie było teraz na tej sali.

Sądzono nie ludzi, ale ich zamiary.

— A więc — powiedział przewodniczący, tak jak poprzednio bacznie patrząc w twarz „podsądnego” — czy wszystko nam opowiedziałeś, Lijagejo, nic nie ukryłeś?

— Tak, wszystko! Nie mam nic do dodania. Jestem gotów na śmierć.

Słowa te spotkały się z uśmiechem, który tym razem wyrażał jedynie pogardę.

— Widzimy to — młody przewodniczący gestem wskazał na strój Lijagei. — Pośpieszyłeś się jednak, w ojczyźnie jesteś już od trzech dni. Czyż nie zauważyłeś, że znajdujesz się w innym świecie?

Oskarżony milczał.

— Czyż — kontynuował przewodniczący — nie rozumiałeś nic z tego, co zobaczyły twoje oczy? A może nie chcesz niczego zrozumieć?

I znowu nie było odpowiedzi.

— Zrozumiesz to jednak, Lijagejo. Nie zabijemy ciebie, choć wy byście na naszym miejscu to zrobili. Wasze stopy już dawno wygasły i zniknęły z ludzkiej pamięci. Będziesz żyć wśród nas.

— To znaczy, że nie puścicie mnie z powrotem?

— Nie. Zostaniesz wśród nas na zawsze. Kosmos nie jest miejscem dla takich jak ty. W Kosmos mogą lecieć tylko ci, którzy mają czyste myśli i nie splamione ręce. Będziesz musiał pracować, Lijagejo. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu — dodał z wielką pogardą. — I tylko od ciebie będzie zależało, czy ludzie zapomną, kim jesteś i jaką straszną rzecz staraliście się zrobić.

— Staraliśmy się? — na wargach Lijagei po raz pierwszy tego ranka pojawił się uśmiech.

— Chcesz powiedzieć, żeście to już zrobili? Znowu mylisz się, Lijagejo! Zapomniałeś, że w czasie twojej nieobecności na naszej planecie minęło dziesięć pokoleń. Nie żyły nadare-

mnie. Technika osiągnęła taki poziom, że z naszego punktu widzenia, wasze statki kosmiczne to nieudolne czółna. Będziemy na tej planecie... jak ją nazwałeś?

— Lia.

— Na Lii będziemy już niedługo. I zło nie dokona się. A jeżeli spóźnimy się — oczy młodego przewodniczącego zabłyśły i rozwarły się na chwilę; były ogromne, ciemne i głębokie — odpowiecie za to. Potrafimy przypomnieć sobie zwyczaje waszej epoki, to nie zajmie nam dużo czasu.

— To znaczy, że nie spalicie mnie teraz, a nieco później? Tyle tylko?

— Powiedziałem, że będziesz żyć. My nie zmieniamy swych postanowień i nie kłamiemy jak wy.

Lijageja pochylił głowę.

— Powiedziałem wam tylko prawdę.

— Wiemy o tym.

— Skądże możecie o tym wiedzieć?

— Skąd? — przewodniczący wskazał na starszego człowieka, który siedział obok niego. — Specjalnie „na twoją cześć” zaprosiliśmy lekarza. Świetnie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Nie nadążasz za nauką, Lijagejo, i nie ma co się dziwić. Masz szczęście, że byłeś szczery.

— A jeżeli by się okazało, że jest inaczej? — wyzywająco spytał Lijageja.

— Wtedy musielibyśmy skłonić cię do mówienia prawdy.

— Torturami? Tym mnie nie przestraszysz.

Przewodniczący przez kilka minut siedział w milczeniu, wyraźnie zdumiony tymi słowami. Potem ogarnął wzrokiem wszystkich siedzących za stołem. Prawie wszyscy się śmiali.

— Widzisz? — zapytał. — To jest nasza odpowiedź, Lijagejo. Będzie ci trudno u nas. Przypominasz dzikie zwierzę. I, dopóki nie zmienisz swoich poglądów, tak będą patrzeć na ciebie wszyscy. Radzę, zmień się jak najszybciej. Zrozumieliśmy, co powiedziałeś, ale większość ludzi na naszej planecie nie pojęłaby, co masz na myśli. Trafiłeś do innego świata, Lijagejo, zrozum to.

— A cóż zrobicie z nami, jeżeli przybędziecie w porę? — zamiast odpowiedzi spytał Lijageja.

— Sprowadzimy was wszystkich z powrotem. Wszystkich, którzy kiedyś wylecieli oraz ich urodzone w tym czasie dzieci, wszyscy będą żyć w ojczyźnie. I pracować. Będziecie musieli zapomnieć o uprzywilejowanej pozycji waszej kasty.

Oczy Lijagei błysnęły nienawistnie.

Przewodniczący roześmiał się.

— Gdybym żył wtedy, kiedy odlatywałeś — powiedział — prawdopodobnie nie chciałbyś nawet ze mną rozmawiać. Czasy zmieniają się. I sami dobrze wiedzieliście, że muszą się zmienić. Jeśli byłoby inaczej, to po cóż lecieliście na poszukiwanie innych planet?

— Zrobiliśmy to, żeby ocalić przyszłe pokolenia — dumnie odpowiedział Lijageja.

— Kłamie albo mówi nie to, co myśli — powiedział człowiek, który był lekarzem.

— Widzisz, Lijagejo. Wystarczyło, żeś minął się z prawdą, i od razu to wykryliśmy. Powiem tę prawdę za ciebie. Wylecieliście po to, by zachować swoją kastę, gdyż przewidywaliście, że czeka was nieuchronny rozrachunek. Wiedzieliście, że dni waszego panowania są policzone. Postanowiliście więc przenieść się na inną planetę, gdzie znów moglibyście panować, żyć na rachunek innych. Kolonizacja jest procesem długotrwałym.

Lijageja podniósł głowę.

— A wy — powiedział z nienawiścią — wy, szlachetni i prawdomówni, nienawidzący zła, co zrobiliście wy? Skazujecie ludność planety na zagładę? Wiecie, że na planecie nie ma miejsca dla zwiększającej się ludności, ale odtrącacie pomocną dłoń, którą do was wyciągamy. Jeżeli byś miał rację, Wijajjo — tak, zdaje się, ciebie nazywają — po co miałbym tu

wracać?

— Nieszczерze — spokojnie powiedział lekarz.

— Wiem — przewodniczący drwiąco się uśmiechnął. — I wszyscy o tym wiedzą. Nie, Lijagejo — powiedział — powróciłeś nie dlatego, wysłali cię po ludzi. Znaleźliście dziką planetę, w którą trzeba włożyć wiele pracy. I to wam nie w smak. Dlatego wyruszyliście na poszukiwanie innej. Znaleźliście Lia. Tam wszystko jest gotowe: są miasta, drogi, fabryki. Bardzo wam się to spodobało. Jednak ludność Lia nie znajduje się już w stanie barbarzyństwa i nie zechce się wam podporządkować. Dlatego postanowiliście ją zniszczyć. Ta decyzja w pełni harmonizuje z waszym obliczem moralnym. Ale cóżbyście tam mogli robić sami? Potrzebni są wam ludzie do pracy. I przyleciałeś tylko dlatego, żeby nas oszukać, pociągnąć za sobą tysiące ludzi, którzy musieliby na was pracować. A jednak pomyliłeś się, Lijagejo. Nie chcemy rozwiązywać problemu przeludnienia za taką cenę. A nawet więcej, nie szukamy już ratunku. Idź, spróbuj namawiać. Nie znajdziesz ani jednego człowieka, który usłyszawszy twe słowa nie odwróciłby się do ciebie plecami. Ani jednego na całej planecie. Ludzie już nie są tacy, jakimi byli w chwili waszego odlotu. Nie spodziewaliście się tego?

Lijageja milczał. Twarz jego płonęła, jednak oczy jakby od razu zamgłiły się, przygasty. Potem powiedział zmęczonym głosem bez nienawiści:

— Dobrze wykorzystaliście czas. Żałuję, że nie przywiązywaliśmy wagi do słów Rijagei.

— Rijageja — ze zdziwieniem powiedział przewodniczący — pamiętam to imię. Był dowódcą waszej eskadry i waszym współnikiem.

— Czasy się zmieniają — Lijageja ironicznie powtórzył słowa Wijajji. — Czego jeszcze chcecie ode mnie?

— Niczego. Jesteś wolny, Lijagejo.

— W takim razie sam zadam ci tylko jedno pytanie. Dlaczego powiedziałeś, że nie potrzebujecie już ratunku? Czyżby pod waszymi rządami ludność planety zaczęła się zmniejszać?

— Nie, powiększa się, i to szybciej niż za twoich czasów, za czasów waszego panowania — odpowiedział Wijajja. — Powiedziałem ci już, że dziesięć pokoleń, które nie żyły pod jarzmem twej kasty, żyły nie na próżno. Wiesz, Lijagejo, jak starannie ukrywaliście przed nami tajemnicę waszej władzy, a więc i technikę lotów kosmicznych. Wszystko, co się z nimi wiązało, zabraliście ze sobą. Byliście przekonani, że „istoty niższe” nigdy nie odkryją waszych tajemnic. Okazało się, że nie trzeba wiele czasu na to, byśmy przewyższyli waszą technikę. Czy pomyśleliście, czyje ręce budowały wasze statki? Te ręce zostały na planecie. Myśleliście, że rozum należy tylko do was. To był wasz największy błąd, Lijagejo. Odpowiadam na twoje pytanie. Problem przeludnienia, który was wcale nie interesował, choć starałeś się nas przekonać, że jest wręcz przeciwnie, zmusił naszych przodków do przedsięwzięcia tego, co chciałeś nam przedstawić jako waszą zasługę. Sami udaliśmy się w Kosmos, przypadkiem w inną stronę niż wy. Przecież nie wiedzieliśmy, dokąd wy się skierowaliście. Znaleźliśmy rozumnych braci, którzy nas zrozumieli, zaproponowali nam swą pomoc. Niedługo już nadejdzie dzień masowej emigracji do nowej ojczyzny, przygotowanej wspólnymi siłami dwóch planet.

— To znaczy, że mimo wszystko macie zamiar zaludnić inną planetę?

— Nie zamieszkaną, Lijagejo. Domyślam się z wyrazu twojej twarzy, że nie rozumiesz, czym różnią się nasze plany od waszych. Wedle ciebie, niższe istoty, które zamieszkują Lię nie zasługują ani na litość, ani na wyrozumiałość, gdy zagrożone są interesy „wyższych” istot, takich jak ty i tobie podobni. Jednak z naszego punktu widzenia istoty niższe, to ty i twoi współnicy. Nie wierzę również w twoje twierdzenie, jakoby mieszkańcy Lia byli barbarzyńcami. Przeczą temu twoje własne opowiadania o tej planecie. Wkrótce poleci tam nasz statek. Wiem, że spotkamy tam braci, którzy tak jak my, nazwą ciebie, i was wszystkich dwunogimi

zwierzętami.

Lijageja podniósł głowę. Mroczny ogień zapłonął w jego ciemnych oczach.

— Nie wahasz się, Wijajjo — powiedział — obrzucać obelgami tego, który nie może ci się przeciwstawić. Jestem tutaj sam. Jeżeli jednak traktujesz mnie jak zwierzę, to dlaczego zapraszasz zwierzę, by żyło wśród was? Czy nie lepiej jest je zabić?

— Być może, masz rację, Lijagejo — odpowiedział Wijajja. — Nie mamy jednak zwyczaju zabijać ludzi. I nie prosimy ciebie, żebyś z nami żył, ale zmuszamy. To jest kara.

II

Długa jest droga po szlakach wszechświata. Promień światła przez całe lata leci z jednej gwiazdy na drugą. A dzieło rąk ludzkich nie może lecieć z prędkością światła.

Długa i nużąca jest droga.

A jeśli załogę statku dręczy niepokój i niecierpliwość, droga wydaje się jeszcze dłuższa.

Nie mogli poświęcić więcej czasu na sen. Przestrzegali zwykłego porządku dnia: połowę doby spali, a połowę czuwali i niczym nie można było wypełnić mijającego czasu.

Było ich czterech.

Idea pchała ich naprzód, do dalekiego celu. Idei poświęcili siebie samych. Nie mieli nadziei, że wrócą z powrotem. Odlecieli ze swej ojczystej planety na zawsze. Nie mogli wrócić, ponieważ nie wiedzieli, jak kieruje się statkiem, jak odnajduje się drogę w bezgranicznej pustce.

Statek prowadziły automaty.

Rozumne, ostrożne, czujne prowadziły statek po wyznaczonej trasie, nakreślonej nie przez tych, którzy znajdowali się teraz na pokładzie, ale przez innych — tych, którzy zbudowali statek, umieli kierować nim, wiedzieli jak odnajdywać drogę w Kosmosie.

Żadnego z tych ludzi nie było na pokładzie gwiazdolotu.

Automaty były niezawodne. Wiedziały więcej niż ich obecni panowie i z bezdusnością maszyny zdradziły poprzednich.

Statek leciał po ściśle wytyczonym kursie. Cokolwiek by się nie zdarzyło, jakiegokolwiek przeszkody nie stanęłyby na drodze, „dowódca” statku w ułamku sekundy podejmie decyzję i uniknie każdego niebezpieczeństwa.

Czterej ludzie, stanowiący teraz załogę statku, wiedzieli o tym dobrze. Bali się nawet podejść do drzwi kabiny sterowniczej. Drzwi były szczelnie zamknięte i żółtą farbą był na nich narysowany skośny krzyż.

To dlatego, by nikt nie mógł dostać się przypadkiem do zakazanej strefy.

Wszystko zależało od „dowódcy”. Jego mechaniczny mózg — to jedyna nadzieja osiągnięcia sukcesu, jedyna gwarancja osiągnięcia celu, jedyna szansa życia.

Czterej nie byli przekonani, że lądowanie odbędzie się tak pomyślnie jak start. Nie wiedzieli, czy „dowódca” potrafi opuścić statek na planetę. Mieli tylko nadzieję, że potrafi.

Często spoglądali na dużą, pomalowaną na jaskrawożółty kolor, hermetycznie zamkniętą skrzynię, stojącą na środku centralnego pomieszczenia olbrzymiego statku.

W tym pomieszczeniu czterej spędzali swój czas i rzadko tylko je opuszczali. Tutaj mieszkali, jedli, spali i rozmawiali, chociaż nie było to pomieszczenie mieszkalne.

Jednak oni Ignęli do siebie, starali się zawsze być razem, pomagali jeden drugiemu pokonywać mimowolny strach przed otaczającą ich zewsząd nieskończoną przestrzenią wszechświata.

Kajuty statku, przeznaczonego dla członków załogi, były pojedyncze, obliczone na

jednego człowieka.

Wyrafinowany przepych kajut nie pociągał nowych gospodarzy. Wszystko było dla nich obce, niecodzienne i głęboko nienawistne.

Nienawidzili każdego przedmiotu, który znajdował się na statku i samego statku. Wszystkiego, poza żółtą skrzynią. To było jedyne, co nie należało do poprzednich właścicieli, a do nich samych, było zrobione przez nich, zawierało znany im cel.

Żółta skrzynia — to byli „oni sami”. Jeśli nie będzie im sądzone osiągnąć celu za życia, zawartość skrzyni zrobi wszystko za nich.

Zadanie, które przed sobą postawili, powinno być wypełnione za każdą cenę.

Skrzynia była ciężka, masywna i bardzo mocna. Skrzynia ocaleje, nawet jeśli statek rozbije się.

To było najważniejsze.

W ciągu długich lat drogi przyzwyczaili się do patrzenia na skrzynię, jak na piątego członka załogi. Nazywali ją pieszczotliwie ludzkim imieniem „Grigo”.

Na statku było wszystko. Długie, pełne roślinności aleje zapraszały na spacer. Przytulne salony, sale gier i sportów, baseny kąpielowe, czytelnie i urządzenia widowiskowe zapraszały do rozrywki i wypoczynku. Punkty astronomiczne, gabinety i laboratoria zapewniały najlepsze warunki do pracy naukowej. A w pobliżu każdej kajuty znajdowało się błękitne pomieszczenie z podłużnym teraz pustym basenem.

Czterej wykorzystywali jedynie aleje. Musieli poruszać się, więc biegali po alei każdego „dnia” w określonym czasie.

Innych rzeczy nie dotykali — nie pozwalała im na to nienawiść.

Czterej byli pierwszymi ludźmi ze swego narodu, którzy udali się w Kosmos. Wiodła ich nienawiść i kierowała ich postępkami.

Nienawiść i miłość.

Poprzedni gospodarze statku — to był obiekt ich nienawiści. Wolność i poprzednie życie było tym, co kochali.

Istniało jednak i trzecie — nieznani ludzie na nieznanym planecie. Zagrażali im ci, których czterej nienawidzili. Czterej śpieszyli na pomoc obcym i mimo woli, nie znając, kochali ich jak braci, których spotkało to samo nieszczęście, jakie ich spotkało.

Jednakże dla czterech ważniejsza była nie miłość, ale nienawiść.

Ich ojczyzna była teraz wolna i mogła żyć tak jak poprzednio, przed pojawieniem się „nienawistnych”.

Czterdziestu trzech wrogów uniknęło jednak sprawiedliwej kary. Trzeba ich było osiągnąć i zniszczyć.

Jeśli wrócą i dowiedzą się, co stało się w czasie ich nieobecności, zemszczą się za śmierć swoich współbraci.

Czterdziestu trzech nie powinno wrócić.

Dla czterech nie było ważne to, że jest ich tylko czterech. Gdyby ich było dziesięć, czy sto razy więcej, i tak nie daliby sobie rady z potężnymi przybyszami. Nienawistni byli silniejsi. Podporządkowali sobie siły jeszcze nie znane i niedostępne dla narodu, do którego należeli czterej.

Mieli jedynie nadzieję, że pomogą im ci, którym śpieszyli sami na pomoc.

Jeszcze niedawno na ojczystej planecie czterech nikt nie myślał o istnieniu innych planet, innych ludzkości. Nikt nie zastanawiał się nad tajemnicami wszechświata. Byli dziećmi natury, dobrymi i ufnymi. Mieli prymitywną technikę, ograniczoną wiedzę i wiedli proste życie.

Trzy pokolenia żyły pod jarzmem, pod okrutnym i bezlitosnym terrorem, pracując na przybyszów.

Przyroda planety była bogata i różnorodna. Szczodrze dawała swoim dzieciom wszy-

stko, czego potrzebowały. Ludzie nie odczuwali ani głodu, ani pragnienia, ani zimna. Nie było drapieżnych zwierząt, nie było przed kim się bronić. Ta prawie że absolutna nieobecność walki o byt oddała im kiepską przysługę. Ich rozum zamarł, zabrakło potężnego impulsu, który ruszyłby go naprzód.

Drzemał rozum i na to, by się zbudził, potrzebny był wstrząs z zewnątrz.

Takim wstrząsem okazali się przybysze.

Trzy pokolenia żyły pod jarzmem.

Nienawistni odnosili się do tubylczej ludności z chłodnym okrucieństwem. Zmusili ją do zbudowania dla siebie całego miasta. Tych, którzy próbowali się sprzeciwić, zabijali.

Byli silni, bo wspomagała ich wiedza i technika. Było ich mało i rządili strachem.

Żeby zachować życie, trzeba się było przystosować. Pojawiła się walka o byt.

I w ciągu zaledwie trzech pokoleń mieszkańcy wyspy zmienili się nie do poznania. Wiele zrozumieli i wiele się nauczyli. W ich rozwoju dokonał się wielki skok.

Odnosząc się z głęboką pogardą do mieszkańców wyspy przybysze nie docenili wrodzonej inteligencji, zdolności i możliwości swych niewolników.

I zapłacili za to najwyższą cenę.

Przebudzony rozum nie może pogodzić się z gwałtem. Stało się to, co musiało się stać nieuchronnie.

Przybysze zniknęły z powierzchni planety.

Jednak czterdziestu trzech z nich jeszcze żyło. I oni powinni byli także zniknąć!

Nikt nie wiedział, skąd zjawili się przybysze, czego tu szukali, co chcieli osiągnąć.

Nietrudno by ich było zgładzić od razu. Jednak gdy osiem gigantycznych statków wylądowało na wyspie, mieszkańcy serdecznie powitali nieznaną istotę, zupełnie niepodobną do nich samych. A potem było już za późno. Musiało minąć wiele czasu, musiano się wiele nauczyć, by móc skierować technikę przybyszów przeciw nim samym.

„Nienawistni” — tak nazywało przybyszów pierwsze pokolenie, gdy znalazło się w ich mocy. Tak nazywało ich obecne, czwarte pokolenie wyspiarzy.

Trzy pokolenia zeszyły do grobu. A przybysze byli ciągle ci sami. Wydawało się, że panowali również nad śmiercią. Żaden z nich nie umarł w ciągu pobytu na wyspie. Przeciwnie, liczba ich powiększała się — rodziły się dzieci.

Przybysze nie byli jednak nieśmiertelni. Wyspiarze przekonali się o tym, gdy długo gromadzony gniew przekształcił się w powstanie i wszyscy, oprócz czterdziestu trzech, którzy wylecieli, wszyscy bez wyjątku zostali zgładzeni.

Czterdziestu trzech wymknęło się przypadkiem. Opuścili planetę, nic nie wiedząc o przygotowywanym powstaniu.

Jeden z przybyszów wyleciał jeszcze wcześniej.

Z ośmiu statków na planecie pozostało sześć.

Przybysze bardzo troszczyli się o swe statki. Czy wszyscy zamierzali odlecieć z planety? Tego nikt nie wiedział. Wyspiarze dawno stracili nadzieję.

...Czterej lecieli w nieznaną dal.

Wiedzieli jednak, w jakim celu poleciało czterdziestu trzech, których chcieli dogonić.

„Nienawistnym” nie wystarczała jedna planeta, przygotowywali się do podbicia innej. Wyspiarzom wydawało się, że ich wyspa jest „całą” planetą.

Wśród przybyszy znajdowali się różni ludzie. Niektórzy z nich odnosili się dobrze do miejscowej ludności, zniżali się nawet do rozmów, odpowiadali na pytania.

Był wśród nich jeden, którego wyspiarze nawet lubili, jednak odleciał razem z czterdziestu trzema.

Nazywali go Rijageja.

Gdyby pozostał, oszczędziliby go.

Często rozmawiał z ludźmi i wiele im wyjaśnił.

Dlaczego to robił? Nie wiedzieli.

Czterej byli przekonani, że nie znana im planeta jest podobna do ich własnej, i że mieszkańcy tej planety znajdują się pod jarzmem nienawistnych.

Trzeba im o wszystkim opowiedzieć, uprzedzić o losie, który im grozi.

Czterej mogli to zrobić.

Dawno, jeszcze za życia drugiego pokolenia, trzy statki przybyszów opuściły wyspę i potem wróciły. Wróciły z tą samą załogą.

Jednego z jej członków nazywali Deja. Miał córkę, która nosiła imię Gianeja.

Ojciec przywiózł z wyprawy nowy język, którego przedtem nikt nie słyszał.

Przybysze zmuszali wyspiarzy nie tylko do pracy na swych budowach, ale także do obsługiwania ich samych. W każdym domu znajdowała się służba pochodząca z miejscowej ludności.

Służącym w domu Dei był Merigo, młody człowiek, obdarzony wspaniałą pamięcią, jeden z tych czterech, którzy lecieli teraz w nieznanym kierunku. Ale teraz nie był już młody.

Deja uczył córkę nowego języka. W jego domu ten język słyszało się częściej niż język nienawistnych, którym mówili wszyscy.

I choć Merigo nie wiedział, po co mu to jest potrzebne, mimo woli sam nauczył się tego języka.

Deja nazywał go „hiszpańskim”. Merigo wkrótce domyślił się, że jest to język tej planety, którą odwiedził Deja z towarzyszami.

A gdy dorosła Gianeja odleciała razem z czterdziestu trzema, Merigo zrozumiał, dlaczego uczyli ją obcego języka. Miała rozmawiać z miejscową ludnością.

Wiedział, że Gianeja nie chciała odlecieć z wyspy. Płakała, jednak przybysze byli okrutni, nie tylko w stosunku do pokonanych wyspiarzy, ale i wobec siebie. Okrutny był także ojciec w stosunku do córki.

Wiele razy musiał Merigo i inni słudzy Dei znosić okrucieństwo gospodarzy. Bito ich za najmniejsze przewinienie, a troje za niewielkie wykroczenie zapłaciło nawet życiem. Spalono ich żywcem na stosie.

Tak zginęła siostra Merigo. Głęboko więc nienawidził przybyszów i nienawistne było dla niego to wszystko, co miało z nimi jakiś związek.

Merigo pierwszy dowiedział się o odlocie nienawistnych na inną planetę.

Miały lecieć dwa statki. Potem jednak, nie wiadomo dlaczego, poleciał tylko jeden.

Drugi, całkowicie przygotowany, pozostał. Prawdopodobnie miał wystartować trochę później.

Jednak nie zdążył. Wybuchło powstanie.

Nienawistni nie robili niczego sami. Również i do przygotowania obu statków użyli niewolników. Najbardziej rozwiniętych i najbardziej oświeconych.

Niewolnicy oczywiście nie rozumieli techniki. Nie wiedzieli, dokąd odleciał statek. Wiedzieli jednak, że w trakcie lotu załoga będzie spała, a kierowanie statkiem obejmie zagadkowy mechanizm, który nienawistni nazywali „mózgiem nawigacji”.

Ten mózg doprowadzi statek do celu.

Oba statki przygotowano w ten sam sposób i w tym samym czasie.

Kiedy jeden odleciał, gdy już rozprawiono się z przybyszami, postanowiono wykorzystać drugi statek.

W długo uciskanym narodzie rozwinęło się poczucie solidarności. Chcieli pomóc innym, chcieli zaoszczędzić im swego własnego losu i dobrze rozumieli, że nie można pozostawić przy życiu czterdziestu trzech.

A właściwie czterdziestu dwóch, ponieważ nikt nie podniósłby ręki na Rijageję.

Wiedzieli, jak uruchomić mechanizmy statku, ale nic więcej. I nawet nie zastanawiali się nad szaleństwem swego planu.

Czterej odlecieli.

Merigo miał opowiedzieć o wszystkim tym nie znanym jeszcze ludziom innej planety. Miał pomóc trzem swoim towarzyszom mówić i rozumieć odpowiedzi tych ludzi.

Już teraz uczył ich hiszpańskiego. Przecież jeżeli uda im się za życia osiągnąć cel, wszyscy czterej będą musieli całe życie spędzić na obcej planecie. Któż mógł wskazać im powrotną drogę?

Jedynie tylko Rijageja.

Czy jednak zechce to zrobić? Nie wiedzieli, jak zareaguje na wiadomość o zagładzie wszystkich swoich rodaków.

Czterej byli przygotowani na to, że nigdy nie wrócą do ojczyzny.

— Znów spotkam się tam z Gianeją — powiedział Merigo. — Nie spodziewa się tego spotkania. I sam, własnymi rękoma, zabiję ją.

Ile czasu mieli jeszcze lecieć?

Tego nie wiedzieli.

III

— Oto! — powiedziała Gianeya — to, czego szukacie.

Łączność radiowa pomiędzy czterema łazikami była utrzymywana bez przerwy. Jej słowa, które Muratow natychmiast przetłumaczył, usłyszeli jednocześnie wszyscy. Radość i podniecenie opanowały uczestników poszukiwań, wszystkich ludzi, znajdujących się w czterech maszynach.

— Gdzie? — zapytał Stone w języku Gianei.

Znaleźć bazę na drugi dzień po rozpoczęciu poszukiwań! Co za sukces! Po prawie trzech latach niepowodzeń.

— Wprost przed nami. I to blisko.

Muratow przetłumaczył odpowiedź.

Łaziki zatrzymały się.

Nic nie widzieli przed sobą. Te same ciemne, brunatnoszare pocięte szczelinami skały, żółtawy pył grubą warstwą pokrywający grunt. Wysoko w niebo strzelały ostre wierzchołki gór.

Nigdzie i nic!

Tak wydawało się ludziom Ziemi. Jednak Gianeya widziała coś innego.

Nikommu by nie przyszło do głowy, żeby szukać bazy w takim miejscu. Tutaj nigdy by nic nie znaleźli.

Wprost przed nimi, w odległości jakichś dwustu metrów, wygięty górski grzbiet kończył się ostrym występem, gdzie piętrzyły się ogromne zwaliska kamieni — ślad lawiny. Ostry załom skrywał się w nieprzeniknionym czarnym cieniu. Ile takich załomów spotykano w czasie poszukiwań! Właśnie tam, w ten cień wskazywała ręka Gianei.

— Tam? — zapytał Stone. — W cieniu?

— Tak. W samej głębi.

— Reflektory! — rozkazał Stone.

Cztery silne snopy światła z czterech maszyn rozcięły czarny mrok.

Nic! Te same skały, to samo podnóże gór. Jak wszędzie!

— Tutaj nigdy byśmy niczego nie znaleźli — powiedział Wieriesow. — A przecież jesteśmy tak blisko stacji.

— Czy jest pani pewna? — spytał Stone.

— Widzę! — odpowiedziała po prostu Gianeya.

Jak się później okazało, wszyscy w tym momencie pomyśleli o tym samym: „W tym miejscu panuje wieczny mrok. Nigdy nie docierają tu promienie słońca. Górskie skały są oziębione prawie do absolutnego zera. Czyż może być tutaj jakiegokolwiek promieniowanie podczerwone? Czy Gianeya może cokolwiek widzieć? A jeśli widzi, to znaczy, że jej wzrok obejmuje nie tylko podczerwoną część widma”.

Co do tego, czy Gianeya rzeczywiście widzi tajemniczą bazę, nie było wątpliwości.

— Jaką w przybliżeniu powierzchnię zajmuje baza? — zapytał Stone.

Po przetłumaczeniu jej pytania Gianeya się zamyśliła. Muratow sądził, że nie zna ziemskich miar długości i powierzchni, okazało się jednak, że przyczyna jej milczenia była zupełnie inna. Po prostu chciała odpowiedzieć możliwie dokładnie.

— Trudno mi jest określić to na oko — powiedziała wreszcie, wydaje się jednak, że powierzchnia bazy zajmuje około sześciu tysięcy metrów kwadratowych.

„Jednak — pomyślał Muratow. — Zna język jak rodowita Hiszpanka. Potrafi mówić nawet o arytmetyce. Zupełnie niepojęte”.

Muratow przetłumaczył odpowiedź Stone'owi.

— To znaczy — powiedział naczelnik ekspedycji — mniej więcej osiemdziesiąt na osiemdziesiąt metrów. Tak niewielką powierzchnię mogą zbadać nasze maszyny robocze.

Natychmiast wydał rozkaz, by w tamto miejsce skierować jeszcze jeden łązik wyposażony w aparaturę.

— Całą parą naszymi śladami — rozkazał przez mikrofon.

— Nie ma ukrytych szczelin, droga jest bezpieczna. Proszę uprzedzić inżyniera Sabo. Czekam piętnaście minut.

Reflektory oświetlały skalne stopnie w głębi załomu. Po raz pierwszy przeniknęło tu światło, cienie były ostre i wyraziste. Ale, tak jak poprzednio, wydawało się, że między skałami nic się nie kryje.

Stone'owi przemknęła przez głowę niepokojąca myśl.

— Proszę ją zapytać — powiedział — czy oświetlanie tej bazy nie jest niebezpieczne?

Gianeya odpowiedziała, że tego nie wie.

Kierując się, co prawda trochę spóźnioną, ostrożnością Stone kazał pogasić reflektory.

— Kiedy będą potrzebne, zapalimy je znowu.

— To dziwne — zauważył Muratow. — Sputniki przecież są nieprzezroczyste. Dlaczego więc nie zasłaniają skały, która znajduje się za nimi? Dlaczego nie rzucają cienia?

— A może nie ma ich tutaj? — zastanawiał się głośno Tokariew. — Może baza jest opuszczona?

— Proszę zapytać o to Gianeję — powiedział Stone.

Muratow wytłumaczył, jak tylko mógł najdokładniej, co w danej chwili zbija z tropu i jego, i pozostałych uczestników ekspedycji.

— Dziwi mnie trochę — odpowiedziała Gianeya, — że nie widzicie tego sami. Jednak potrafię zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. My nie podejrzewaliśmy, że ludzki wzrok posiada właśnie takie cechy. Przekonałam się o tym dopiero na Ziemi. — Mogło się wydawać, że Gianeya zapomniała o wczorajszej rozmowie. — Przestajecie cokolwiek widzieć, kiedy nie ma światła. Chciałam powiedzieć, takiego światła, które możecie spostrzec. My widzimy o wiele więcej. Ciemne dla was przedmioty, dla nas są oświetlone. Prawda, że to dziwne, Wiktorze? Przecież jesteście tak do nas podobni.

Pomyślał, że niefortunnie wybrała czas na podobną rozmowę. I nie potrafił ukryć zniecierpliwienia, kiedy poprosił, by odpowiedziała na zadane pytanie.

— Dlaczego zwraca się pan do mnie takim szorstkim tonem? — jak gdyby nigdy nic zapytała Gianeya. — Nie przywykłam, by rozmawiano ze mną w ten sposób.

— Proszę wybaczyć! Ale jesteśmy bardzo zdenerwowani.

— Nie widzę powodów do zdenerwowania. To, czego szukaliście, zostało odnalezione. Czego jeszcze chcecie?

W jej tonie wyraźnie dawało się odczuć: zrobiłam to, czego chcieliście. A teraz proszę zostawić mnie w spokoju.

— Gianejo! Jedyne pani widzi bazę, my nie — powiedział Muratow. — Proszę nam jeszcze raz pomóc.

Wzruszyła ramionami. To był charakterystyczny gest, właściwy tylko jej.

— Opuśćcie niżej reflektory! — powiedziała to takim tonem, jakim przemawia nauczyciel do niedorozwiniętego ucznia. — Baza — po raz pierwszy wyraźnie wymówiła to słowo — jest położona w zagłębieniu. Zdaje się, że zostało zrobione specjalnie w tym celu, ponieważ ma jakby wytyczone linią granice. Niczego nie widzicie, ponieważ promienie światła padają wyżej.

Zrozumiała wprawdzie, że jej wzrok różni się od wzroku ludzi Ziemi, ale pojęła to tylko rozumowo. Zrozumieć do końca, tak, by potrafić to odczuwać, Gianeję nie potrafiła.

— Poczekamy — powiedział Stone, kiedy Muratow przełożył mu to, co powiedziała Gianeję. — Nie wiemy, jak podziela światło na urządzenia tej bazy. I tak bardzo ryzykowaliśmy, zapalając bez zastanowienia reflektory. Ale to moja wina.

Dokładnie po piętnastu minutach podjechała piąta maszyna. Nastąpił długo oczekiwany moment operacji.

Stone cofnął swego łązika trochę do tyłu i w bok.

Cztery robocze maszyny ustawiły się na jednej linii. Od granicy niewidocznej dotąd bazy dzieliło je ponad sto metrów — odległość, która pozwalała i na zapewnienie całkowitego bezpieczeństwa, i na wygodę pracy. Nawet wybuch dużej siły, a nawet anihilacja, nie wyrządzi tu żadnej szkody. Nie było tutaj przecież atmosfery, nie trzeba więc było obawiać się wstrząsu powietrza. Istniała wprawdzie teoretyczna możliwość, że baza wybuchnie jak bomba atomowa, powodując olbrzymi wzrost temperatury. Jednak w konstrukcji łązików, które były zbudowane specjalnie dla poszukiwania bazy, przewidziano i taką możliwość, toteż wybuch atomowy nie powinien był ich uszkodzić, załogi pozostałyby więc i wtedy nietknięte. Oczywiście, istniało jakieś ryzyko, jednak z tym należało się pogodzić. Nie można było odprowadzić łązików jeszcze dalej, na absolutnie bezpieczną odległość, gdyż wtedy trudno by było kierować robotami.

Nikt z uczestników ekspedycji nie zastanawiał się nad możliwością jakiegoś niebezpieczeństwa. Ludzie wiedzieli tylko jedno: baza została znaleziona i trzeba ją zniszczyć.

Trzeba! To słowo było zupełnie wystarczające.

W maszynie Stone'a zjawił się inżynier Laszlo Sabo, kierownik techniczny wszystkich poprzednich sześciu ekspedycji. Był to krępy, barczysty człowiek, niewielkiego wzrostu i w nieokreślonym wieku. Rysy twarzy świadczyły o silnej woli. Nosił niewielką spiczastą bródkę, ozdobę bardzo rzadko spotykaną w tej epoce.

Muratow jeszcze w czasie drogi z Ziemi na Księżyc zauważył, że Gianeję najwyraźniej nie znosi tego człowieka. Nie grał tu chyba roli niewielki wzrost Sabo.

Ostatnio Gianeję stała się bardziej tolerancyjna w stosunku do podobnych ludzi. Widocznie rozumiała, że ludzie Ziemi są jednakowi, niezależnie od swego wzrostu. Do swych poprzednich manier powróciła w czasie spotkania z Bołotnikowem. Antypatia Gianei miała więc jeszcze jakieś inne, dotąd nie znane przyczyny.

Poruszyła się, kiedy Sabo idąc do swojego miejsca w łąziku skinął jej na powitanie. Muratow widział, jak wiele wysiłku kosztowało Gianeję odwzajemnienie się takim samym gestem.

Dowództwo całej operacji przejął Sabo, ledwie zdążywszy pozbyć się księżycowego skafandra.

— Uwaga! — powiedział. — Zaczynamy wykonywanie pierwszej części programu —

zwiad. Wypuścić robota numer jeden!

Z maszyny, w której znajdował się Sinicyn wypełzła jasno świecąca w promieniach słonecznych kula na gaśnicowym podwoziu.

W przeddzień odlotu Wieriesow opisał Muratowowi dokładnie jej konstrukcję. Była to skomplikowana, nowoczesna maszyna, owoc wysiłku konstruktorów i techników, teraz najprawdopodobniej skazana na zagładę.

Robot odpełził na jakieś dziesięć metrów i zatrzymał się. Czekał na komendę.

Sabo przełączył dźwignię na tablicy łączności radiowej.

— Na-przód! — powiedział, składając każdą sylabę.

— Pierwszy zwiad!

Robot zakołysał się i szybko popęzł w kierunku górskiego zagłębienia.

Garcia zasiadł teraz przy pelengatorze. Trzeba było uważnie śledzić, czy nie pojawi się jakiś sygnał radiowy. Stone pochylił się nad podczerwonym ekranem.

Nie podejmowali żadnych środków obrony przeciw ewentualnemu wybuchowi, podobnemu do tego, który zdarzył się podczas anihilacji robota-zwiadowcy trzy lata temu, w czasie ekspedycji „Titowa”.

Ponieważ ekrany nie przepuszczały zbyt silnych promieni świetlnych, oczom ludzkim bez względu na okoliczności, nic nie zagrażało.

Było dobrze widać, jak w miarę przybliżania się do granicy czarnego cienia, robot posuwał się coraz wolniej. Jak żywa i rozumna istota zbliżał się do celu bardzo ostrożnie. Maszyna nie była żywa, posiadała jednak wysoko rozwinięty „mózg”.

Wreszcie robot zatrzymał się. Jego przednia część pograżyła się w cieniu i natychmiast zniknęła z oczu, tylna nadal błyszczała w słońcu. Wydawało się, że niespodziewanie czyjaś niewidzialna ręka przecięła maszynę na pół.

Szczęknał kontakt odbiornika i rozległ się wyraźny metaliczny głos:

— Szczelina. Dwa metry głębokości. Długość dziewiętnaście metrów. Widoczność zero.

— To nie jest szczelina — powiedział Stone. — To sztuczne zagłębienie, w którym znajduje się baza. Co będziemy robić, Laszlo? Włączenie światła jest ryzykowne.

— A na czym polega ryzyko? — sprzeciwił się Sabo. — Wybuchnie? No to niech wybuchą. Przecież sami chcemy zniszczyć bazę. — Pochylił się lekko do przodu i powiedział do mikrofonu, tak jak poprzednio dzieląc sylaby: — Świat-ło! Prze-kaz te-le-wi-zyj-ny!

We wszystkich łazikach ludzie pośpiesznie manipulowali przełącznikami. Dolna część ekranów trochę pociemniała, teraz stała się ekranem telewizyjnym. Górna, tak jak poprzednio, była przeznaczona dla obserwacji wizualnych.

W czarnej mgle, w której skryła się przednia część robota, zapłonął silny promień światła. To znaczyło, że robot skierował światła reflektorów. Na ekranach telewizyjnych pojawił się równy, jakby prowadzony pod linijkę, zarys urwiska. Robot był oddalony od niego około dwadzieścia metrów, jak wydawało się ludziom, a według określeń samego robota — o dziewiętnaście.

— Po-dejść bli-żej! — rozkazał Sabo.

Robot zniknął zupełnie z oczu. Jedyne światło jego reflektorów wskazywało miejsce, w którym się znajdował.

Urwisko przybliżyło się. Nie można już było wątpić, że nie jest tworem natury.

— Szerzej światło! — nastąpiła komenda.

Było dobrze słyszeć, jak tam, we wnętrzu kuli, szczękneły kontakty przełączników. Promień światła rozszedł się na wszystkie strony. Jego moc zwiększyła się.

Teraz cały wyrąbany w skalistym gruncie wykop był doskonale widoczny. Miał regularną formę kwadratu o głębokości dwóch metrów i równym gładkim dnie.

Oto nareszcie tajemnicza baza innego świata, przez trzy lata starannie szukana przez

ludzi!

W pierwszej chwili wydało się wszystkim, że baza jest pusta. Ani sputników-zwiadowców, ani jakichkolwiek aparatów. Później jednak ludzie zauważyli cienie rzucane jak gdyby przez puste miejsce. Całkowicie niewidoczne aparaty bazy nie były przecież przezroczyste, jak przypuszczano, wchłaniały światło, choć go nie odbijały.

Cieni było wiele, tworzyły zawiłą gmatwaninę. Nie można było niczego odróżnić.

Robot stał teraz na samym skraju wykopu, w pobliżu sputników, które na pewno się tu znajdowały. Jednak nic się nie stało, robot był cały. Nie pojawiła się oczekiwana przez wszystkich anihilacja.

A może urządzenia obronne są teraz wyłączone? A może działają tylko w czasie lotu?

— Zbliżymy się sami — zaproponował Stone — albo wyślemy ludzi-zwiadowców.

— Za wcześnie! — urywanym głosem odpowiedział Sabo. — U-wa-ga! Wy-puś-cić ro-bo-ty nu-mer o-siem, dzie-więć, je-de-naś-cie i dwa-naś-cie.

Na księżycowy grunt wyszły cztery maszyny. Od pierwszej różnił je długi, cygarowaty kształt. Na dziobie każdego sterczał wysunięty daleko do przodu stożkowaty występ.

— Na-przód! Fron-tem!

Jak dobrze wyćwiczeni żołnierze dawnych czasów, roboty ustawiły się w jednej linii i znikły w mroku załomu. Nie obejmowało ich światło reflektora pierwszej maszyny, zniknęły więc z ekranów telewizyjnych.

— Czy te maszyny rozumieją wszystko, co się do nich mówi? — zapytała Gianeja.

— Nie — odpowiedział Garcia. — Dysponują określonym zapasem słów, które rozumieją i mogą same wymawiać.

— Czy na pani planecie są takie maszyny? — zapytał Muratow.

Gianeja skrzywiła się, jak gdyby pytanie sprawiło jej przykrość, jednak odpowiedziała:

— Nie widziałam. Ale i u nas są myślące maszyny.

Robot numer jeden metalicznym głosem zakomunikował, że cztery maszyny pomocnicze są na miejscu i mogą przystąpić do pracy.

— Roz-py-lać! — zakomenderował Sabo. — Program dru-gi!

Muratow ze szczególnym zainteresowaniem patrzył na ekran. Urzeczywistniały się teraz jego idee.

Było dobrze widać, jak do jasno oświetlonego przez reflektory wykopu z ogromną siłą wtargnął strumień czarnego koloru. Za nim drugi — czerwonego koloru. Trzeci — żółtego. I wreszcie ostatni zielony. Wykop przesłoniła różnokolorowa mgiełka.

A kiedy skończyły pracować rozpylacze zobaczono zadziwiający obraz.

IV

Ludzie Ziemi dawno już zbadali swych niebieskich sąsiadów-planety systemu słonecznego, od dawna już oczy Ziemiaków przywykły do oglądania obrazów przyrody, do badania flory, a niekiedy i fauny innych światów.

Nikt jeszcze nie widział jednak żadnego tworu rąk wykonanego przez istoty innego świata, wyjąwszy odzież, w której Gianeja pojawiła się przed ludźmi na Hermesie.

I oto przed niewielką grupą ludzi pojawił się cały zespół przedmiotów zrobionych poza Ziemią. I nie były to oddzielne nie powiązane ze sobą przedmioty, ale właśnie kompleks podporządkowany jednemu celowi, jednemu zamierzeniu, połączony tą samą myślą naukową i techniczną. Myślą innego, obcego dla Ziemi świata. Napięcie patrzących było tak wielkie, że ci, którym polecono sfilmowanie bazy w chwili, kiedy stanie się widoczna, nie od razu przy-

pomnieli sobie o swoich obowiązkach.

Szybko jednak oprzytomnieli i gdy zaczęto operację, wszystko zostało po wieczne czasy utrwalone na taśmie. Przez dziesięć minut załogi wszystkich pięciu łazików w milczeniu przyglądały się temu, co pojawiło się przed ich oczami. Każdy chciał na zawsze zapamiętać ten widok.

Przed nimi pstre, jak dziecinne zabawki, stały dwa ogromne czterdziestometrowej długości jajowate ciała, gładkie, bez śladów rur odprowadzających czy dyszy.

Tak właśnie wyglądały tajemnicze sputniki-zwiadowcy, które przez tak długi okres czasu pochłaniały uczonych i przysparzały tyle kłopotów i niepokojów służbie Kosmosu.

Ze wszystkich stron z niewielkich wypukłości w kształcie kopuł wznoszących się nad gruntem na jakieś dwadzieścia centymetrów do każdego „jaja” były doprowadzone długie węże. Było oczywiste, że jest to część zewnętrzna, a wszystko pozostałe kryje się w księżycowym gruncie; żeby zobaczyć, co tam się kryje, trzeba będzie zrobić wykopy. Na drugim krańcu wgłębienia widoczny był jakiś długi przedmiot w kształcie rombu.

Z zapiętym tchem przyglądali się ludzie wydostanej, jakby z niebytu, bazy i sputnikom. Wszystko było nieruchome, zastygłe, jak gdyby skute straszliwym mrozem księżycowego cienia.

Farba prawie że nie tknęła gruntu, więc wszystko, co zostało pomalowane, nabrało bardzo plastycznych kształtów. Romb, kopuły, węże i sputniki-zwiadowcy wydawały się zbudowane z metalu, jednak farba, dzięki której stały się widoczne, nie pozwalała stwierdzić tego z pewnością.

Przedłużającą się ciszę przerwał Sabo.

— Zabrać rozpylacze! — Jego głos brzmiał tak samo spokojnie i równo, jak i poprzednio. — Uwaga! Wypuścić robota numer dwa i robota numer trzy!

Teraz pojawiły się mechanizmy, niepodobne w niczym do poprzednich. Były to „roboty-ludzie”, z nogami, rękoma i okrągłymi szklanymi „głowami”. Szybko, choć trochę niezgrabnie posuwały się w stronę wgłębienia.

Cztery podobne do cygar roboty wróciły, każdy do swego łazika, i zniknęły we wnętrzu maszyn.

Nastąpiła najważniejsza, a zarazem najciekawsza faza operacji.

Sabo przygotował się do przyjmowania informacji.

Czy jednak uda się dowiedzieć czegokolwiek? Czy sputniki i ich baza na to „pozwolą”?

Robot numer dwa podchodząc do skraju urwistej krawędzi, zręcznie opuścił się na platformę. Robot numer trzy, nie wiedząc czemu, zatrzymał się, ale później opuścił się również.

— Numer pierwszy — powiedział Sabo. — Przekazuję kierowanie! Poszukiwanie numer dwa!

— Poszukiwanie numer dwa — obojętnie powtórzyła niewidoczna na ekranach kula.

Muraton pamiętał wyjaśnienia Wieriesowa. Oba „roboty-ludzie” zostały podporządkowane rozkazom mózgu elektronowego, który mieścił się w kuli. Teraz wypełniać będą tylko jego rozkazy. Kula znajdowała się bliżej miejsca akcji i miała bezpośrednią „wzrokową” łączność z wykonawcami. Posiadała wystarczający „refleks”, by w razie jakiegokolwiek nieprzewidzianej okoliczności, podjąć trafną decyzję daleko szybciej, niż mógłby to zrobić człowiek.

Roboty rozeszły się. Jeden skierował się do bliższego sputnika, drugi do rombu.

Baza nie reagowała. Wydawało się, że nie ma tu żadnych mechanizmów obronnych, które chroniłyby ją przed wtargnięciem niepożądanych gości. A przecież przekonano się już, że sputniki taką obronę posiadają.

Dlaczego więc obrona nie działa?

Muraton popatrzył na Gianę. Z wyraźnym zainteresowaniem obserwowała to, co się działo. Na jej twarzy nie malowała się żadna obawa.

O czym mogła teraz myśleć? Co czuła?

Ludzie Ziemi przystępowali do zbadania tajemnicy, którą współplemieńcy Gianei chcieli przed nimi ukryć.

Robot numer trzy zatrzymał się nagle i skierował się z powrotem w kierunku kuli.

— Pewno zdecydował, że badanie należy prowadzić systematycznie — powiedział Stone, mając na myśli mózg elektronowy. — Obawia się, że mogą powstać zakłócenia w trakcie jednoczesnej informacji.

— Tak, prawdopodobnie tak — zgodził się Sabo.

Robot numer dwa bez przeszkód zbliżył się do rombu.

Zapaliła się zielona lampka sygnalizacyjna na płycie odbiornika za szkłem wąskiego „okienka”, ruszyła z cichym szelestem taśma zapisu.

Robot przystąpił do pracy.

Pracował metodycznie, z obojętnością, na jaką stać tylko maszynę. Zakomunikował, jakie są rozmiary rombu, stwierdził, że jego większa część kryje się w skale, i przystąpił do badania materiału, z którego była zrobiona zewnętrzna powłoka.

Początkowo wszystko szło gładko. Na taśmie pojawiały się szybko symbole pierwiastków chemicznych. Żelazo, aluminium, mangan, wapń.

Ale oto pojawił się znak zapytania. Znaczyło to, że robot napotkał nie znany sobie pierwiastek lub stop kilku pierwiastków, którego nie potrafił rozłożyć.

Drugi znak zapytania... trzeci!

— Żle! — powiedział Sabo. — Konstrukcja nie została przemyślana do końca. Nie umie przeprowadzić analizy, której mu nie zaprogramowano.

— Nic podobnego! — w głośniku rozległ się czyjś głos z innego łazika. — Jego program pozwala na przeprowadzenie każdej analizy spośród tych, które kiedykolwiek przeprowadzono na Ziemi. A to, czego nie mogą, czy też nie potrafią dotąd robić ludzie, on oczywiście też nie potrafi.

— Adwokat jest niepotrzebny — zażartował Sabo. — Ten zawód od dawna przestał już istnieć na Ziemi.

— Czy domyśli się, że powinien odciąć kawałeczek rombu, by można było zrobić analizę na Ziemi? — zapytał Stone.

Sabo nie musiał odpowiadać na pytanie. Odpowiedziała za niego kula.

Zobaczyli, że robot wy dostał jakiś przyrząd. Było to dłuto. Posypały się iskry.

— Materiał nie poddaje się — spokojnie zawiadomił mózg elektronowy. — Przyślijcie drugiego robota.

— Lepszego nie ma — odpowiedział Sabo.

— Przerywam — powiedziała kula.

I wówczas robot numer dwa schował elektryczne dłuto.

— Żle! — powtórzył Sabo. — Właśnie w tym, czego nie potrafi zrozumieć nasz zwiadowca, kryje się tajemnica niewidzialności.

— A może spróbować odciąć kawałek kopuły? — zaproponował Stone.

Elektronowy mózg kuli doszedł do takiego samego wniosku. Robot skierował się do bliższej kopuły.

Tutaj jednak też się nic nie udało. Materiał, z którego wykonano urządzenia bazy, nie poddawał się.

Robot powrócił do rombu.

Podniósł ręce i położył je na jego powierzchni.

I znowu nie stało się nic strasznego.

Pracę robota sygnalizowała gwałtowna zmiana barwy ekranów na zielonkawe. Zbliżenie rombu stojącego obok robota zajęło prawie całą powierzchnię ekranu.

Potem wszyscy zobaczyli, jak zbladła i rozplynęła się powierzchnia rombu, a na ekranie pojawiły się jakieś przewody, dźwignie, ostre krawędzie nieznanymi aparatów.

Otwarło się wnętrze rombu.

— Jeśli rzeczywiście jest to elektronowy mózg bazy — powiedział Tokariew — to po cóż tu dźwignie?

— Może to wcale nie są dźwignie — odezwał się Sabo — a tylko coś do nich podobnego. Niech pan nie zapomina, profesorze, że to nie jest ziemską konstrukcją.

— O tym nie można zapomnieć.

Robot zastygł nieruchomo. Poruszająca się taśma odbiornika wskazywała na to, że aparat cybernetyczny „rozważa” coś skomplikowanego.

— Schemat się nie poddaje, przyslijcie drugiego robota! — rozległ się metaliczny głos kuli.

— Doskonalszego nie ma — jak i poprzednio odpowiedział Sabo.

Jednak słowo „przerywam” nie padło. Widocznie kula nie traciła nadziei, że jej pomocnikowi, mimo wszystko, uda się zrozumieć schemat mózgu elektronowego bazy, który był prawdopodobnie bardziej złożony niż jego własny.

Wnętrze rombu ciągle widniało na ekranie telewizyjnym.

Na ekranie wizualnym widać było, jak robot numer trzy znów skierował się w kierunku sputnika. Kula nie chciała tracić czasu. Ponieważ przekaz informacji od robota numer dwa chwilowo urwał się, kazała rozpocząć pracę robotowi numer trzy.

— Wydaje się, że uda się nam jednak zbadać bazę i gruntownie zaznajomić się z jej urządzeniami — powiedział Stone. — Gdzież to niebezpieczeństwo, o którym mówiła Gianeja?

Gianeja usłyszała swe imię i pytająco spojrzała na Muratowa. Ten przetłumaczył słowa dowódcy ekspedycji, starając się zatrzeć w nich wrażenie, jakoby jej nie wierzone.

Wysłuchawszy, Gianeja wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, na czym polega niebezpieczeństwo — powiedziała — ale doskonale pamiętam słowa Rijagei. Powiedział on, że jeśli ludzie Ziemi spróbują zbliżyć się do bazy, to spowodują tym katastrofę. To wszystko, co wiem. Uważałam, że uprzedzenie was o tym jest moim obowiązkiem.

Jej słowa speszyły wszystkich.

— Być może... — zaczął Tokariew, Stone przerwał mu jednak.

— Gianeja mogła źle zrozumieć Rijageję — powiedział. — Albo, nie zdając sobie z tego sprawy, mogła nadać jego słowom inne znaczenie. Nie wolno z powodu niczym nie umotywowanego strachu, tracić jedynej szansy.

— Niczym nie umotywowanego! — powiedział Tokariew. — Czy dobrze słyszałem?

— Wszystko jedno! — Stone z irytacją machnął ręką. Był bardzo zły.

„Pewno czuje, że nie ma racji” — pomyślał Muratow.

— Zgadza się z Henrym — powiedział Sabo. — Skoro raz zaczęliśmy, musimy kontynuować.

Pozostali milczeli.

W czasie tej rozmowy robot numer dwa zbliżył się bezpośrednio do sputnika.

— Koledzy, patrzcie! — wykrzyknął Muratow, wskazując na ekran telewizyjny.

Ale wszyscy spostrzegli to jednocześnie.

We wnętrzu rombu coś się poruszyło. Krótkie błyski w postaci snopów iskier przebiegły po przewodach czy po tym, co ludzie uważali za przewody.

— Sygnały — powiedział Garcia, który siedział przy pelengatorze. — Fale ultrakrótkie.

Zaledwie przebrzmiały jego słowa, gdy ostry wybuch światła zalał ekran. Był bardzo jaskrawy i tylko dzięki ich osłabiającemu działaniu błysk nie oślepił ludzi.

— Wiedziałem — powiedział Stone.

— Anihilacja?

Ekran świecił nadal. Oznaczało to, że robot numer jeden nie ucierpiał i kieruje nadal

operacją.

Przekazywany przez niego obraz pojawił się znowu na teleekranie. Baza znów była widoczna.

Robot numer dwa tak jak poprzednio stał obok rombu.

Nigdzie nie było widać robota numer trzy. Los, jaki go spotkał, był oczywisty. Zbliżył się do sputnika, ten „zakomunikował” o tym rombowi. Wydano rozkaz i robot został natychmiast zniszczony.

Dokładnie tak samo został zniszczony robot-zwiadowca, którego wysłano trzy lata temu z pokładu „Titowa”.

Widocznie i wtedy sputnik otrzymał rozkaz z rombu.

— A pan twierdził... — powiedział Tokariew.

— Nie zmieniam swego zdania i teraz — odpowiedział Stone. — Baza jest dla nas bezpieczna. Obronę posiadają tylko sputniki.

— Uwaga! — powiedział Sabo. — Wypuścić robota numer cztery!

Słowo „uwaga” skierowane było do robotów, będących w akcji, jako znak, że rozkaz nie do nich się odnosi.

— Od razu trzeba było posłać czwarty numer — warknął Sabo. — Niepotrzebnie straciliśmy maszynę!

— Sami się zgodziliście, że należy określić stopień bezpieczeństwa — powiedział Stone.

Muratow wiedział, że robot numer cztery różni się od robota numer dwa i trzy jedynie wyposażeniem przeciwanihilacyjnym. Domyślił się, że Sabo chce sprawdzić te urządzenia, posyłając robota w kierunku tego samego sputnika.

Trzeci „człowiek” znacznie wyższy i masywniejszy od pierwszych dwóch zaczął iść w stronę wykopu.

Nie zdążył on jednak przejść nawet połowy drogi, kiedy zaszło to, czego nikt nie mógł oczekiwać ani przewidzieć.

Bliższy sputnik-zwiadowca nagle zakołysał się i szybko się podniósł do pozycji pionowej.

Za pierwszym podniósł się drugi.

Coś błysnęło w dolnej części aparatów...

I oba sputniki wzleciały nad wykop, na sekundę zamaryły w bezruchu... znowu zabłyśły dwie błyskawice... i sputniki-zwiadowcy zniknęły w czarnej otchłani księżycowego nieba.

V

Sabo zaklął ordynarnie.

— Doigraliśmy się — rozległ się z głośnika głos Sinicyna.

Stone zasępił się, mimo to milczał, choć uwaga Sinicyna była skierowana właśnie do niego.

— Czyż nie o tym mówił Rijageja? — powiedział Muratow. — Czyż nie to miał na myśli, mówiąc „katastrofa”?

— Przecież nie było katastrofy — powiedział Stone. — Po prostu sputniki wystartowały do kolejnego lotu. Złapiemy je. W naszych rękach pozostała baza.

— To nie takie pewne — zauważył Wieriesow.

— Zaraz się przekonamy!

Na platformie bazy, tak jak poprzednio, panował spokój. Nagle jednak zaczęło się coś

dziać. Znajdujące się tam wieże zaczęły szybko znikać, aż w końcu skryły się zupełnie wewnątrz kopuła.

I znowu wszystko zamarło.

Nagle rozległ się śmiech — śmiała się Gianeja.

— Coście narobili? — powiedziała.

— Skąd mogliśmy wiedzieć, co się stanie? — odpowiedział Muratow. — Przecież pani nas nie uprzedziła.

— Sama się tego nie spodziewałam.

— Tym bardziej my.

Nieoczekiwany zwrot zdenerwował wszystkich uczestników ekspedycji. To, co Muratow powiedział, zmuszało do refleksji. Przebieg wydarzeń wskazywał na to, że romb wydał rozkaz startu, ponieważ w bazie pojawili się ludzie, ponieważ ją odnaleźli. Jej konstruktorzy przewidzieli więc taką możliwość i zawnocześnie podjęli środki ostrożności. Prawdopodobnie nie mieli nic przeciwko temu, żeby Ziemianie zbadali bazę, ale nie chcieli, by zbadali również sputniki. I zgodnie z ustalonym przez nich programem oba uciekły przed niepożądanym towarzystwem.

Czy tylko uciekły? Czy udały się jedynie na nadzwyczajny lot wokół Ziemi? Rijageja nie nazwałaby chyba zwykłej ucieczki katastrofą.

Snucie domysłów było jednak całkiem bezcelowe.

— Czy nie wie pani — zapytał Gianeję Garcia — ile czasu trwa kolejny lot sputników wokół Ziemi?

— Tego nie wiem, ale sądzę, że latają długo.

— Będziemy musieli złapać je w przestrzeni — powiedział Sabo.

— Będzie to trudniejsze i bardziej skomplikowane. Szkoda, że tak się stało. Było łatwiej zniszczyć je tutaj. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Teraz możemy zbadać dokładnie wyposażenie bazy. Nie ma sensu niszczyć ją całkowicie.

— Czy na pewno? — sprzeciwił się Tokariew. — Może jest odwrotnie: powinniśmy zniszczyć bazę i tym samym uniemożliwić sputnikom zaopatrywanie się w paliwo. Wtedy, gdy wrócą, będziemy je mieli w rękę.

— To zupełnie nieprawdopodobne — powiedział Wieriesow. — Po pierwsze, mogą bronić się nieskończenie długo już po utraceniu zdolności lotu. Po drugie, wątpliwe, czy zdolają powrócić do bazy, gdy zniszczymy romb?

Stone długo milczał.

— Popełniłem jakiś błąd — powiedział. — Proponuję, żeby bazę zniszczyć, ale po dokładnym jej zbadaniu. Sputniki także zniszczymy w przestrzeni. Czy ktoś się sprzeciwia?

— Musimy zachować maksymalne środki ostrożności — powiedział Sinicyn. — Kto wie, jakie jeszcze niespodzianki nas czekają.

— Będziemy ostrożni.

Propozycja Stone'a została przyjęta.

Robot numer dwa ciągle jeszcze stał nieruchomo przed rombem. Numer cztery znajdował się tam, gdzie zastał go nieoczekiwany odlot sputników. Widocznie otrzymał od kuli rozkaz zatrzymania się.

Ale oto obydwa roboty poruszyły się. Elektronowy mózg kuli przeanalizował sytuację i zdecydował, że należy kontynuować pracę. Robot numer dwa znów podniósł „ręce” i położył je na powierzchni rombu, numer cztery ruszył do przodu.

— Właściwie już go nie potrzebujemy — rzekł Sabo.

— To jest bez znaczenia — odpowiedział Stone. — Obrona przeciwanihilacyjna nie będzie mu przeszkadzać.

Gianeja zwróciła się do Muratowa.

— Dlaczego dalej brniecie w ślepią uliczkę? — powiedziała Gianeja. — Czyż chcecie

stracić swe maszyny? Jest mi ich szkoda, wyglądają na bardzo rozumne.

— Chyba teraz, gdy nie ma już sputników, nie zagraża im już żadne niebezpieczeństwo?

— Mówiłam wam, zniszczcie!

— Proszę wytłumaczyć nam to dokładniej, Gianejo!

— Przecież nie znam szczegółów — powiedziała, jak wydawało się Muratowowi, ze smutkiem. — Wiem tak niewiele.

— To dlaczego z takim uporem nalega pani, byśmy zniszczyli bazę, i to jak najszybciej?

— Dlatego, że słyszałam rozmowę na ten temat. Rijageja powiedział komuś z naszych, że ludzie Ziemi nigdy nie zdołają poznać budowy ani sputników, ani bazy, nawet jeśli je znajdą. Dodał jeszcze, że taka próba będzie ich drogo kosztować. On na pewno dobrze wiedział.

Muratow szybko przetłumaczył jej słowa pozostałym.

— Wydaje mi się teraz — dodał — że Rijageja wiedział, że gdy poruszymy bazę, uruchomimy coś, co ma związek ze sputnikami i co jest prawdopodobnie niebezpieczne.

— Tak, ma pan rację — z niepokojem zgodził się Stone. — Zupełnie nie wzięliśmy tego pod uwagę. Gdy odnaleźliśmy bazę, sputniki odleciały. Może zostać wydany rozkaz: działać!

— Nawet na pewno — rozległ się głos Sinicy. — Niewątpliwie musieli przewidzieć, że możemy odnaleźć bazę i świetnie rozumieli, że wtedy ją zniszczymy.

— Numer pierwszy! — tym razem głos Sabo nie był tak opanowany. — Przerwać poszukiwania! Wracać! — zwrócił się do Stone'a: — Ryzyko rzeczywiście jest bardzo duże. Lepiej nie kusić losu.

— Żałuję, ale prawdopodobnie tak będzie najlepiej.

— Niszczymy?

— Tak! — twardo odpowiedział Stone.

Decyzja zapadła.

Zapadła jednak za późno.

Gospodarze bazy rozstrzygnęli wszystko wcześniej.

Na Księżycu nie ma fal akustycznych, nie słychać dźwięków, toteż pierwszy wybuch ludzie zobaczyli. Robot numer jeden, czekając na wyjście z wykopu dwu pozostałych, nie zdążył jeszcze zgasić reflektora. Wynurzyli się akurat na skraju platformy, gdy jedna z kopuł nagle otworzyła się i z jej wnętrza wydarł się słup ognia; po chwili na jej miejscu był tylko głęboki lej.

W chwilę potem wybuchła druga kopuła, potem trzecia...

Czwarty wybuch nastąpił już w ciemności. Kula szybko pełzła w kierunku łazika, a przed nią „biegły” oba „roboty-ludzie”.

A tam w czarnym kłębowisku cieni w równych odstępach czasu wybuchały słupy ognia niszcząc nie znane ludziom skomplikowane urządzenia bazy, które współplemieńcy Gianei przywieźli tu z innej planety. Członkowie ekspedycji patrzyli na prowadzoną z metodyczną dokładnością zagładę najwyższych osiągnięć myśli technicznej nieznanego narodu.

Ludzie Ziemi byli bezsilni. Nic nie było w stanie powstrzymać tego procesu. Nikt nigdy nie dowie się, czym były kopuły i romb. Można się będzie jedynie domyślać.

„Przegrzmiał” bezdźwięcznie ostatni wybuch, najpotężniejszy.

Znowu zapanowała „cisza”.

Pięć reflektorów, bez niczyjego rozkazu, ale jednocześnie, oświetliło zrytą lejami platformę.

Wszystko obróciło się w proch. Tam gdzie znajdował się romb, siła wybuchu odłamała część skały i odłamki granitu zasypały połowę wykopu.

I tylko równe zarysy ścianek wykopu wskazywały, że znajdowała się tutaj sztuczna

budowla.

I to było wszystko, co pozostało ludziom na pamiątkę po przybyszach z Kosmosu.

Nie, nie wszystko!

Zostały jeszcze dwa sputniki!

Znowu krążą gdzieś w przestrzeni okołoziemskiej niosąc ludziom nieznaną niebezpieczeństwo.

Nie można już było wątpić, że „rozkaz: „działać!” — jak mówił Stone, został już wydany. Wynikało to logicznie z faktu, że baza przestała istnieć. Romb powinien był wypełnić, i oczywiście wypełnił, swoje ostatnie zadanie.

Co zagraża Ziemi w ciągu najbliższych godzin, a być może nawet minut?

A na Ziemi o niczym nie wiedzą!

Łazik dowództwa na pełnym biegu pomknął z powrotem w kierunku stacji. Zdenerwowanie i strach były na tyle silne, że dopiero w czasie drogi przypomniano sobie o pozostałych maszynach i przez radio wyjaśniono przyczynę tak szybkiego odjazdu.

Po dziesięciu minutach Sabo i Stone znajdowali się już w kabinie radiowej. Nawiązanie bezpośredniej łączności radiowej z Instytutem Kosmonautyki nie zajęło im nawet minuty i pozornie spokojny Sabo przekazał alarmujący komunikat.

— Musicie natychmiast wylecieć — powiedział Stone do Wieriesowa — dogonić sputniki i zniszczyć je. Ach! — wykrzyknął z rozpaczą. — Zapomniałem, że na waszym statku nie ma wyrzutni antygazowych!

— Są na „Titowie” — spokojnie powiedział Wieriesow. — Czyż sądzi pan, profesorze, że na Ziemi nie domyślą się, co trzeba zrobić?

— Racja — odpowiedział Stone. — Straciłem głowę.

Gianeja zaraz po powrocie na stację poszła na basen. Aż do przesady lubiła wodę.

Muratow musiał zadać jej kilka pytań. Nie namyślając się długo, poszedł za nią.

Pływała jak zwykle szybko. Poczekał, aż zbliżyła się do niego, i zawołał ją.

Zatrzymała się i stanęła w wodzie prawie bez ruchu. Ciało jej posiadało zdumiewającą łatwość utrzymywania się na wodzie. Mokre włosy jak czarny tren lekko kołysały się wokół pleców.

— Proszę wybaczyć — powiedział Muratow — że pani przeszkadzam.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnęła się.

— Czy może pani sobie przypomnieć, czy Rijageja mówił, dlaczego właściwie sputniki są niebezpieczne dla ludzi Ziemi? Bardzo chcielibyśmy to wiedzieć.

— Nie wiem, o tym nie słyszałam.

— Jednak znała pani cel lotu.

— Tak, załoga statku znała ten cel.

— Więc, czemu lecieliście?

— Żeby zrealizować dawno obmyślony plan.

— Jaki?

Gianeja zaśmiała się.

— Jest pan niekonsekwentny, Wiktorze — powiedziała drwiąco. — Jeślibym mogła odpowiedzieć na to pytanie, to mogłabym odpowiedzieć i na pierwsze. To przecież jedno i to samo. Wiedziałam, że chcieliśmy urzeczywistnić nasz plan. A jaki? O tym wiedział Rijageja i jeszcze trzy osoby.

Marina mówiła bratu, że Gianeja potrafi kłamać. Był absolutnie pewien, że i teraz kłamie. Jego nieufność pogłębiało zdanie: „Ludzie Ziemi nie zasługują na ten los, który im gotowali”. Żeby móc coś takiego powiedzieć, Gianeja musiała znać zamiary swych współplemieńców.

— Przecież pani to wie, Gianejo — powiedział cicho.

Znowu rozległ się jej dźwięczny śmiech.

— Przypuśćmy — powiedziała, wcale się nie pesząc. — Ale ludzie nie muszą o tym wiedzieć.

— Po tym, co pani nam już powiedziała, ma pani obowiązek powiedzieć całą resztę, wszystko.

— Robi mi pan wymówki?

Murатов zrozumiał, że trzeba zmienić ton. W oczach Gianej igrały niebezpieczne ogniki.

— Wcale nie robię pani wymówek, Gianejo — powiedział. — Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony pani szlachetnym postępowaniem. Oddała nam pani ogromną przysługę. Jednakże niech pani będzie konsekwentna. Boimy się tego, nieznanego.

— Oczywiście, powinniście się bać. Ale jeśli bym nawet powiedziała i tak tego nie zrozumiecie. — Gianeja po raz trzeci powtórzyła to zdanie.

Murатов siłą woli pohamował gniew.

— Proszę spróbować — powiedział tylko. — Być może, będziemy w stanie to pojąć.

Chwyła się rękami za skraj basenu, lekko uniosła się z wody i swobodnie siadła obok niego. Elektryczne światło odbijało się od jej mokrego ciała.

— Musiałby pan znać przyczynę powstania naszego planu.

— Więc proszę mi o niej opowiedzieć.

— Opowiem.

— Kiedy?

— Kiedy indziej. Tutaj nie miejsce i nie czas na takie rozmowy.

— Ale nim pani się namyśli — Murатов nie wytrzymał — może zdarzyć się coś, czego nie da się naprawić.

— Możliwe. Ale teraz nic już nie da się zmienić czy naprawić. Proszę w rozmowie ze mną nie używać tak ostrego tonu, ja tego nie lubię. Nasz zamiar skierowany przeciw ludziom Ziemi już się urzeczywistnia. To wasza wina, przecież was uprzedzałam.

Jej zimna krew i niepojęty upór mogły doprowadzić do szaleństwa. Murатов powstrzymywał się z trudem. Przecież sama powiedziała kiedyś, że „ratuje” ludzi. A teraz ani jednym słowem nie próbowała im pomóc.

Być może wystarczyłoby tylko jedno jedyne słowo!

Poczuł coś w rodzaju nienawiści do tej kobiety innego świata, która tak obojętnie mówiła o niebezpieczeństwie zagrażającym ludzkości.

„Sama pogodziła się ze swoim losem, z tym, że nigdy nie wróci do ojczyzny — pomyślał. — A nasz los jej wcale nie interesuje. Być może nawet się cieszy”.

Rozumiał, że krzywdzi Gianeję.

— To, co zrobił Rijageja, okazało się niepotrzebne — z zadumą powiedziała dziewczyna, najwidoczniej myśląc głośno. — To i tak musiało się stać.

Murатов dosłyszał te słowa, chociaż były powiedziane ledwo dosłyszalnym szeptem.

I nagle uświadomił sobie, że Gianeja powiedziała to zdanie po hiszpańsku.

Nie zdążył jeszcze w pełni zrozumieć znaczenia tego faktu, gdy Gianeja gwałtownym ruchem rzuciła się w wodę. Bryzgi zmoczyły go od stóp do głowy.

— Czemu się pan tak denerwuje? — krzyknęła odpływając. — Pańska siostra mówiła mi, że ludzie dadzą sobie radę z każdym niebezpieczeństwem.

VI

Przez kilka minut Muratow machinalnie wodził za nią wzrokiem. Po raz pierwszy widział jak pływa i mimowolnie zachwycił się pięknem jej ruchów. W czasie gry w waterpolo Gianeja pływała innym stylem.

Jednak myślami był gdzie indziej.

Mówiła do samej siebie, pomyślała głośno — i zrobiła to w ziemskim języku! Przecież człowiek zawsze myśli w swoim, a nie w obcym języku.

Muratow czuł, że stoi na progu jakiegoś bardzo ważnego odkrycia.

„To znaczy — myślał — że język hiszpański Gianeja zna od bardzo dawna, być może od dzieciństwa. Zna go tak dobrze, że przyzwyczała się do niego, i może w nim nawet myśleć. To dziwne i niepojęte. Jednak tak właśnie było. Gianeja wyraźnie nie orientuje się w problemach technicznych, bardzo słabo zna cel ich przylotu do systemu słonecznego. Plan swych współplemieńców zna jedynie w ogólnych zarysach. Dlaczego? W lot kosmiczny nie zabiera się niepotrzebnego członka załogi. Po co im była potrzebna? Po co? Tylko jedno mogło uczynić ją użyteczną — znajomość języka Ziemi, języka hiszpańskiego. Gianeja miała być ich tłumaczem! A z tego wynika, że załoga statku, który zginął, zamierzała wylądować na Ziemi, a nie jedynie na Księżycu, gdzie, ich zdaniem, nie było jeszcze ludzi. To niezwykle ważne”.

Muratowomalże biegiem rzucił się na poszukiwanie Stone'a. Znalazł naczelnika ekspedycji w towarzystwie Sabo, Tokariewa i Wieriesowa.

— Posłuchajcie, koledzy! — ze zdenerwowania Muratow nawet nie zauważył, że przerywa Stone'owi w pół słowa. — Muszę wam zakomunikować coś niezwykle ważnego.

Powtórzył dokładnie całą swoją rozmowę z Gianeją i swoje wnioski.

— Z tego wynika — zakończył — że oni nie tylko zamierzali zrealizować swój plan, ale i jakiś czas mieli spędzić na Ziemi. Jak to ze sobą pogodzić?

To, co powiedział Muratow, wywarło na wszystkich wielkie wrażenie. Zdenerwowany Stone zerwał się z krzesła.

— Ma pan rację, po tysiącokroć rację — powiedział. — Jesteśmy głupcami, skoro nie zrozumieliśmy tego wcześniej. Sytuacja zmienia się całkowicie. Jeżeli Ziemi zagraża niebezpieczeństwo, to jak by ono nie było straszne, nie jest katastrofą. Urzeczywistnienie ich planu wymaga czasu, nie może dokonać się w jednej chwili. To był długoterminowy plan. A więc nie musimy się niczego obawiać. Sputniki będą zniszczone w najbliższym czasie. Świetnie się pan spisał, Wiktorze! Ktoś inny nie zwróciłby uwagi na to, że Gianeja myśli po hiszpańsku. To zupełnie oczywiste, że musi znać ten język jeszcze z czasów dzieciństwa. A więc już w dzieciństwie wyznaczono jej rolę tłumaczki. Przypomnijcie sobie jej słowa: „Opuściłam ojczyznę prawie wbrew swojej woli”.

— Jeśli miałyby to być prawdą — powiedział Tokariew — to po cóż Rijageja zniszczył statek i tym samym popełnił samobójstwo? Jeżeli był przyjacielem Ziemi, to raczej słuszniej z jego strony byłoby zjawić się u nas i uprzedzić nas o niebezpieczeństwie.

— Tak, jeżeli mógł to zrobić — odezwał się Sabo. — Ale przecież nic nie wiemy. Na tym polega całe nieszczęście.

Raport Siódmej Ekspedycji Księżycowej nie wywołał na Ziemi szczególnego niepokoju. Ci, którzy musieli podjąć decyzję, przedyskutowali otrzymaną wiadomość i doszli do wniosku, że samej Ziemi, to jest temu, co zbudowali na niej ludzie, nie może zagrażać żadne niebezpieczeństwo. Jakaż szkodę mogły wyrządzić ogromnej planecie dwa małe „jaja” o długości czterdziestu metrów, choćby nie wiem czym były napełnione? Nawet wybuch owych

sputników, setki razy przewyższający mocą ich całkowitą anihilację, z tej odległości, jakiej sputniki trzymały się od powierzchni Ziemi, nie spowodowałyby najmniejszego zniszczenia. Najbardziej prawdopodobnie brzmiała hipoteza, iż na sputnikach zainstalowano coś, co mogło szkodzić mieszkańcom Ziemi, najprawdopodobniej źródła jakiegoś potężnego promieniowania działającego na żywe organizmy.

Służba kosmiczna otrzymała rozkaz niezwłocznego wysłania w pogoń za sputnikami gwiazdolotu „Herman Titow”, po to, by je zniszczyć. Jedynie na pokładzie tego statku zainstalowano wyrzutnie antygazowe.

Obserwatoria radiowe i stacje promieni kosmicznych wzmogły obserwację wszystkich typów promieniowania, które biegły z Kosmosu w kierunku Ziemi.

I dosłownie w ciągu kilku minut po otrzymaniu radiogramu o wylocie z Księżyca obu sputników-zwiadowców „schwyciły je” przenikliwe promienie lokatorów, obiektywy wizualnych teleskopów, silne czuлки grawiometrów rozmieszczonych na licznych sztucznych sputnikach Ziemi.

Po opuszczeniu księżycowej bazy oba „jaja”, pstrokate z jednej strony i jak dawniej niewidoczne z drugiej, mogły więc latać zaledwie kilka godzin.

Z tego względu można było twierdzić, że Siódma Ekspedycja Księżycowa, która „spłoszyła” sputniki, udała się. „Jaja” nawet nie zdążyły rozłączyć się w przestrzeni, gdy „Titow” doścignął je nad południkiem Wysp Hawajskich.

W tym momencie nad Oceanem Spokojnym panowała głęboka noc. Dlatego niewielu tylko ludzi zobaczyło oślepiające błyski wybuchów anihilacyjnych, które oznajmiły, że oba sputniki innego świata przestały istnieć.

Czy zdążyły one wypełnić, choćby w jakimś stopniu, swoją misję? Czy ich unicestwienie kładło kres planom tych, którzy je wysłali?

Odpowiedź na te pytania otrzymano po upływie dwóch godzin od chwili zniszczenia.

I na obydwie pytania była to odpowiedź twierdząca.

Sputniki zdążyły poczynić już, niewielkie co prawda, szkody. Trzeba było podjąć środki w celu oczyszczenia atmosfery i poddać zabiegom lekarskim tych, którzy zostali dotknięci ich promieniowaniem. Zamontowane na sputnikach urządzenia zaczęły funkcjonować najprawdopodobniej zaraz po odlocie z Księżyca.

Nie zdołały jednak wypełnić swej misji tak, jak to sobie wyobrażali ich gospodarze. Można więc było twierdzić, że wysłanie ich minęło się z celem.

Niebezpieczeństwo znikło.

Teraz! A co w przyszłości?

Czy należy spodziewać się nowego ataku?

Mógł nastąpić. Jednakże skoro wśród narodu Gianei pojawili się ludzie tacy, jak Rijageja, nie trzeba się było obawiać. Nieznana ludzkość osiągnęła więc taki stopień rozwoju, który wyklucza możliwość wrogich aktów w stosunku do innej ludzkości.

VII

— Zaczyna mnie to niepokoić — powiedziała Marina. Wstała i wierzchem dłoni chroniąc oczy, wpatrywała się w migoczącą miliardami iskier wodną dal.

Smaragdowoszafirowe fale Morza Czarnego leniwie ocierały się o brzeg. Perłowa mgiełka zakrywała linię horyzontu. Tam gdzie wydawało się, iż kończy się morze i zaczyna niebo, jakby w powietrzu tkwił biały statek. Był daleko i wydawał się nieruchomy. Dzień był prawie bezwietrzny, czuło się tylko lekki podmuch, który nie przynosił ochłody, ale wzmagał

jeszcze upał.

Czarnej głowy Gianej nie było nigdzie widać.

— Przecież ona świetnie pływa — leniwie powiedział Wiktor Muratow.

— Ale minęło już ponad godzinę.

— Co z tego?

— Jestem jednak niespokojna.

Raul Garcia uniósł się na łokciu.

— Jedźmy na poszukiwania — zaproponował.

— Czym?

— Weźmiemy jakąś portową łódź. Jeżeli wytłumaczymy o co chodzi, każdy odstąpi nam łódkę.

— Poczekajmy jeszcze trochę.

Niepokój siostry udzielił się i Wiktorowi. Wstał i podszedł do brzegu.

Tego dnia pływali bardzo dużo. Gianeja była z nimi przez cały czas. A kiedy wszyscy zmęczeni się, popłynęła sama. I oto minęła już godzina, a Gianeja ciągle jeszcze nie wracała.

Już minął miesiąc od powrotu Siódmej na Ziemię. Większość ludzi prawie zapomniała o trwodze i zdenerwowaniu tamtych dni. I tylko obecność na Ziemi Gianej mimo woli przypominała o niezwykłych zdarzeniach.

Uczestnicy Siódmej postanowili zrobić sobie miesięczny odpoczynek i cała załoga pojechała na wybrzeże kaukaskie.

Gianeja przyjechała później. Bezpośrednio po powrocie na Ziemię wróciła do Japonii, do Mariny.

W ciągu tego miesiąca wiele spraw się wyjaśniło. Zrozumiano, czemu Gianeja nie pamięta swojej ojczyzny, a więc fakt, który kiedyś tak bardzo zdumiał Wiktora Muratowa. Urodziła się na innej planecie, którą znaleźli jej współplemieńcy, ale która, ich zdaniem, nie nadawała się do kolonizacji. Swojej prawdziwej ojczyzny Gianeja nigdy nie widziała.

Ludzie poznali lepiej i bliżej osobę Rijagei. Był uczonym, wedle ziemskiej terminologii można by było nazwać go inżynierem. Był kierownikiem technicznym ekspedycji. Człowiek ten w niczym nie przypominał innych współplemieńców Gianej. Nigdy nie godził się na plan swoich towarzyszy, uważał, że ich postępowanie jest okrutne. Upierał się, by pozostać na pierwszej planecie, zagospodarować ją i zaludnić. Było niejasne, dlaczego się z nim nie zgodzono. Gianeja czegoś nie powiedziała.

— Nie chcę — powiedziała Marinie — żebyście wyrobili sobie o nas całkiem złą opinię. I tak nie jest ona pochlebna. Rozumiem, że nie kierujecie się zwykłą ciekawością, ale, proszę, uwierzcie mi. Nigdy więcej nikt z naszych nie będzie zagrażał ludziom Ziemi. Mówię to w imieniu Rijagei, chociaż on już nie żyje. Gdyby miało być inaczej, nie zrobiłby tego, co zrobił.

Gianeję otaczano tak jak dawniej uwagą i troską. Wiele ludzi dziwiło się, dlaczego dziewczynie z innego świata nie ciąży tak długie lenistwo. Wkrótce miną dwa lata od chwili jej przybycia na Ziemię. Dziewczyna objechała już prawie całą kulę ziemską, widziała wszystko. Ludzie uważali więc, że już dawno powinna była wyrazić chęć podjęcia jakiejś pracy. Jednak nikt nie zauważył, by Gianeja odczuwała taką potrzebę.

Wiedziano już, że gość z Kosmosu jest bardzo młody. Marina dowiedziała się wreszcie, ile lat ma Gianeja. Umiała ona nawet określić swój wiek według ziemskiej rachuby czasu: miała zaledwie siedemnaście lat. To przynajmniej w części tłumaczyło brak nawyku do pracy. Gianeja jeszcze nie zdążyła się do niej przyzwyczaić. Zapytano ją oczywiście, jaka jest przeciętna wieku jej współplemieńców. Odpowiedź wielu ludziom wydała się nieprawdopodobna. Gianeja wymieniła monstrualną liczbę pięćset. A więc, licząc według ziemskich lat, jej współplemieńcy żyją sześć razy dłużej niż ludzie Ziemi.

Oczywiście uczeni bardzo się zainteresowali przyczynami takiej długowieczności, tym,

czy było tak zawsze, czy dopiero w ostatnich wiekach, jednak odpowiedź Gianej była prosta i rozczarowała wszystkich.

— Nie wiem — powiedziała.

Nie można się było zbyt łatwo ludziom, że uda się dowiedzieć tego, czego nie wiedziała Gianeja. A nawet ona nie wiedziała, gdzie znajduje się jej pierwsza ojczyzna.

— Ale przecież tam wiedzą, w którą stronę skierowały się wasze statki? — spytano Gianeję.

— Nie — brzmiała zagadkowa odpowiedź.

Nadal wiele spraw było nie wyjaśnionych. Najprawdopodobniej nigdy nie zostaną wyjaśnione. Jeżeli w ojczyźnie Gianej nie wiedzą o istnieniu Ziemi, nie można się było ludziom, że przybędzie stamtąd statek kosmiczny.

Minęło jeszcze dziesięć minut.

Już kilkudziesięciu ludzi z trwogą spoglądało w morze, wypatrując przez lornetki zaginionej Gianej. Muratow i Garcia pożyczili już spacerowy kuter i przygotowywali się do wyruszenia na poszukiwania dziewczyny.

— Przecież to ona! — z ulgą powiedziała Marina, która pierwsza zauważyła uciekinierkę.

Czarny tren włosów kołysał się rytmicznie w takt ruchów pływaczki, która szybko zbliżała się do brzegu. Gianeja płynęła swym zwykłym stylem. Nie czuło się w jej ruchach zmęczenia, mimo prawie półtoragodzinnego pływania. Zielonkawe ręce rytmicznie i silnie przecinały wodę.

A gdy wyszła na brzeg w płomiennopomarańczowym kostiumie kąpielowym, nikt nie zauważył nawet przyśpieszonego oddechu.

Gianeja wyglądała zupełnie świeżo.

— Jak można było nas tak zdenerwować! — powiedziała Marina.

Gianeja uśmiechnęła się.

— Popłynęłam daleko — powiedziała równym i spokojnym głosem. — Chciałam dogonić biały statek, ale mi się nie udało. A potem zamyśliłam się i zapomniałam, że na mnie czekacie. Proszę wybaczyć!

Usiadła na kamykach pokrywających piaszczystą plażę.

Ruch ten nie zdradzał jednak zmęczenia.

— Nad czym się tak pani zadumała? — zapytał Garcia.

Młody inżynier odnosił się do Gianej ze szczególną atencją. Przypominało to miłość i było, oczywiście, tematem częstych żartów.

Gianeja zwróciła się do Muratowa.

— Zrobiło mi się smutno — powiedziała i Wiktor od razu wyczuł w jej głosie nowy ton. Popatrzył jej w oczy. Nie, nie było w nich łez, ale czuło się je w jej słowach. — Pomyślałam o moich rodzicach, siostrach, braciach. I tak bardzo zapragnęłam ich zobaczyć.

Nie odpowiedziała bezpośrednio Garcia, jednak ten się nie obraził. Wszyscy dobrze wiedzieli, że Gianeja, gdy pytanie było, jej zdaniem, ważne, zawsze zwracała się tylko do Muratowa.

— A przecież nigdy już ich nie zobaczę! — dodała Gianeja.

— Obawiam się, że ma pani rację — serdecznie odpowiedział Muratow. — Zrobilibyśmy wszystko, by pani mogła wrócić, ale przecież nawet pani nie wie, gdzie znajduje się jej ojczyzna. Może przyłeci do nas stamtąd jeszcze jeden statek.

— Tak było zaplanowane — nieoczekiwanie powiedziała Gianeja. — Jednak w ostatniej chwili postanowiono go nie wysłać.

— Może jeszcze zmienią zdanie. Proszę powiedzieć, Gianejo — Muratow chciał odwrócić jej uwagę od przykrych myśli — dlaczego właśnie pani powierzono rolę tłumacza?

Czy tylko pani znała język hiszpański?

— Znał go świetnie mój ojciec — odpowiedziała Gianeya — ale był za stary, by po raz drugi lecieć na Ziemię. A ja byłam jego najlepszą uczennicą.

— To pani ojciec był u nas?

— Brał udział w pierwszym locie. Właśnie wtedy odnaleziono Ziemię.

— Czy długo byli na Ziemi?

— Dokładnie nie wiem, ale zdaje się, że długo. Ojciec zdążył się świetnie nauczyć języka.

— Kiedy to było?

Usłyszawszy to pytanie, które od dawna wszystkich interesowało, Raul i Marina nastawili ucha. Czy Gianeya odpowie?

— Może was to zdziwić — powiedziała Gianeya — ale nie potrafię powiedzieć. Podczas lotów kosmicznych zatracą się poczucie czasu. W każdym razie, wedle waszego kalendarza, to działo się mniej więcej pół wieku temu.

— Co takiego?! — Muratów bardzo poruszony uniósł się. — Czy pani się nie myli, Gianejo?

— Wydaje mi się, że się nie pomyliłam. Dlaczego pana to tak dziwi?

— Nie, nic. Wydawało nam się, że działo się to dużo wcześniej.

Odpowiedź Gianei w mgnieniu oka obaliła cały gmach zbudowanych przez ludzi domysłów i hipotez. Sądono, że rodacy Gianei byli na Ziemi w okresie średniowiecza. Wydawało się niemożliwe, by w czasach późniejszych nikt ich nie zauważył. Pół wieku! Znaczyłoby to, że obcy statek wylądował na Ziemi w ostatnim ćwierćwieczu dwudziestego wieku, w epoce niezwykle burzliwego rozkwitu kosmonautyki. Nieprawdopodobne!

— Zastanówmy się — powiedział Muratow, starając się ukryć przed Gianeją wzrastające wzburzenie. — Nie mamy co robić, więc możemy się trochę zająć matematyką. Ile lat miała pani, gdy ojciec odleciał na Ziemię?

— Nic — uśmiechnęła się Gianeya. — Jeszcze się nie zdążyłam urodzić.

To komplikowało sprawę.

— Świetnie, a ileż lat miał ojciec?

— Nie wiem.

— Pani matka powinna jednak pamiętać, ile czasu trwała jego nieobecność.

— Na pewno pamięta, ale nigdy jej o to nie pytałam.

Plan Muratowa runął.

Mimo wszystko nie mógł uwierzyć w to, co mówiła. Pół wieku! To niemożliwe, Gianeya myli się. Można by było ostatecznie, uwierzyć, że działo się to w początku dziewiętnastego wieku, ale w końcu dwudziestego?... Gianeya nie wie, że czas płynie inaczej dla ludzi znajdujących się na planecie, a inaczej dla tych, którzy lecą w Kosmosie z szybkością ponadświatłą. Chyba o to chodzi.

Gianeya jednak mogła pomylić się o wiek, o półtora wieku, ale nie więcej. Trzeba było wysłać do lamusa hipotezę o średniowieczu ludzkiej historii.

Zmieniało to cały obraz, który stworzyli uczeni Ziemi przy bezpośrednim i aktywnym udziale samego Muratowa.

„Tak, to wielka szkoda, że zamiast Gianei — myślał — nie znalazł się wśród nas sam Rijageja. Czy dowiemy się kiedyś prawdy, czy też na wieki pozostanie ona nieznaną?”

Muratow tak się zamyślił, że nie odpowiedział na jakieś pytanie zadane przez Gianeję.

Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Mariny.

— Popatrzcie, koledzy — powiedział Garcia — biegnie do nas Stone.

— Biegnie? — zdziwiła się Marina.

Wszyscy się odwrócili.

Stone rzeczywiście nie szedł, ale biegł. To było do niego zupełnie niepodobne. Wido-

cznie coś się stało. Nie przywitawszy się nawet (to też nie było do niego podobne), Stone powiedział ciężko dysząc:

— Przetłumaczcie jej! W pobliżu Ziemi pojawił się statek kosmiczny i niewątpliwie ten statek należy do jej współplemieńców.

VIII

Grawiometry stacji księżycowych pierwsze zasygnalizowały o zbliżaniu się do Ziemi niewidocznego statku.

Już niewidoczność wskazywała na to, że statek należy do tych samych istot, które przyleciały półtora roku temu. Ponadto było zbyt nieprawdopodobne, by w ciągu krótkiego okresu czasu odwiedzili Ziemię mieszkańcy dwóch różnych planet. Trudno było uwierzyć w tak niezwykły zbieg okoliczności, skoro nie składano ludziom wizyt przez tysiąclecia, jeśli nie brać pod uwagę wizyty współplemieńców Gianei.

Tak, to byli oni!

Dlaczego jednak, w jakim celu, pojawili się tak szybko?

Możliwe były trzy wyjaśnienia.

Pierwsze, najbardziej nieprawdopodobne, polegało na tym, że nie wrócił statek Rijagei. To było nieprawdopodobne, ponieważ załoga statku miała spędzić pewien okres czasu na Ziemi, skoro w ekspedycji brała udział tłumaczka. Półtora roku to zbyt krótki okres czasu na przebycie odległości dzielącej Ziemię od którejkolwiek z pobliskich gwiazd i jeszcze spędzenie na Ziemi chociażby miesiąca.

Drugie, które wydawało się bardziej prawdopodobne, sugerowało, że statek, który się zjawił, przyleciał w celu kontroli. I w końcu, to było najgorsze, statek mógł przylecieć po to, by zwielokrotnić i przyspieszyć działanie sputników, skierować w kierunku Ziemi nowe, potężniejsze dawki diabelskiego promieniowania.

To ostatnie nie zgadzało się jednak z postępkami Rijagei i z tym, co w jego imieniu powiedziała Gianeya. Mogła się jednak mylić.

Należało się zastanowić, jak powitać nieproszonych gości.

Ludzkość Ziemi miała wszelkie moralne prawa, by zniszczyć przylatujący statek. Byłoby to — jak mówili w starożytności — usprawiedliwionym przez prawo aktem samoobrony.

Można by to było z łatwością zrobić.

Jednakże takie rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Uczeni i inżynierowie byli bardzo rozczarowani — i baza, i sputniki zginęły bez śladu. Nikt nie zdołał poznać ich budowy i zasad działania. A przecież była to technika stworzona przez inny świat i naturalnie wszyscy bardzo chcieli ją zbadać.

Zniszczenie i tego statku oznaczałoby, że trzeba się definitywnie, na zawsze rozstać z możliwością poznania tej techniki. Dociekliwość naukowa jest niezwykle potężnym uczuciem i trudno, prawie że nie można, z nim walczyć.

Zniszczyć statek! Nie, nigdy! Tylko w ostateczności, jeśli nie będzie innego wyjścia.

Potężna technika Ziemi pozwalała na inne rozwiązanie.

Należało spróbować. A jeśli próba nie powiedzie się, w każdej chwili można będzie rozbić na atomy zbliżający się statek.

Od chwili pojawienia się go w „polu widzenia” grawiometrów do podjęcia decyzji upłynęło niewiele czasu. W ciągu dwóch godzin Ziemia była już przygotowana na spotkanie ze statkiem w każdym z możliwych wariantów.

Statek „trzymały” promienie lokatorów. Znano już jego objętość i rozmiary. Planetę

otoczono ochronną warstwą antyradiacyjnego promieniowania. Gościa pilnowały cztery gwiazdoloty i nie odstępowały go ani na krok.

Wszystko było przygotowane.

Przybysz, skazany i bezsilny, był całkiem w rękach ludzi Ziemi.

Czy załoga wiedziała o tym? Powinni byli zauważyć „honorową” eskortę i zrozumieć, co ona oznacza.

I, oczywiście, wyciągnąć wnioski.

Co zrobią?

Na Ziemi spokojnie czekano. W Instytucie Kosmonautyki, w którym mieścił się sztab spotkania, Laszlo Sabo nie zdejmował ręki z przycisku. Jedno naciśnięcie — i, otrzymawszy sygnał do ataku, cztery gwiazdoloty wystrzelały cztery śmiertelne rakiety. Z przybysza nic nie pozostanie.

Statek zachowywał się co najmniej dziwnie.

Prawdopodobnie już poprzednio włączono na nim silniki hamujące — statek zbliżał się bardzo wolno. Bezustannie zmniejszał szybkość, bardziej niż było to konieczne.

W końcu jego szybkość zmalała prawie do zera.

Przybysz widocznie nie zamierzał lądować. By wejść na okrężną orbitę okołozemską, tak jak sputniki-zwiadowcy, trzeba było mieć dużą szybkość, zaś tak powolne opuszczanie się na Ziemię wydawało się pozbawione sensu.

Wydawało się, że dowódca statku nie wie, co powinien zrobić.

Być może, zobaczył wszystko i rozumiał, że wpadł w pułapkę. Wtedy statek mógłby nagle zawrócić i uciec w Kosmos.

Szabo zdecydował, że do tego nie dopuści. Przybysz „żywy” nie opuści przestrzeni okołozemskiej.

Kto mógł się domyślić, że nikt nie kieruje statkiem, że cztery znajdujące się w nim istoty nawet nie wiedzą, że ich podróż skończyła się, że automaty czekają na rozkaz, którego nie ma im kto wydać.

Nawet najbujniejsza wyobraźnia nie byłaby w stanie wymyślić czegoś takiego.

Na Ziemi byli zdumieni.

Gigantyczny statek — jego długość wynosiła pół kilometra — „dreptał” wokół Ziemi, bezsensownie tracił czas i energię. Nie wysyłał żadnego promieniowania.

Jednakże statek -nie opadł na Ziemię, a to znaczyło, że pracują na nim urządzenia hamujące. W pobliżu tak ogromnego ciała niebieskiego, jakim jest Ziemia, utrzymanie takiego giganta w stałej odległości wymagało kolosalnego zużycia energii.

I jakoś ni stąd, ni zowąd pojawiła się myśl o nowej tragedii. Załoga statku nie żyła.

Co mogło doprowadzić do takiego finału międzygwiazdowej podróży? Drugi Rijageja?!

Natychmiast zwrócono się do Gianei, która powtórzyła jeszcze raz, że drugi statek, dokładnie taki sam jak pierwszy, był rzeczywiście przygotowywany do startu, jednak później zdecydowano się wysłać tylko jeden. Co wpłynęło na zmianę tej decyzji, nie wiedziała.

Coraz więcej przemawiało za tym, by wprowadzić w życie pierwotnie zamierzony plan.

Zacząć trzeba było od sprawdzenia, czy zbliżenie się do statku jest bezpieczne, czy nie ma na nim urządzeń obronnych, podobnych do tych, jakie były zainstalowane na sputnikach.

Gwiazdoloty towarzyszące „gościowi” otrzymały rozkaz przeprowadzenia takiego sprawdzianu.

Do przybysza z Kosmosu zbliżyły się z różnych stron cztery roboty-zwiadowcy i bez przeszkód dotknęły jego powierzchni.

Nie zaszła anihilacja. Na statku nie było urządzeń obronnych!

Na ekranach kabin sterowniczych gwiazdolotów zarysowały się mgliste kontury tego, co znajdowało się we wnętrzu „gościa”...

I następna niespodzianka!

Transmisja telewizyjna jednego z robotów, który znajdował się w pobliżu środkowej części statku kosmicznego wyraźnie pokazała, że wewnątrz „coś” się porusza.

To „coś” było bardzo podobne do istot żywych, bardzo podobne do ludzi!

A więc załoga żyła!

Pracownicy Instytutu Kosmonautyki znaleźli się w końcu w sytuacji bez wyjścia. Co oznacza bezsensowne postępowanie przybysza? Nie można było przypuszczać, że statkiem, który dokonał lotu międzygwiazdowego, kierują ludzie, nie mający pojęcia o prawach mechaniki nieba, nie zdający sobie sprawy ze swoich poczynań.

A tak właśnie było!

Nikt się nie wahał.

Statek nie posiada urządzeń obronnych i można się do niego bezpiecznie zbliżyć!

— Pomożemy im podjąć decyzję — powiedział Sabo.

Z Ziemi wystartowała ta sama eskadra, którą kiedyś dowodził Muratow. Przygotowano ją już dawno po to, by przekształcić jeszcze jeden asteroid w naukową stację kosmiczną. Nie chciano wprowadzić tracić jej energii na nieprzewidziany cel, jednak nie było innego wyjścia.

Moc eskadry wystarczyła do zmiany orbity Hermesa, było więc jej aż nadto.

Statki, w porównaniu z gigantycznym przybyszem, wydawały się mikroskopijne, ale było ich osiem. Zbliżyły się do „gościa” z czterech stron po dwa z każdej i dosłownie przylgnęły do burty, której nie było widać nawet z bliskiej odległości, ale która, jak ciemna wyrwa w Kosmosie, doskonale się odróżniała na tle gwiazd.

Potężne magnesy połączyły przybysza ze statkami eskadry w jedną całość.

Statek został schwytany i nie mógł już uciec.

Natychmiast stało się też oczywiste, że silniki przybysza przeciwdziałają przyciąganiu ziemskiemu.

Wypełniono pierwszą część zamierzonej operacji, ale powstało pytanie, co robić dalej?

Niewątpliwie siła ośmiu gwiazdolotów mogła zrównać się z siłą silników gościa. Jednak co będzie działo się na Ziemi po wylądowaniu?

Czy silniki statku gości zatrzymają się, czy dalej będą kontynuować bezmyślną pracę?

Zachowanie się „gościa” podczas krążenia wokół Ziemi było tak bezsensowne, że również bezsensowne było i to pytanie.

Nie można było przecież przykuć statku łańcuchami do kosmodromu. A jakież zresztą łańcuchy zdołałyby utrzymać statek kosmiczny o tak potężnych rozmiarach?

Dowódca eskadry zawiadomił sztab operacji o swoich wątpliwościach.

Tam nie zastanawiali się długo.

Automaty gości — było oczywiste, że w tym momencie statkiem kierują nie ludzie, a właśnie automaty — wydawały się „rozumne”. To prawda, że odpowiadające im aparaty ziemskie były „mądrzejsze” i nie dopuściłyby do bezsensownej utraty energii, jednak aparaty „gościa” postępowały wedle jakiejś logiki, skoro ich program nakazywał oczekiwać na rozkaz przy zbliżaniu się do planety.

A więc „poczuwszy” Ziemię powinny były zatrzymać silniki.

Taka była treść odpowiedzi, którą dał Sabo dowódcy eskadry.

Osiem statków zmieniło program. Po cóż przeciwdziałać silnikom gościa, jeśli można je wykorzystać.

Równocześnie ludzie Ziemi chcieli sprawdzić, w jakim stopniu „rozumne” są automaty przybyszów.

Nadlatujący statek można było prowadzić ku Ziemi rufą do przodu. Wtedy jego silniki, jeżeli będą pracowały tak samo jak poprzednio, nie będą przeszkadzać — a odwrotnie, pomogą. Natomiast jeśli zaczną pracować w kierunku przeciwnym, trzeba będzie zwiększyć moc, chociaż szkoda było tracić tyle energii.

Okazało się, że „rozum”, który znajdował się na statku gości, był bardziej doskonały niż

przypuszczano.

Ledwo rozpoczęło się holowanie, silniki „gościa” przestały pracować. Centralny zespół widocznie poczuł i „zrozumiał”, że statek jest kierowany z zewnątrz.

„Gość” nie sprzeciwiał się i w ciągu półtorej godziny na oczyszczonym z rakiet kosmodromie pirenejskim wylądowało osiem statków eskadry.

Między nimi znajdowało się coś, co przypominało zjawę.

Gigantyczne ciało zasłaniało wszystko, co znajdowało się za nim, jednak było absolutnie niewidoczne, więc wydawało się, że między statkami znajduje się nieprzezroczysta próżnia.

Ludzie obserwowali podobne zjawisko po raz pierwszy.

Przybysza oczekiwali jedynie pracownicy służby kosmicznej. Zasady elementarnej ostrożności kazały zamknąć kosmodrom dla wszystkich osób postronnych.

Wyjątek zrobiono tylko dla dwojga ludzi — Muratowa i Gianei.

Statki pomocnicze oddzieliły się i odleciały na skraj kosmodromu.

„Gość” został sam.

Należało uczynić go widzialnym. Z wielu względów „zjawa” była bardzo niewygodna.

Nikt nie wychodził ze statku. Aparaty akustyczne nie wykryły żadnych dźwięków w jego wnętrzu. Automaty telerentgenów, które się natychmiast do niego zbliżyły, nie wykryły żadnego ruchu. A przecież na ekranach eskadry zaobserwowano jakiś ruch. Dlaczegoż teraz zamarł?

Ci, którzy znajdowali się we wnętrzu przybysza z Kosmosu, jak gdyby się przyczaili.

Ludzie Ziemi nie bali się żadnego niebezpieczeństwa. Tutaj, na Ziemi, statek gości nie mógł wyrządzić większej szkody, znajdował się całkowicie we władzy gospodarzy planety.

Jednak brak ruchu mimo woli przywodził na myśl jakieś niebezpieczeństwo.

Załoga statku powinna była zrozumieć, że dostała się do niewoli. Co zrobi dowódca? Jeżeli zechce wystartować i odlecieć... to go nie uratuje. Cztery gwiazdoloty eskorty czuwały wysoko na niebie, nad kosmodromem i bacznie obserwowały gościa. Przy próbie ucieczki statek zostanie natychmiast zniszczony.

Ludzie na próżno starali się odgadnąć, co dzieje się teraz we wnętrzu statku.

Tak jak i poprzednio nikt, również i Gianeję, nie mógł nawet podejrzewać, jak jest naprawdę.

IX

Merigo i jego trzech towarzysze nie zauważyli i nie poczuli, że lot przebiega wolniej. Nie wiedzieli, co dzieje się z ich statkiem, nie podejrzewali, że skończyła się długa i męcząca podróż, że pomyślnie dotarli do celu.

Na skutek całego splotu okoliczności, szalona próba, na którą nigdy nie mogli się zdecydować człowiek znający podstawy nauki i techniki, została uwieńczona powodzeniem. Ale o tym też nie wiedzieli.

Był to jedynie przypadek, że czterej w ogóle zostali przy życiu.

Naiwni wierzyli, że krótka jest droga na inną planetę.

Gdyby gwiazdoloty „nienawistnych” nie miały zapasu żywności, gdyby ze statku, który miał lecieć w ślad za pierwszym, wylądowano żywność, czterech umarłoby z głodu.

Jeśliby ze statku w chwili odwołania lotu zabrano wodę — czterech umarłoby z pragnienia.

Gdyby zabłyśły sygnały alarmowe świadczące o najdrobniejszym defekcie w zespole

sterowniczym, czterech nie mogłoby niczego naprawić. Nie zrozumieliby nawet znaczenia tych sygnałów i na zawsze pozostałoby w Kosmosie.

I wiele innych „gdyby” czyhało na nich w czasie lotu.

We czterech dokonali kosmicznego lotu, który na pewno był jedynym i niepowtarzalnym w historii jakiegokolwiek planety.

Gdy poczuli niewielki wstrząs podczas lądowania, nie rozumieli, co on oznacza.

Siła ciężkości na statku przez cały czas lotu była normalna. I teraz też nie odczuli żadnej zmiany ciężaru. Nic nie mogło im wskazać, że statek nie leci, ale nieruchomo stoi na planecie.

Stan ten trwałby dopóty, dopóki nie zjawiliby się u nich ludzie Ziemi.

Ale nienawistni sami się o nich zatroszczyli.

Nieoczekiwanie dla czterech nagle zniknęły ściany centralnego pomieszczenia, w którym się znajdowali. Odsłonił się niezrozumiały i zadziwiający obraz.

Oczekiwali, że na planecie, na którą lecieli, zobaczą świat podobny do ich własnego świata.

Statek stał pośród ogromnego pola, pozbawionego roślinności i gładkiego jak górskie płaskowzgórze. Na horyzoncie widniały dziwaczne budowle, z oddali przypominające czterem budowle, które nienawistni wzniesli na ich planecie. Ze wszystkich stron przybliżyły się jakieś maszyny. One także choć miały inny kształt, przypominały maszyny nienawistnych. W maszynach siedzieli ludzie. Było ich dobrze widać. Czterech w rozpaczy upadło na podłogę.

Nienawistni!

Statek dowiózł ich nie tam, gdzie chcieli dolecieć. Okazało się, że wylądowali na planecie nienawistnych, w ich ojczyźnie! Wszystko przepadło, runęły wszystkie plany!

Czterech leżało bez ruchu, poddało się losowi, godząc się ze straszliwą klęską. Niech wchodzi i robią, co chcą.

Dla czterech życie nie miało już więcej żadnej wartości.

Pierwszy przyszedł do siebie najstarszy, Wiego.

— Musimy zniszczyć zawartość żółtej skrzyni — powiedział — nim zjawią się tu nienawistni. Oszukali nas. Statek miał lecieć w zupełnie inną stronę niż pierwszy. Ale tutaj o niczym nie wiemy. Milczcie więc, bez względu na to, co by z wami nie robili.

— Będziemy milczeć bez względu na to, co by z nami nie robili — odpowiedziało trzech.

Malowanie na szaro niewidzialnego korpusu nie zajęło dużo czasu. Potężne rozpylacze zrobiły to w pół godziny.

Przed oczami ludzi wznosiło się jak góra kolosalne ciało kosmicznego giganta pięćsetmetrowej długości. Było podłużne i nierówne, wybrzuszone na obu końcach. Nie było widać nic, co mogłoby przypominać dysze. Widocznie nie był to statek odrzutowy.

— To ten sam — powiedziała Gianeya — który miał lecieć w ślad za nami. Jednak postanowiono go nie wysłać. Dziwne! Dlaczego jest tutaj?

— Czy wasz był taki sam? — spytał Muratow.

— Obydwa były identyczne.

Czekali cierpliwie ponad godzinę. Jednak ze statku nikt nie wychodził.

— Czy właz można otworzyć z zewnątrz? — zapytał Stone.

— Tak.

Muratow przetłumaczył.

— Wejdźmy sami — zaproponował Sabo. — Możliwe, że załoga statku potrzebuje pomocy.

— Otworzymy właz i poczekamy. Skład powietrza, które znajduje się wewnątrz statku, może się różnić od ziemskiego. Należy przeprowadzić dezynfekcję.

— Oczywiście — zgodził się Stone. — Jednak czy można otworzyć obie pary drzwi?

Przecież tam jest na pewno śluza wyjściowa.

Gianeja potwierdziła, że śluza wyjściowa rzeczywiście istnieje i obie pary drzwi, zewnętrzne i wewnętrzne, nie mogą być otwarte jednocześnie.

— Jednak ochrona statku — dodała — jest automatyczna. Ani do statku, ani ze statku nie może przeniknąć nic, co jest szkodliwe. I przy wejściu, i przy wyjściu przeprowadza się dezynfekcję. Możecie się nie obawiać. Powietrze wewnątrz niczym nie różni się od waszego.

— Więc co robić?

Słowa Gianeji nikogo nie przekonały.

— Można wpuścić na statek roboty dezynfekcyjne — powiedział Stone. — Musiało by ich być dużo, a ponadto musielibyśmy długo czekać, zanim by je tu dostarczono.

— Na statkach kosmicznych powietrze jest zwykle destylowane — zauważył Leszczyński.

— Tak, jednak nie mamy pewności, czy u nich jest tak samo.

Sytuacja była trudna.

Wejście na statek, nawet w skafandrach, było dużym ryzykiem. Nie można zaś było polegać na obronie, o której mówiła Gianeja. Dla ludzi mogły być szkodliwe mikroby, które znajdowały się w atmosferze statku. Nikt nie wiedział, czy pomoże wtedy powtórna dezynfekcja przy wyjściu. Wystarczyło, by w atmosferze Ziemi znalazł się choćby jeden mikrobia z innej planety, a wybuchłaby epidemia nieznanego choroby.

Ale tym, którzy znajdowali się wewnątrz statku, nie zagrażało niebezpieczeństwo. Dowodził tego przykład Gianeji — nie zachorowała na Ziemi.

Ale oni o tym nie wiedzieli. I być może właśnie dlatego nie wychodzili.

— Robią analizę naszej atmosfery — powiedział Muratow. — To może trwać bardzo długo. Mamy tylko jedno wyjście. Trzeba im pokazać Gianeję. Oni na pewno widzą, co dzieje się na zewnątrz. Niech Gianeja napisze na dużym arkuszu papieru olbrzymimi literami: „Wychodźcie! Nie ma niebezpieczeństwa!” i podejdzie do iluminatorów. Na pewno wie, gdzie się znajdują.

Wszystkim spodobał się pomysł Muratowa.

— Proszę jej to przetłumaczyć — powiedział Stone.

Gianeja od razu chętnie się zgodziła.

Ktoś poszedł do budynku portu kosmicznego po arkusz papieru i farby.

— Jednakże opuszczenie przez nich statku — powiedział Sabo — może być i dla nas niebezpieczne, jeżeli dezynfekcja śluzy wyjściowej jest niedoskonała.

— To nieprawdopodobne — odpowiedział Stone. — Sądząc po statku, ich technika stoi na wysokim poziomie. Umieją się z nią obchodzić. Na tym polega różnica.

— U nas nie ma iluminatorów — powiedziała Gianeja, zwracając się do Muratowa. — Zewnętrzne obiektywy przekazują obraz na wewnętrzne ekrany. Tak jak wasze telewizory.

— Musi pani pisać bardzo wyraźnie — powiedział Garcia. — I proszę podejść blisko. Załoga może znajdować się w środku, a to daleko od burty. Czy ekrany pozwalają na zbliżanie zewnętrznych obiektów?

— Widać na nich naturalny obraz — odpowiedziała Gianeja. — Jednak podejść do przedniej części, do pulpitu sterowniczego. Tam powinien ktoś być.

— Gdzie znajduje się wejście? — zapytał Stone. — Z której strony?

— Z lewej, zwróconej teraz ku nam.

Jej słowa znalazły nieoczekiwane potwierdzenie.

Wszyscy zobaczyli, jak w burcie gwiazdolotu otworzył się właz. Metaliczne schody zalsniły w słońcu i opadły.

Było je dobrze widać. I stało się oczywistym, że niewidoczna była jedynie zewnętrzna obudowa.

Grupa ludzi znajdowała się daleko od statku. Wszyscy rzucili się do wuczemobilów,

żeby zobaczyć, czy załoga postanowiła wyjść.

Nikomu nie przyszło do głowy, że może grozić niebezpieczeństwo. Akty wrogości w tej sytuacji, w jakiej znaleźli się goście, były pozbawione sensu.

Maszyny pomknęły. Czteryście metrów przebyto w ciągu paru sekund.

Załoga statku rzeczywiście wyszła. Składała się tylko z czterech osób. Jednak, być może, reszta pozostała w środku?

Gianeja nagle krzyknęła. Odwróciwszy się Muratów zobaczył na jej twarzy malujące się zdumienie.

Zdziwiła się nie tylko Gianeja, zdumieli się wszyscy.

Widać sądzone już było, że kosmiczne statki współplemieńców Gianeji zawsze przynosić będą niespodzianki. Z pierwszego wysiadła Gianeja w złocistym stroju, w stroju, który zupełnie nie przypominał kosmicznego. A teraz...

Przy trapie stały cztery maleńkie figurki.

Ubrani byli nawet nie dziwnie, a po prostu bez sensu. Krótkie koszule ściągnięte pasem nawet nie sięgały kolan. Byli boso. Obnażone ręce i nogi pokryte były gęstym włosom. Głowy mieli również zarośnięte czarnymi i zmierzwionymi włosami.

Wszyscy mieli długie brody. Wszyscy czterej byli krępi, barczyści i bardzo niscy — ich wzrost nie przekraczał półtora metra. Stali przytuleni jeden do drugiego i byli bardzo przestraszeni. Ich twarze miały ludzkie rysy, jednak bardzo różniły się nie tylko od twarzy ludzi Ziemi, ale i od twarzy Gianeji. Ich skóra nie miała zielonkawego odcienia, oczy mieli okrągłe, bez brwi i rzęs, nosy przypłaszczone. Wąskie wargi odstaniały żółtawe dziąsła i dwa rzędy drobnych tegoż koloru zębów.

Pasażerowie wuczemobilu w milczeniu przypatrywali się zdumiewającym kosmonautom. Nikt niczego nie rozumiał.

— Kto to jest? — zapytał wreszcie Muratow. — Przecież to nie pani rodacy, Gianejo?

Milczała, nie spuszczając oczu z przybyszów. Potem drgnęła i oczy jej zabłyśły.

— Merigo! — powiedziała zdumiona i zmieszana.

Ten najprawdopodobniej usłyszał. Podniósł głowę i zobaczył Gianeję.

I natychmiast gwałtownie rzucił się do samochodu.

— Zabijcie ją! — krzyknął, ku zdumieniu wszystkich, niemal bezbłędnie po hiszpańsku. — Ją i wszystkich! To wrogowie, którzy przylecieli, by was dręczyć.

Wyglądał tak, jakby zamierzał sam na miejscu zadusić Gianeję. Gianeja nie drgnęła. Wszyscy, którzy siedzieli w maszynie, mimo woli spojrzeli na nią i zobaczyli, jak wargi Gianeji wykrzywił uśmiech niewypowiedzianej pogardy. Jej przymrużone oczy tylko sekundę patrzyły na kosmonautę. Potem lekceważąco się odwróciła.

— Tak! — powiedział Stone. — To bardzo interesujące!

Garcia zdążył już przetłumaczyć mu słowa przybysza.

— Uspokój się, mój przyjacielu — łagodnie powiedział Muratow. — Dlaczego mielibyśmy zabijać naszego gościa? Ona jest sama i nie może nas dręczyć.

— Jak to sama? — nieznajomy mówił już spokojniej. — Ich jest czterdzieści troje. — Dodał jakieś słowa, prawdopodobnie w swoim języku, z głęboką, wyraźną nienawiścią.

— Było ich czterdzieści troje — odpowiedział Muratow, który się już domyślił, o czym mówi dziwny nieznajomy. — Jednak czterdziestu dwóch zginęło. Ona jedna została żywa.

— Czy jesteście pewni?

— Całkowicie pewni. Tak jest! Nie macie powodu, żeby się niepokoić.

— Czy pan wie, co oni chcieli z wami uczynić?

— Oczywiście, wiem. Ale nikt nam nie może wyrządzić zła. Proszę powiedzieć, skąd przylecieliście? Ilu was jest?

— Czterech. Przylecieliśmy z naszej ojczyzny.

- Gdzie ona się znajduje?
- Tam! — nieznajomy pokazał na niebo.
- Jak długo lecieliście? Według waszego rachunku lat.
- Nie rozumiem.
- Czy długo lecieliście?
- Bardzo długo. Myśleliśmy, że nigdy nie dotrzemy do celu.
- Kto z was jest starszym? Kto kierował statkiem?
- Starszym jest Wiego. A statkiem nikt nie kierował. Nie umiemy tego robić.
- Co?!

Muratow zwrócił się do Stone'a i pokrótce przekazał mu treść rozmowy.

— Niczego nie rozumiem — zakończył.

— Tak. To trudno pojąć. W żadnym wypadku nie przypominają kosmonautów. To nowa zagadka.

Srebrzysty śmiech Gianei przerwał jego słowa.

— Oni — Gianeya pogardliwie przez ramię wskazała na przybyszów — ukradli statek. I polecili na nim, sami nie wiedząc dokąd. Zdziwiający, że nie zginęli.

— Zupełnie inaczej zrozumiałem jego słowa — odpowiedział Matthews. — Oczywiście, mieli cel. Jednak, w jaki sposób udało im się dotrzeć do Ziemi, skoro nie potrafili kierować statkiem?

— Dlatego, że pozostał poprzedni program lotu. Ten statek powinien był lecieć za nami.

— Teraz wszystko jest jasne — powiedział Stone po wysłuchaniu przekładu. — Gwiazdolotem kierował mózg elektronowy. A w pobliżu Ziemi czekał na rozkaz, który nie nastąpił. Zdumiewający i bezprecedensowy wypadek! Zdecydowanie się na taki lot było z ich strony aktem szaleńczej odwagi.

Muratow znowu zwrócił się do „kosmonauty”.

— Czy słyszał pan, co powiedziała dziewczyna? — zapytał.

— Słyszałem.

— Czy rzeczywiście zabraliście czyjś statek?

— Teraz on jest nasz.

Gianeya odwróciła się do przybysza. Nachyliła się nad nim i spytała o coś w swoim języku.

Okrągłe oczy zabłysły okrutną radością. Przybysz wymówił długie zdanie.

Gianeya zbladła jak płótno.

Przez kilka sekund patrzyła w twarz Meriga szeroko otwartymi oczyma. Potem z jękiem je zamknęła i zemdlna upadła pod nogi Matthews'a, który nie zdążył jej podtrzymać.

X

Wydawało się, że nie ma już więcej żadnych tajemnic. Wszystko stało się zrozumiałe.

Inżynierowie Ziemi bez trudu rozszyfrowali konstrukcję gwiazdolotu i działanie jego silników, oparte na zasadzie wzajemnego oddziaływania pól grawitacyjnych i antygravitacyjnych. Technika Ziemi była już bliska rozwiązania podobnych zadań i dlatego to „odkrycie” nie było specjalnie rewelacyjne.

Wyposażenie gwiazdolotu wskazywało, że rozwój techniki w ojczyźnie Gianei znajdował się mniej więcej na tym samym poziomie, co i na Ziemi.

Droga, zakreślona w programie mózgu elektronowego, i zgodnie z tym programem, przebyta przez statek została rozszyfrowana nawet bez uciekania się do pomocy Gianei. Na

mapach gwiazdowych zaznaczono bez trudu gwiazdę — słońce planety, z której przyleciało czterech.

Wedle czasu gwiazdowego przebywali w drodze prawie siedem lat. Lecieli z wielką szybkością, toteż w ojczyźnie „żeglarzy Kosmosu” minęło kilkakrotnie więcej czasu.

Odprawienie czterech z powrotem nie przedstawiało żadnej trudności. Do programu można było z łatwością wprowadzić rozkaz lądowania.

Jednak ziemscy uczeni zdecydowali, że postąpią inaczej. Nie chcieli zmarnować szczęśliwego przypadku.

Czterem podano do wiadomości, że mogą powrócić. I dodano, że nie polecą sami, lecz towarzyszyć im będą ludzie Ziemi. Droga wyda się o wiele krótsza, ponieważ nie będą się musieli męczyć całych siedem lat.

Prawa względności były niedostępne dla umysłów Meriga i jego towarzyszy. Nie uwierzyli więc, że po powrocie nie zastaną już tych, których pozostawili. Jednak na powrót do ojczyzny zgodzili się z radością.

— Byliśmy przekonani, że zostaniemy tu na zawsze — powiedział Merigo, jedyny z czterech, z którym można było swobodnie porozmawiać.

Pozostali trzej potrafili powiedzieć tylko z trudem parę zdań po hiszpańsku. Oczywiście, mogli z nimi rozmawiać ci, którzy władali językiem Gianei.

— Mówicie, że nie zobaczymy już swoich bliskich — dodał Merigo. — Oswoił się już z tą myślą i pożegnaliśmy się z nimi na zawsze, kiedy opuszczaliśmy ojczyznę.

Heroizm ofiary czterech budził podziw ludzi Ziemi. Podkreślał go jeszcze fakt, że oni sami nie byli świadomi tego, czego dokonali. I chociaż ich czyn był zupełnie niepotrzebny, ludzie byli gotowi zrobić wszystko, żeby odwdziżyć się czterem za ich szlachetny zamiar.

Obecność Gianei na Ziemi przekonała Merigo i jego przyjaciół, że przylecieli właśnie tam, dokąd zamierzali. Jednak tylko z trudem mogli we wszystko uwierzyć, tak dalece to, co zobaczyli na planecie, było niepodobne do ich wyobrażeń. Wtedy, na statku, szybko zrozumieli, że pierwsze wrażenie było fałszywe, że ludzie znajdujący się wokół statku są tylko podobni do nienawistnych. I zrozumiałszy to, opuścili statek.

Wszystko, co zobaczyli, samo powitanie, jakie im zgotowano, zainteresowanie nimi — to wszystko przekonało ich, że znajdują się wśród przyjaciół nie mniej potężnych, a może jeszcze potężniejszych niż nienawistni.

Instynkt ich nie zawiodł. To byli bracia.

Czterej przyzwyczaili się bardzo szybko do życia na Ziemi.

Merigo i jego towarzysze urodzili się w okresie panowania nienawistnych. W dzieciństwie przeszli przez szkołę nienawistnych, którzy nie potrzebowali dzikich, nieoświeconych sług i robotników. Merigo, który urodził się w okresie inwazji przybyszów z Kosmosu, był na znacznie wyższym poziomie niż jego przodkowie, on też opowiedział o wszystkim, co stało się w jego ojczyźnie.

Gianeja nie wiedziała, gdzie znajduje się jej pierwsza ojczyzna. Tym bardziej nie wiedzieli o tym czterej. Powstawała jednak nadzieja, że w archiwach nienawistnych uda się odnaleźć jakieś wskazówki. Merigo mówił, że po zgładzeniu przybyszów jego rodacy nie tknęli niczego, co należało do nienawistnych.

Nieoczekiwana możliwość nawiązania kontaktów między dwoma ludzkościami dwóch różnych planet nie mogła być zaprzeczona. Toteż ludzie starannie przygotowywali się do zrealizowania pierwszego etapu — lotu do ojczyzny czterech.

Lecieć miały trzy statki; ten, na którym przyleciało czterech, i dwa pośpiesznie budowane na Ziemi.

Start został wyznaczony za rok.

Gianeja z niezrozumiałych powodów nie lubiła posługiwać się radiofonem. Toteż

Muratow wcale się nie zdziwił, gdy otrzymał od niej list, choć mieszkali wtedy oboje w tym samym mieście.

W liście Gianeya zapraszała Wiktora do siebie na dzisiejszy wieczór. Nie było w tym nic niezwykłego, gdyż Wiktor niejednokrotnie był zapraszany przez Gianeję.

Wtedy, po nagłym omdleniu, Gianeya natychmiast opuściła Półwysep Pirenejski. Od tej pory Muratow się z nią nie widział, zresztą minęło zaledwie półtora tygodnia.

Po wysłuchaniu opowieści Merigo, zrozumiano przyczynę tego omdlenia. Zginęli wszyscy, których Gianeya знаła, a więc również i jej rodzice, bracia, siostry.

Ludzie Ziemi wprawdzie współczuli Gianei, ale usprawiedliwiali postępowanie narodu czterech. Okrutna przemoc domagała się zemsty, nie można było spodziewać się wielkoduszności ze strony tak długo ciemzonego narodu.

Merigo domagał się śmierci Gianei. Uparcie prosił, by nienawistną oddano w ręce jego i jego trzech towarzyszy, prawdopodobnie po to, by mogli się zemścić. Wyrok został wydany przez jego naród, uważał więc, że ma obowiązek go wykonać.

Ludzie nie zgodzili się na to żądanie. Opowiedziano Merigo o postępku Rijagei, starano się przekonać czterech, że Gianeya nie jest już wrogiem.

Czterej upierali się jednak przy swoim. Nienawiść była silniejsza od głosu rozumu.

Ludzie potrzebowali pomocy Gianei. Chcieli ją namówić, by poleciała tam, gdzie się urodziła — do ojczyzny czterech. A następnie by pomogła odnaleźć drogę do swej prawdziwej ojczyzny, na planetę, której nigdy nie widziała.

Nie obawiano się, by na planecie czterech Gianei mogło coś grozić — ludzie zresztą potrafią ją obronić przed każdym niebezpieczeństwem. Wielu wątpiło jednak, czy gość zgodzi się tam polecieć.

Korzystając z zaproszenia Gianei Muratow postanowił to wyjaśnić.

Zjawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie.

Gianeya była sama.

Pierwsze, co rzuciło się Muratowowi w oczy, to niezwykle strój dziewczyny. Ubrała się w tę samą złotą suknię, w której po raz pierwszy zjawiła się wśród ludzi na Hermesie.

Zobaczył niewielki stolik i dwa nakrycia. Dwa kielichy były napełnione złocistym napojem.

Mariny nie było i Gianeya najwyraźniej nie spodziewała się jej przyjścia.

— Prosiłam, żeby zostawiła mnie samą na cały wieczór — odpowiedziała Gianeya na pytanie Wiktora. — Nie mówiłam jej, że pan przyjdzie.

Nie pytał o przyczynę.

Gianeya gestem zaprosiła go do zajęcia miejsca naprzeciw siebie. I Muratow nagle poczuł, że rozmowa będzie miała niezwykle przebieg.

— Proszę — powiedziała Gianeya podając mu dwa grube albumy. — To są moje rysunki, które przedstawiają planetę, z której przybyłam do was. Proszę je wziąć i przekazać tym, którzy tam polecą. Niech zobaczą, jak wygląda przyroda i ludzie tej planety.

— A więc pani tam nie poleci? — zapytał Muratow.

— Nie — z niespodziewaną zaciętością odpowiedziała Gianeya. — Pozostanę tutaj na zawsze.

— A może zmieni pani decyzję? Być może nie wie jeszcze pani, że zamierzamy odnaleźć drogę do pani pierwszej ojczyzny?

— Cóż z tego? Nigdy jej nie widziałam, nie znam jej i będę tam obca. Rijageja mówił, że w ojczyźnie wszystko się zmieniło, wszystko jest inne.

— Czy był tam?

— Nie. Ale Rijageja wiedział wszystko. Był wielkim uczonym. Teraz jestem szczęśliwa, że umarł.

Muratow położył dłoń na leżącej na stole ręce Gianei.

Drgnęła, ale nie odsunęła się.

— Proszę mi wierzyć! — powiedział. — Wiem, że spotkało panią wielkie nieszczęście. Z całego serca pani współczuję.

Oczy Gianej zabłysły nienawistnie.

— Niech się pan nie waży mówić w ten sposób — powiedziała ostro. — Usprawiedliwiście bestialską zemstę tych dzikusów. Nie skazaliście ich na śmierć. Zresztą! — Gianeja nieoczekiwanie roześmiała się. Tyle utajonego bólu było w tym śmiechu, że Muratow zdrzął. — Nie straciliście i mnie, chociaż mieliście pełne moralne prawo to zrobić. Rijageja, kiedy wysadzał mnie na asteroidzie, był przekonany, że idę na śmierć.

— On?

— Czemu się pan dziwi? Nie wiedzieliśmy, że ludzie Ziemi zmienili się. Książki, przywiezione przez tych, którzy pierwsi odwiedzili Ziemię, mówiły o czymś innym. Przeczytałam je wszystkie.

— Dlaczego więc Rijageja wysadził panią na Hermesie, skoro był przekonany, że idzie pani na śmierć?

— Dlatego, że nie potrafił mnie zabić własnymi rękoma. — Gianeja pochyliła się ku Muratowowi. Oczy się jej zamgliły i długo milczała, prawdopodobnie wspominała tamten dzień. Potem zaczęła mówić, urywanymi, chaotycznymi, często niezrozumiałymi zdaniem: — Wszyscy spali. Rijageja nie budził załogi, choć powinien był zrobić to już dawno. Bardzo się dręczył. To była litość, a nie wahanie. Zdecydował. Za nami nie leciał drugi statek. Nie było trzeciego. Minęłoby wiele czasu. Obudził mnie. Jeszcze niczego nie podejrzewałam. Nie myślałam. I on mi powiedział. Nie zapomnę jego twarzy. Nie, nie przekonywałam go. Wiedziałam, że byłoby to bezskuteczne. Wszyscy znali jego przekonania. Powiedział mi, że pozostali członkowie załogi zdecydowali, że go zabiją, gdy tylko statek wyląduje na Ziemi. Nie dowierzali mu. Prosił, żebym uciekła. Uciekła? To zabawne! Dokąd można uciec ze statku, który znajduje się w Kosmosie? Lecieliśmy długo, zataczając kręgi. Patrzyłam na niego. Był spokojny, zdecydowany do końca. Wiedziałam, że jeśli nie znajdzie tego, czego szuka, mimo wszystko zrobi to, co zdecydował. Było mu jednak bardzo trudno zabić mnie. Od dawna wiedziałam, że Rijageja kocha mnie jak córkę. Nie potrafił mnie zabić własnymi rękoma. Nie mógł. A jednak posłał mnie na śmierć. Był tego pewien. Musiałam się zgodzić. Powiedział mi: „Wiem, że ratuję ludzkość Lii. Ale oni nie powinni o tym wiedzieć. Jeżeli będziesz żyła, milcz. Milcz i w obliczu śmierci”. Obiecałam mu, że będę milczeć. Wtedy byłam gotowa wypełnić każde jego życzenie. Ostatnią prośbę przed straszną śmiercią.

Zasłoniła oczy rękoma.

— Czy pani go kochała? — zapytał Muratow po długim milczeniu.

— Nie wiem. Byłam zbyt młoda, żeby to wiedzieć. A teraz jestem stara. Starsza od wszystkich. Przecież nie pozostał nikt z moich współczesnych. Wszystkich ich zabili ci... — nisko spuściła głowę. Muratow wiedział, że po to, aby ukryć łzy.

Muratow całym sercem był po stronie Merigo i jego narodu. Jednak w tym momencie zrozumiał, że można nienawidzić tych, których się rozumie. Przepęłniała go dojmująca litość dla Gianej, która przecież w niczym nie zawiniła. Ponosiła konsekwencje postępowania innych, wśród których się urodziła.

— Pan jest do niego bardzo podobny, Wiktorze — powiedziała Gianeja. — Dlatego prosiłam, żeby pan dzisiaj do mnie przyszedł.

— Cieszę się, że mogę chociaż w ten sposób złagodzić pani ból — odpowiedział.

Po tym, co usłyszał, chciał ją zapytać o wiele różnych spraw, jednak rozumiał, że pytania byłyby niestosowne. Niech mówi sama. Gianeja podniosła głowę. W jej oczach nie było łez, uśmiechała się nawet, wiedział jednak, że jest to tylko maska.

— Chciał mnie pan o coś zapytać?

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

— Proszę pytać.

— Dlaczego Rijageja był tak niekonsekwentny? Z pani słów wynika, że wiedział o zmianach, jakie zaszły na Ziemi, że ludzie nie są już tacy, jakimi byli poprzednio. Dlaczego więc myślał, że idzie pani na śmierć?

— By to zrozumieć, trzeba znać naszą historię — odpowiedziała Gianeya zupełnie spokojnie. — Kiedyś ludzie ją poznają. Wierzę, że potrafiacie dotrzeć do mojej ojczyzny. Ludzkość Ziemi rozwija się szybciej niż my. I nawet Rijageja nie potrafił tego przewidzieć. Zrozumiałam to dopiero na Ziemi. Nie będę opowiadać, Wiktorze. Teraz nie jestem w stanie. Byłam przekonana, tak samo jak Rijageja, że ludzie Ziemi mnie zabiją. I udając się na asteroid, ubrałam się jakbym szła na śmierć.

— A więc ten strój?...

— To strój pogrzebowy. W złoty kolor ubierają tych, którzy umarli, i tych, których skazano na śmierć.

— To dlaczego dzisiaj włożyła pani tę suknię?

— Grzebię swoją młodość.

Wydało mu się, że nie jest szczerą. Powoli narastał w nim nieokreślony niepokój.

Z trudem zmusił się do uśmiechu.

— Ale przecież, kiedy znalazła się pani wśród nas, rozumiała pani, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— Nie od razu. Zbyt mocno tkwiły we mnie wyobrażenia nabyte jeszcze w dzieciństwie, a także i to, co przeczytałam o Ziemi. Być może książki zostały niewłaściwie wybrane. Nie wiem. Kiedy niósł mnie pan na swój statek, pomyślałam: „Dziwny zbieg okoliczności”.

— Dlaczego?

— U nas jest taki zwyczaj. Kiedy mężczyzna bierze sobie żonę, przenosi ją na rękach do swego domu. Pomyślałam: „Rijageja mógłby mnie nieść ku życiu, a ten, który jest tak do niego podobny, niesie mnie ku śmierci”. — Zamilkła, a potem powiedziała: — Sama się teraz temu dziwię, ale wtedy byłam przekonana, że na Ziemi czeka mnie śmierć. I byłam przygotowana na to, że ze statku zejść prosto na stos.

— Dlaczego właśnie na stos?

— U nas w ten sposób przeprowadza się egzekucję. Czytałam, że na Ziemi był taki sam zwyczaj. Potem zrozumiałam, że nawet Rijageja się pomylił; jesteście lepsi od nas, macie świetlane i piękne życie i dlatego powinnam zakończyć rozpoczęte przez Rijageję dzieło. Zrozumiałam, że zwolniłby mnie on od słowa, które mu dałam, gdyby o tym wiedział. — Wzrok Gianei zatrzymał się na zegarze, który stał w rogu pokoju. Muratow na zawsze zapamiętał, że wskazywał on dokładnie dziesiątą.

— Późno, trzeba już kończyć naszą rozmowę — I Gianeya wyciągnęła rękę i wzięła swój puchar. — Piję, Wiktorze, za pana ojczyznę, za szczęśliwe życie ludzkości. Był czas, kiedy myślałam, że stanie się ona moją trzecią ojczyzną.

— A czyż tak nie jest?

— Nie. Dzieli nas przepaść. Być może się mylę i to wy, ludzie, macie rację. Jednak nie potrafię nic innego zrobić. Walczyłam ze sobą, Wiktorze, inaczej wezwałabym pana wcześniej. Wybaczcie mi wszystko!

Niepokój i niejasne przeczucie zmieniły się w pewność.

Wiedział już, co się teraz stanie, co oznacza złoty strój Gianei.

Zerwał się, przewracając fotel.

— Nie!

Ręka, którą wyciągnął, żeby zatrzymać rękę Gianei, spóźniła się o sekundę.

Gianeya wypła zawartość pucharu.

EPILOG

Na spowitej zieleni werandzie, przy niedużym stoliku siedziało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Wiktor Muratow.

Drugi, o wiele wyższy, o intensywnie zielonym odcieniu skóry, z bardzo wąskimi jakby przymrużonymi oczyma był niewątpliwie współplemieńcem Gianej. Kiedy otwierał szeroko oczy widać było jak są ogromne, ciemne i głębokie.

Rozmowa toczyła się w języku Gianej. Muratow posługiwał się nim już zupełnie swobodnie.

— Szkoda, żeśmy się spóźnili — powiedział człowiek o wąskich oczach. — Na statkach naszej konstrukcji droga trwałaby o wiele krócej. Oczywiście, w znaczeniu czasu, a nie odległości.

— Nie można już zawrócić ekspedycji — powiedział Muratow. — Jednak sam mi pan mówił, Wijajjo, że możemy ją wyprzedzić i będziemy na planecie wcześniej. Niech pan sobie wyobrazi, jak zdziwi się nasi towarzysze.

Uśmiechnął się pozwoliwszy sobie na żart. Nie opuszczało go uczucie zakłopotania.

Dziwne oczy Wijaji spoczęły na jego twarzy.

— Dlaczego pan się mnie krępuje? — zapytał. — i to nie tylko pan. Dlaczego nie chce pan zwracać się do mnie przez „ty”? U nas od dawna nie istnieje już żadna inna forma. Wszyscy ludzie są braćmi.

Zawstydzony Muratow milczał. Miał wiele do powiedzenia swemu rozmówcy, jednak zdawał sobie sprawę, że jego wyjaśnienia wydadzą się Wijaji bezsensowne.

Wizyta Wijaji była dla Muratowa niespodzianką. Wiedział, że wszyscy, którzy przylecieli na zadziwiającym statku czują do niego szczególną sympatię i rozumiał, jakie ma ona źródła. Ważyło tu podobieństwo Muratowa do nich; to podobieństwo, które przyciągało do niego i Gianeję. Jeżeliby odwiedził go ktokolwiek inny, Muratow nie czułby się zmieszany, ale Wijajja?...

Goście byli na Ziemi już ponad miesiąc. Dawno poznano przyczyny ich przylotu, znane stały się imiona i biografie kosmonautów, historia ich ojczyzny. Ludzie Ziemi wiedzieli nie tylko, gdzie znajduje się ich planeta, ale także, jak wygląda. Kosmonauci przywieźli z sobą wszystko, co mogłoby im pomóc możliwie najpełniej i najdokładniej opowiedzieć o sobie.

Ludzie wiedzieli również, że Wijajja, nawet na tamtej planecie, która znacznie prześcignęła Ziemię pod względem rozwoju nauki i techniki, jest wybitnym uczonym. Z ziemskiego punktu widzenia był geniuszem w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Nie był bynajmniej starszkiem, przeciwnie, był jeszcze młody.

Muratow obecnie miał około czterdziestki. Osiągnął więc prawie połowę średniej długości życia. Wijajja, według ziemskiej rachuby lat, miał niewiele ponad sto. Dla ludzi jego rasy żyjących średnio około pięciuset lat, przeżył zaledwie piątą część życia.

Jeśli uczeni Ziemi w ciągu swojego życia byli w stanie zdobyć olbrzymią wiedzę, to można było sobie wyobrazić, jak olbrzymią wiedzę byli w stanie zdobyć współplemieńcy Wijaji.

I nawet wśród nich Wijajja się wyróżniał. Nic zatem dziwnego, że Muratow uświadamiając sobie przepaść, która ich dzieli, czuł się zakłopotany w towarzystwie tego człowieka. Wijajja nie mógł jednak zrozumieć takiego zachowania.

— Przyszedłem, żeby spędzić z tobą wieczór — powiedział przechodząc na „ty” i zapewne, oczekując, że Muratow zrobi to samo. — Czy chcesz, żebym tego żałował?

— Niech będzie tak, jak chcesz — odpowiedział Muratow.

— Wreszcie! Wszyscy cię bardzo polubiliśmy, Wiktorze. Jesteś do nas zadziwiająco

podobny. Bardzo lubię twoje towarzystwo. Traktuj mnie jak przyjaciela.

Ale zgodzić się to jeszcze nie znaczy, żeby od razu wcielić w życie. Muratow męczył się nad jakimś naturalnym w tej sytuacji pytaniem, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Wijajja przemówił sam.

— Dziwne — rzekł. — Ludzie z dwóch planet śpieszyli na pomoc Lia, chciałem powiedzieć Ziemi. I nie wiedzieli, że nie potrzebujecie żadnej pomocy. Dziwna i oczywiście niepowtarzalna jest cała historia.

Muratow był zadowolony z tematu rozmowy. Mógł bowiem o wiele rzeczy zapytać Wijajję.

— Jesteśmy bardzo zdziwieni — powiedział — dlaczego wspólnicy Lijagei nie uruchomili natychmiast promieniowania. Po co zostawili w pobliżu Ziemi sputniki, zbudowali bazę księżycową, skoro swój plan chcieli urzeczywistnić dopiero w czasie drugiego przylotu?

— Już mnie o to pytano — odpowiedział Wijajja. — Złożyło się na to kilka przyczyn — technicznych i psychologicznych. Szukali planety, która nadawałaby się do kolonizacji. Nie wiedzieli jednak, czy uda się im znaleźć odpowiednią. Ponadto, udając się na poszukiwania, nie uzgodnili swoich poczynań z tymi, którzy pozostali. I to przede wszystkim przyczyniło się do ich zagłady.

U nas, choć może ci się to wydać niezrozumiałe, rządono kolektywnie. Przyzwyczajono się do uzgadniania między sobą swych poczynań. To było jedną z wielu przyczyn, opóźniających nasze wyzwolenie. Kiedy postanowiono zgładzić ludzkość Ziemi przy pomocy promieniowania, jak to trafnie nazwaliście, musiano wrócić i uzyskać zgodę pozostałych. Taka jest pierwsza przyczyna. Druga ma charakter czysto techniczny. Uciekając z naszej planety zabrali ze sobą wszystkie istniejące wtedy u nas statki kosmiczne. Na jednym z nich znajdowały się te dwa sputniki, które znaleźliście i zniszczyliście. Innych nie mieli i nie mogli ich zrobić na planecie pośredniej, gdyż nie było tam żadnych fabryk. Te sputniki były budowane w innym celu. I, naturalnie, nie było na nich żadnych źródeł promieniowania. Nie było ich także na statku. Wtedy, na Księżycu, na którym wylądowali wcześniej, zmontowali te emitery. Nie mieli jednakże materii, która stanowi podstawę promieniowania. Trzeba było po nią wrócić. Rozwiązali ten problem budując bazę zaopatrzeniową na Księżycu. Mylicie się sądząc, że w bazie tej sputniki tankowały paliwo. Nie potrzebowały żadnego paliwa. W bazie syntetyzowała się materia potrzebna dla emiterów. Gdy była gotowa, ładowano ją na sputniki. Jednak ta synteza wymagała długiego okresu czasu.

— Jak długiego?

— Nie potrafię dokładnie określić. Jednak nie mniej, niż waszych sto lat. Ogólnie rzecz biorąc, wszystko się im udało. Po obmyśleniu planu mieli czas na powrót i na uzgodnienie go z pozostałymi.

— To znaczy, byli u nas sto lat temu?

— Mniej więcej.

— Dlaczego nikt ich nie zauważył? — zapytał Muratow.

— Sam statek jest niewidoczny dla waszych oczu — odpowiedział Wijajja. — A ludzie? Niewiele trzeba, by ukryć różnicę.

„Tak, ma rację — myślał Muratow. — Ziemski strój, intensywna opalenizna, okulary i nikt niczego nie będzie podejrzewał”.

— A język? — powiedział. Po wylądowaniu na Ziemię nie mogli z nikim rozmawiać.

Twarz Wijajji spochmurniała.

— To jedna z ciemnych plam — powiedział. — Ale ty, Wiktorze, znasz już moralne oblicze tych ludzi, nic nie powinno cię więc dziwić. Wzięli do niewoli człowieka Ziemi. Od niego nauczyli się języka i dowiedzieli się wszystkiego, czego chcieli się dowiedzieć. Kim był ten pierwszy, który zobaczył przybyszów z innego świata? Wątpię, czy uda wam się teraz ustalić, jak się nazywał. Ta znajomość drogo kosztowała tego człowieka. Nie mogli pozwolić,

by pozostał na wolności i mógł o nich opowiedzieć.

Muratow o nic nie pytał. Wszystko było oczywiste.

— Jak pogodzić — zapytał zmieniając temat — wysoką technikę waszej planety z istnieniem władców?

— Widzę — odpowiedział Wijajja — że interesuje to wszystkich. Odpowiadałem na to pytanie wiele razy. Musisz sobie uświadomić, że długość ludzkiego życia na obu naszych planetach jest różna. Żyjemy parę razy dłużej niż wy. Przyspiesza to postęp techniczny, ale równocześnie hamuje postęp społeczny. Jeden jest więc opóźniony w stosunku do drugiego.

— Rozumiem — powiedział Muratow.

Dawno już zapadły ciemności. Na bezchmurnym niebie jak brylantowa sieć płonęły gwiazdozbiory.

Wijajja wstał i podszedł do balustrady.

— Popatrz, Wiktorze — powiedział — oto słońce naszej planety.

Muratow zobaczył zgubioną wśród innych, przyćmioną, pomarańczowoczerwoną gwiazdeczkę. Odnalazł ją z trudem nawet przy pomocy Wijaji.

Słońce innego świata!

— Wiem — powiedział Wijajja — że będziecie u nas. Być może już niedługo. Nasze planety ręka w rękę pójda po nieskończonej drodze życia.

Muratow pomyślał o Gianei.

Ta słabo migocząca na ziemskim niebie gwiazdeczka była i jej słońcem, choć nigdy go jeszcze nie widziała.

— Ciekawe, jak Gianeya będzie się czuła w waszym świecie — powiedział z zadumą.

— Nie mamy żadnych wątpliwości — powiedział Wijajja. — Długi pobyt na Ziemi przygotował Gianeję do naszego życia. Jeśli Lijageja nigdy nie potrafi stać się pełnoprawnym członkiem naszego społeczeństwa, Gianei przyjdzie to z łatwością. Została do tego przygotowana — powtórzył. — A ponadto jest jeszcze bardzo młoda.

— A jeśli nie?

— Czy masz na myśli moralną starość?

— Przeżyła śmierć — wymijająco odpowiedział Muratow.

Wijajja popatrzył na niego uważnie.

— Rozumiem — powiedział — czemu ty i w ogóle wy wszyscy niepokoiacie się o Gianeję. Boicie się konsekwencji swojej decyzji. Ale uwierz mi, Wiktorze, że przyjdzie czas, i to niedługo, gdy Gianeya będzie wam wdzięczna za to, że nie pozwoliliście jej na popełnienie wielkiego błędu.

— Kiedy zamierzacie ją obudzić?

— Dopiero wtedy, kiedy znajdziemy się w ojczyźnie. Tak będzie lepiej — kontynuował Wijajja. — Na Ziemi byłoby jej trudniej powrócić do świadomego życia.

— Masz rację!

— U nas Gianeya szybko przyzwyczai się. I szybko, bardzo szybko stanie się taka, jak wszystkie nasze kobiety. I znajdzie swoje szczęście. Dobrze ją do tego przygotowaliście.

Muratow zamyślił się. Wierzył w mądrość i życiowe doświadczenie swojego rozmówcy i cieszył się, że nauka Ziemi potrafiła zatrzasnąć przed Gianeją drzwi śmierci. Będzie żyła.

Przykład Gianei, mimo całej swej złożoności, dowodził bezspornie, że nie istnieją wrodzone wady, takie jak nienawiść i zło. Wszystko zależy od tego, gdzie i kiedy żyje człowiek, zależy od środowiska, które formuje jego poglądy i charakter.

— Dotąd jeszcze nie wiem, jak nazywa się wasza planeta — powiedział Muratow, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo.

— Ta, którą tak dobrze znasz — odpowiedział Wijajja — otrzymała imię swej ojczyzny. Naszą planetę nazywamy Gijaneja.